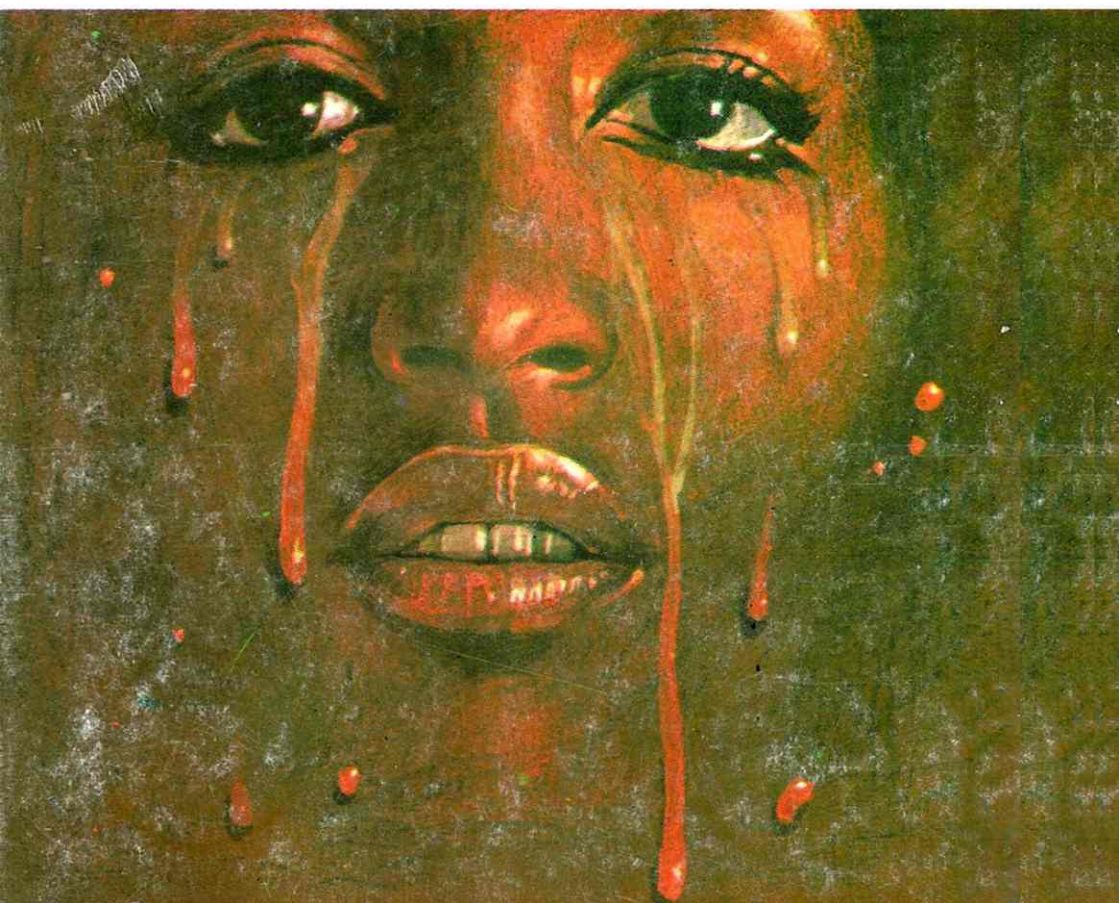




Erskine Caldwell

BLISKO DOMU





Erskine Caldwell

Blisko domu

**Z angielskiego przełożył
KAZIMIERZ PIOTROWSKI**



Książka i Wiedza • 1988

1

Wielu mieszkańców Palmyry często mawiało, że Native Hunnicutt jest na pewno największym szczęściarzem w mieście. Byli wśród nich tacy, co dali się nabrać, przeważnie jednak powodowała nimi zazdrość.

Sam zaś Native uważał swoje powodzenie za naturalną nagrodę za to, że jest taki, jaki jest. Powiadał, że się nie zmieni i nikt nie zdoła go namówić, by zrezygnował z trybu życia, do jakiego przywykł. („Za wielu jest takich, co się starają zmienić kogoś lub coś. To dobrze, że istnieją faceci, którzy, jak ja, są zadowoleni, iż świat tak właśnie wygląda, słońce wschodzi i zachodzi w naturalny sposób, a nie wisi nad naszymi głowami niczym żarówka i nie sposób go wyłączyć. Dlatego nie ma sensu wydawanie świata w ręce agitatorów i polityków. Gdyby to od nich zależało, powodowaliby ustawiczny zamęt, wywoływali wojny, przysparzali kłopotów prostym ludziom takim jak ja, którzy chcą żyć i dać żyć innym.”)

Szczęście Native’a Hunnicutta nie miało określonego kierunku ani pola, na którym by rozkwitało, po prostu szukało go i towarzyszyło mu tam, gdzie był i cokolwiek robił. Niezwykłe było to, że podczas kiedy inni marzyli o szczęściu i modlili się o nie, a nawet uciekali się do czarnej magii i tajemnych praktyk, Native czekał i szczęście samo do niego przychodziło.

Na przykład, nierzadko zdarzało mu się spotkać kogoś na rogu ulicy, zagrać z nim i stawiając dziesięć centów albo ćwierć dolara wygrać dwa razy na trzy, po czym odejść z forszą w kieszeni. Co więcej, często wygrywał trzy razy pod rząd i nic nie dokładał. Ci, co przegrali, twierdzili, że ma tyle plam na honorze, ile jest cętek na tylnej psiej łapie, nikt przecież w całym mieście nie przydybał go z dziesiątką mającą dwie reszki albo podobnie podrobioną ćwiartką dolara. Aby dowieść, jak jest uczciwy, Native zawsze na początku gry proponował, żeby grać monetami przeciwnika.

– Wiesz pan co? – mówił Native uśmiechając się szeroko, kiedy mu szczęście szczególnie dopisało. – Jeżeli powodzenie dalej mnie nie będzie ani na krok odstępowało, możliwe że zostanę największym szczęściarzem w hrabstwie. Więcej powiem. Jeśli pomyślny stan rzeczy potrwa dłużej, mogę być najszczęśliwszym skurwysynem w całym stanie i we wszystkich gazetach ukaże się moja fotografia. Wtedy będę miał czym się pochwalić przed tutejszymi obdartusami.

Native szczylił się najmniejszym okrucichem powodzenia i wiele czasu spędzał opowiadając o tym każdemu, kto chciał przystanąć i posłuchać.

Chętnie też, że na wencie zorganizowanej w kościele przez wielebnego pastora Walkera wygrał dwa miejsca na cmentarzu. („Zawsze lubiłem spać w dużym, szerokim łóżku, żebym mógł się na nim do woli obracać, więc cieszę się, że czeka na mnie podwójne miejsce w grobie.”) Uwielbiał

opowiadać, jak złowił olbrzymiego okonia z rozdziawioną paszczą w Reedy Creek. („Prawdę mówiąc musiałem dać ćwierć dolara Murzynkowi, aby mi pomógł wyciągnąć dziesięć stóp sieci, bo tyle było w niej ryb, że sam nie dałbym rady.”)

Dużo też gadał, jak kiedyś dostał pięćdziesiąt dolarów gotówką za wartość pięć dolarów oślicę od faceta z wesołego miasteczka, który pilnie potrzebował łagodnego osiołka, żeby za dziesięć centów wozic dzieciaki. („Nie powiem, bym cokolwiek zdziałał, żeby strzelił piorun i zabił temu człowiekowi oślicę, po prostu zjawilem się właśnie w chwili, gdy gwałtownie potrzebował innego osła dla podtrzymania ruchu w interesie.”)

Poza tym Native, ilekroć szedł do miasta, zwykł wygrywać co najmniej tuzin darmowych partyjek na automatycznym bilardzie w piwiarni Eda Howarda, połączonej z salą gier. Wystarczyło, że stał, pociągał za rączkę i wygrywał. Nigdy przy tym nie potrzasał automatem. Jego ulubiony automat nazywał się „Dziewczęta bawiące się na plaży”. Kiedy udało mu się zdobyć ponad pięćset tysięcy punktów, obrazki dziewcząt w skąpych czerwonych i niebieskich kostiumach kąpielowych zaczynały świecić ze wszystkich stron na szybkach automatu na znak, że Native zdobył nową porcję bezpłatnych gier. Jeśli nadal szczęście mu dopisywało, dziewczęta skakały i wykonywały „barani skok”. Wówczas wokół automatu zbierał się tłum gapiów obserwujących pracę nóg Native’a i skłony jego ciała, aby

podpatrzeć, jak on osiąga takie wyniki. Ale do niczego nie doszli poza tym, że Native ma szczęście.

Prędzej czy później Native dochodził do miliona punktów. Wygrywał wówczas butelkę piwa, a dziewczęta przestawały skakać. Stały bez majtek i uśmiechały się do wszystkich wokół.

Ed Howard twierdził, że traci pieniądze, ilekroć Native Hunnicutt zjawia się w piwiarni, ale nie mówił tego serio. („Jego szczęście mnie zrujnuje, pójdę z torbami i nie będę miał nawet nocnika, żeby się wysuszać.”) Ale prawdę mówiąc Ed musiał przyznać, że straty wyrównuje z nawiązką sprzedając piwo gościom, którzy tłumnie przybywali, by zobaczyć, jak Native gra w „Dziewczęta na plaży” i robi milion punktów. Wszyscy też wiedzieli, że Ed sprzedaje tuziny butelek coli uczniom szkolnym, którym wstęp do baru był zabroniony, ale tłoczyli się na zewnątrz i obserwowali wszystko przez okna.

– Jak, u licha, to się dzieje, że jesteś takim szczęściarzem? – spytał go ktoś pewnego ranka, gdy Native wygrał prawie dwa dolary wkładając centy do automatu na pocztę. Przychodził na pocztę parę razy w tygodniu, chociaż całą korespondencję, jaką otrzymywał, stanowiły reklamy najnowszego środka na bóle brzucha lub na skórne choroby.

– Po prostu nie do pojęcia. Wystarczy, żebyś wszedł tu z garścią centów i wychodzisz zawsze z dolarem albo dwoma. Szczęście chodzi za tobą jak głodny pies za kimś, komu

wystaje z kieszeni od spodni kawał kości z mięsem. Cokolwiek to jest, trzeba przypadek ten nazwać szczęściem Hunnicutta, bo nikomu innemu to się nie zdarza.

Native wyjął z kieszeni kasztan. Pocierał kciukiem i palcem wskazującym nakrapianą powierzchnię, aż nabrała w słońcu połysku fałszywego złota. Jego ulubione drzewo rosło tuż za granicą miasta i co roku w październiku Native chodził tam, by podnieść z ziemi najpiękniejszy kasztan. Stary wyrzucał, bo się obawiał, że szczęście go opuści, jeśli będzie miał w kieszeni więcej niż jeden.

– Powiem ci, jak to jest – rzekł Native przekładając kasztan do drugiej ręki i dalej go polerując. – Jak byłem jeszcze małym pędrakiem, tatuś mówił mi, że najlepiej się urządzi w życiu ten, kto śmiało wyprzedza o krok innych, choćby ryzykował, że od czasu do czasu wdepnie w krowie placek. Tato mawiał, że najżałośniejsi są ci, co się chowają przed deszczem, żeby ich nie pokropił, albo drepcą tu i tam, by przypadkiem nie wleźć w krowie łajno.

Włożył kasztan do kieszeni, przyglądził włosy koloru piasku. Szeroki uśmiech pojawił się na jego twarzy jak zwykle, kiedy nadarzyła się okazja wspomnieć o ojcu.

– Nigdy nie zapomniałem, co mówił mi tatuś, i trzymam się tego przez, powiedzmy, czterdzieści lat. Nie obchodzę krowich łajen, jest ich mnóstwo na tym świecie, nie zwracam na nie uwagi. Jedyne co mnie interesuje, to wysunąć się do przodu, żeby skorzystać z okazji, zanim ktoś mnie ubiegnie.

Dlatego zawsze jestem o krok przed innymi i czekam na swoją porcję szczęścia. Kryje się ono przed tymi, co kluczą i wyteżają uwagę, żeby w coś nie wdepnąć. Dlatego zawsze zobaczysz mnie, jak śmiało walę naprzód patrząc przed siebie i nie bacząc, w co wleżę.

– A co z tym kasztanem? Wciąż wyciągasz go z kieszeni i pocierasz, jakby miał magiczne właściwości.

Native uśmiechał się potrząsając głową.

– Wyznam szczerze, że ten kasztan nie ma żadnego znaczenia. Dla mnie to betka. A noszę go w kieszeni, bo jest na świecie mnóstwo ludzi przesądnych, co uważają, że pewne przedmioty przynoszą szczęście. Niektórzy są zdania, że tylna łapka szarego królika jest szczęściodajna, zwłaszcza lewa. Inni twierdzą, że kopyto kozła jest lepsze niż łapka królika. Wszystko to brednie. Mógłbyś równie dobrze nosić w kieszeni grzebień koguta albo świński ryj. Nic ci nie pomoże, jeżeli nie masz wrodzonego drygu do szczęścia. Dlatego ja polegam tylko na sobie.

– Jeżeli masz takie szczęście, czemu nie grasz w pokera lub w kości? Mógłbyś wygrać ciężką forszę.

– Nie, szanowny panie! To nie dla mnie! – stanowczo odparł Native. Uśmiech zniknął z jego twarzy, zmarszczył brwi. – Tatuś mówił mi, że w świecie roi się od oszustów i kanciarzy, którzy ogrywają w pokera i kości uczciwych ludzi. I miał, cholera, rację. Napatrzyłem się znaczonych kart i kostek

z fałszem, nie nabiorą mnie na to. Polegam na własnym szczęściu i to mi wystarcza. Gram rzetelnie, nie uznaję kantów i nie ryzykuję, że mnie oszukają. Trzymam się tego, co mówił mi tatuś.

– A jednak, gdybym był takim szczęściarzem, zaryzykowałbym parę dolarów na szybką partyjkę kostek.

– Nie, dobrodzieju! Wykluczone! – Native znów potrząsał głową. – Wiem, z czym mi dobrze. Nie mam nic wspólnego z tymi, co uważają za cel życia być bogaczem i ważną osobą. Tacy zamartwiają się, że są biedni, nikt się z nimi nie liczy i nic nie mają z życia. Moją wielką ambicją jest pozostać sobą. Było mi z tym dobrze i takim chcę zostać.

Nic więc dziwnego, że niemal wszyscy mieszkańcy Palmyry uważali powodzenie i zdobycze Hunnicutta za z góry przesądzone, nieuniknione, normalne, ustanowione przez samą naturę. Dlatego też nikt się nie zdziwił, gdy Native ożenił się z Maebelle Bowers krótko potem, jak owdowiała i odziedziczyła solidny piętrowy dom z czerwonej cegły przy Cherry Street i prawie tysiąc akrów ziemi uprawnej i lasu w okolicy. Wszyscy wiedzieli, że Frank Bowers, który był mężem Maebelle przez trzydzieści lat, należał do najbogatszych mieszkańców Palmyry.

Jak się wiadomość o małżeństwie Native'a rozniosła, powszechnie uznano, że szczęście nie tylko go nie zawiodło, ale przeszło wszelkie oczekiwania. Maebelle była bezdzietna, poza tym miała tylko paru dalekich kuzynów. Wydawało się

więc pewne, że Native, o piętnaście lat młodszy od Maebelle, przeżyje ją i po jej śmierci odziedziczy cały majątek. O szczęściu Hunnicutta mówiło się już daleko od miasteczka, aż po piaskowe wzgórza górnej części hrabstwa Sycamore.

Jak tylko słońce zaszło, Native wziął strzelbę, rybacki sprzęt, zawiniątko z odzieżą, i poszedł do domu Maebelle przy Cherry Street.

Pobrali się wczesnym popołudniem. Native spodziewał się, że pójdzie z nią do domu, kiedy wielebny Walker dopełni ceremonii ślubu w modlitewnej salce kościoła. Maebelle powiedziała jednak, żeby poszedł do siebie i czekał do zachodu słońca, ona tymczasem przygotowuje weselną kolację. Native był głodny od samego rana i prosił, czy mógłby coś zaraz przekąsić, ale była zbyt podniecona, żeby go słuchać. Szedł za nią dwie przecznice, skarżył się, że jest głodny, i błagał, by ustąpiła – nawet się nie obejrzała.

Maebelle dotrzymała słowa. Kiedy przyszedł do niej, kolacja była gotowa. Kazała Josene ugotować całą szynkę, wielki garnek grochu i upiec trzy lub cztery pasztety ze słodkich kartofli. Przysiadł się do stołu i najadł do syta.

Po czym odsunął krzesło, popuścił pasa i powiedział Maebelle, że w życiu tak dobrze nie jadł, a to, że się z nią ożenił, jest jego największym osiągnięciem. Maebelle uśmiechała się i promieniała z radości, wtedy oświadczył, że teraz należałoby odbyć dłuższy spacer, żeby ułatwić żołądkowi

strawienie takiej ilości dobrego jadła. Maebelle była tak rada, że pochwalił jej kuchnię, i jeszcze nie ochłonęła z wrażenia, jakie na niej zrobiła ceremonia ślubu, że potem jak przez mgłę pamiętała, że Native bąknął coś o polowaniu na oposa.

Istotnie, przyrzekł przed tygodniem Alowi Diddowi i George'owi Downeyowi, że tego właśnie wieczoru wybiorą się polować na oposa. Wyszedł z domu o dziewiątej wieczór i wrócił na śniadanie nazajutrz rano.

Był zmęczony i oczy mu się kleiły po całej nocy brodzenia po bagnach i przedzierania się przez gąszcza po obu brzegach Reedy Creek. Psy Downeya wytropiły cztery oposy tuż przed świtem. Native był bardzo rad, że w ciągu jednej nocy tyle upolowali. Wielu myśliwych z hrabstwa Sycamore zadowoliliby się jednym oposem, bo sezon myśliwski dopiero się zaczynał.

Maebelle, z głową przewiazaną różową wstążką i w nowym szlafroku w kwiaty, jadła śniadanie, gdy wszedł Native i siadł do stołu. Buty miał zabłocone, do wyblakłych brązowych spodni uczepiły się osty, a niebieska wiatrówka usiana była wrzościami. Otrzepał z igliwia starą szarą czapkę i zawiesił ją na oparciu krzesła. Nie patrząc na Maebelle przysunął krzesło do stołu.

Maebelle wstrzymała oddech, jak długo tylko mogła. Twarz jej się zaczerwieniła, usta zacisnęły.

– Jak się masz? – spytał Native z uśmiechem odsłaniającym złoty ząb w głębi ust. Po raz pierwszy spojrział jej w oczy. – Jak się masz, Maebelle?

Otworzyła usta i nareszcie zaczerpnęła powietrza. Wzruszyła ramionami. Ręce zacisnęła na kolanach. Siedziała patrząc, jak Native bierze się do gorącej owsianki i bułeczek nadziewanych kiełbasą. Różowa wstążka na głowie trochę się zsunęła, kosmyk włosów ześliznął się na czoło. Odsunęła go nerwowym ruchem ręki.

– Gdzie się podziewałeś całą noc? – spytała.

Jej okrągła twarz była zarumieniona z gniewu, piers gwałtownie falowała.

– Ano, jak powiedziałem wczoraj wieczór, po zjedzeniu najlepszej kolacji w życiu, trochę się przeszedłem, żeby ułatwić żołądkowi trawienie...

– I to ci zajęło całą noc? Odpowiedz! Coś robił tyle czasu?! Gdzie byłeś? Z kim?

Kręcił się na twardym krześle z głupią miną i krytycznym okiem spozierał na tapety w czerwone róże. Wreszcie utkwiał wzrok w jednym pęku róż i wolno je przeliczył.

– Żeby powiedzieć całą prawdę – zaczął starannie unikając jej gniewnego spojrzenia – przed tygodniem Al Didd i George Downey podeszli do mnie na ulicy i zaproponowali, żebym się wybrał z nimi na oposa. Spytałem, kiedy to ma być,

okazało się, że akurat wczoraj wieczór. Tak to się dziwnie czasem składa. W każdym razie przyrzekłem, że pójdę z nimi, a nikt mi nie może zarzucić, że kiedykolwiek złamałem słowo honoru. Bo moje słowo honoru jest rzeczą świętą. Naturalnie, kiedy obiecywałem im, że się wybiorę na oposa, pojęcia nie miałem, że się z tobą ożenię. Sama wiesz, jak długo musi trwać polowanie na oposa. Całą noc wlokącą się w nieskończoność. Każdy dobry myśliwy ci to potwierdzi. Chytre oposy nie wychodzą wczesnym wieczorem. Czekają i dopiero między północą a świtem ruszają się i pozostawiają świeże ślady, które ogary mogą wytropić i pójść za nimi. Dowiedziałem się tego od mojego taty, kiedy byłem jeszcze małym pędrakiem. Całe życie polowałem na oposy i dobrze znam ich zwyczaje.

Maebelle patrzyła na niego mrużąc oczy.

– Czy to jest wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Native uśmiechnął się.

– Chyba to wszystko, co bym miał do powiedzenia na ten temat kobiecie.

Maebelle rozparła się w krzesło i na chwilę przymknęła oczy.

– Gdyby jednak mężczyzna chciał ze mną pogadać o polowaniu na oposy... – zaczął Native.

– Mam ci wiele do powiedzenia – przerwała Maebelle otwierając szeroko oczy. – Siedź i słuchaj, Native Hunnicutt.

Mierzyła go chłodnym spojrzeniem kiwając głową na boki.

– Sama nie wiem, co mnie opętało, że wyszłam za ciebie. Żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie wyszłaby za mężczyznę z takim dziwnym imieniem. Tylko do ciebie to imię pasuje. I na tym polega cały kłopot. Posługujesz się nim, jakby to był talizman, za pomocą którego wyłudzasz coś za nic. Zapamiętaj sobie na całe życie, co ci powiem, dobrze nastaw uszu. Nic nie uzyskasz dzięki temu imieniu ode mnie, ani krztyny, żebyś nie wiem co wymyślił, do jakich wybiegów się uciekł i jak się do mnie przymilał. Gdybym miała choć trochę oleju w głowie, pozostałbyś dla mnie obcym człowiekiem.

Native spuścił głowę, oparł się lewym łokciem o stół, pochylił nad talerzem i jadł owsiankę zagryzając bułeczkami nadziewanymi kiełbasą. Myślał o tym, jak często wypominano mu jego dziwne imię. („Jak pierwszy raz usłyszałem to imię, wziąłem je za żart, przydomek czy coś podobnego. Ale po trzech, czterech razach brzmiało w moich uszach naturalnie, jakby ktoś niedzielę nazwał niedzielą. Wystarczy takie imię powtórzyć parę razy i już brzmi, niczym stare jak świat. Przyzwyczaisz się, a imię to brzmi tak samo jak John Henry lub Claude Hunnicutt. Teraz inne imię niż Native nie pasowałoby do Hunnicutta.”)

Zerknął na Maebelle.

– Siedź cicho – odezwała się nagle – i raz w życiu porządnie się zastanów. Nie wiem, co ci chodzi po głowie, jeśli w ogóle robisz użytek z głowy, ale ja ci mogę dać wiele do myślenia. Jeżeli ktoś może położyć kres twemu powodzeniu, którym tak się przechwalasz, tym kimś jestem ja. Nie myśl, że się zawaham. Nie wiem, co chciałeś uzyskać namawiając mnie do małżeństwa, ale cokolwiek to było – nic z tego. Jeśli ci się zdaje, że dziwne imię i fakt, iż jesteś ostatnim z rodu Hunnicuttów pozwoli ci uzyskać coś za nic, przemyśl całą sprawę i znajdź sobie lepszy pretekst.

Native pochylił się jeszcze nad talerzem, żeby łatwiej sięgnąć łyżką. („Nigdy nie było dużo Hunnicuttów w hrabstwie Sycamore, a po śmierci taty Native’a tylko on się ostał. Co więcej, mówił mi, że całe życie chciał mieć syna, by odziedziczył nazwisko, ale jego krew nie mogła rozgrzać się do białej kobiety. W każdym razie nie śmiał przenieść się do Jacksonville lub Atlanty i znaleźć tam dobrą pracę. Po prostu bał się oddalić od domu, bo chciał, żeby jego nazwisko jak najdłużej przetrwało w Palmyrze i hrabstwie Sycamore. Pewnie dlatego zadowolili się przez całe życie klepaniem biedy i naprawianiem aparatów radiowych i tym podobnych, byle pozostać blisko domu.”) Native zerknął znad talerza i na moment oczy ich się spotkały.

– Chciałbym ci coś oświadczyć – powiedział stanowczym tonem. – Jestem dumny ze swego imienia. To jedyna rzecz, którą mam ja i nikt inny nie posiada. Nadał mi to imię

tatuś mówiąc, że już za wiele chodzi po świecie Johnów, Tomów i tym podobnych posiadaczy banalnych imion.

Spojrzał na Maebelle i nabrał sobie porcję kielbasy.

– Tatuś przykazał mi także, żebym ze wszystkich sił przez całe życie trzymał się tego imienia, nie wstydził się go i nikomu nie dał się namówić na żadną zmianę. Nie mógł mi zostawić w spadku miliona dolarów, ale zostawił imię przynoszące szczęście. Wierzę w to, co mówił, i nikt mnie w tym nie zachwieje.

Maebelle pochyłona nad stołem nerwowo się uśmiechała. Jej twarz wciąż płonęła gorączkowym rumieńcem, ale najwidoczniej starała się być miła i wesoła. Położyła mu rękę na ramieniu i poklepała go.

– Nie miałam nic przeciw zmianie mego nazwiska z Bowers na Hunnicutt, jak wczoraj wyszłam za ciebie – powiedziała słodko się uśmiechając. – Byłoby szalenie miło, gdybyś zechciał zmienić swoje osobliwe imię na jakieś bardziej godne szacunku. Dostałabym wspaniały prezent ślubny i z wielką wdzięcznością bym go wspominała. Nie życzę sobie, żeby mnie ludzie nazywali panią Native Hunnicutt. Nie ścierpiałabym tego. Byłaby to udręka. Wstydziłabym się wyjść na ulicę, gdyby tak się do mnie zwracano. Nawet moi najlepsi przyjaciele w mieście kpiliby sobie ze mnie, ilekroć by usłyszeli to imię. Zrobisz to dla mnie i zmienisz imię, prawda?

Uśmiechnęła się do niego i ścisnęła mu ramię drżącymi palcami. Cierpliwie czekała na jego odpowiedź, ale milczał nieporuszony.

– Słuchaj – powiedziała z nadzieją w głosie podsuwając mu sosjerkę. – Gdybyś zmienił imię na Teodor, mówiłabym do ciebie krótko: Teddy. Podobałoby ci się, prawda? Przychodzi mi także na myśl inne piękne imię. Randolph. Jest to naprawdę męskie imię. Mówiłabym do ciebie krótko: Randy. Co o tym powiesz? Jest jeszcze wiele innych pięknych imion.

Native sięgnął po grzanki.

– Wykluczone! – odparł stanowczo potrząsając głową. – Nie ma mowy! Tatuś mówił mi, że z moim imieniem zdobędę więcej, niż kto inny ze zwykłym imieniem mógłby przez całe życie wyciągnąć z kasy First National Bank albo z tysiąca akrów ziemi uprawnej i lasu. Wykluczone! Nie namówisz mnie, żebym zapomniał o tym, co mówił tatuś!

Maebelle westchnęła z rezygnacją i opadła w krzesło.

– Przestań gadać o tatusiu i siedź cicho! Dostyc się o nim nasłuchiłam!

Wargi jej drżały, łzy napłynęły do oczu. Siedziała i wpatrywała się, nie widząc, w jasne promienie porannego słońca igrające w oknie.

– Po to tylko ożeniłeś się ze mną, żeby zagarnąć moje grunty i lasy – powiedziała Maebelle bezradnie szlochając. Oczy zaszyły jej łzami. – A ja ci z całego serca wierzyłam, przekonana, że masz na względzie bardziej podniosłe cele.

Otarła łzy serwetką, żeby lepiej go widzieć.

– Gdyby mój pierwszy mąż nie zmarł i nie zapisał mi tyle cennej ziemi, a także domu, nawet nie spojrziałbyś na mnie po raz drugi. Taki z ciebie podły łajdak – Native’ie Hunnicutt! Szkoda, że nie posłuchałam przyjaciół! Przestrzegali mnie, że pożałuję, jeśli wyjdę za kogoś niższej pozycji społecznej!

Łzy ciekły jej po twarzy, ale była zbyt przygnębiona, by je obetrzeć.

– Prawo powinno karać takich jak ty, co wykorzystują bezradne wdowy!

– Słuchaj, Maebelle, sprawa ma się całkiem inaczej – odparł Native. Podniósł na nią wzrok i potrząsał głową. – W głębi serca czuję się tak samo ucziwy jak każdy, kto by się znalazł na moim miejscu. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem cię po pogrzebie, od razu wiedziałem i czułem, aż do szpiku kości,

że dobry los się do mnie uśmiechnął. Tyle razy miałem to uczucie, że nigdy się nie mylę, i poznaję go tak samo jak własne imię. Dlatego nie zwlekając przyszedłem do ciebie pogadać i poznać się. Mogłem odczekać parę dni, ale byłoby to wbrew moim zasadom. Pamiętałem, co tatuś mi przykazywał. Że trzeba o jeden skok wyprzedzić innych, choćbyś wdepnął w krowie łajno...

Maebelle rzuciła serwetkę na stół, chwyciła łyżkę i wyrzuciła ją z całej siły o ścianę. Łyżka z brzękiem upadła na podłogę.

– Gdyby ten twój tatuś żył i dostał mi się w ręce – zawołała – to bym ukreśliła mu łeb jak tłustemu kogutowi na obiad w niedzielę! On jest powodem mojego nieszczęścia! Twój tatuś! Obyś nigdy nie miał ojca! Gdyby cię nie nauczył tych sztuczek, nigdy nie udało by ci się namówić mnie do małżeństwa!

– Ależ, Maebelle, wiesz dobrze, i to jest szczerą prawdą, że wszystko zaczęło się od pytania: jak się masz? Stałem tam na ganku od frontu, myślałem o tobie i podziwiałem twe wdzięki, kiedy odezwałaś się do mnie. I to jest niezbita prawda. Powiedziałaś wówczas, że jesteś gotowa natychmiast wyjść za mnie. Po czym dodałaś, że martwi cię to, iż sąsiedzi widzieli, jak przyszedłem do ciebie i rozmawiałem z tobą na ganku, wobec czego chciałaś szybko wyjść za mnie, zanim ludzie w mieście wezmą nas na języki.

Maebelle otarła łzy z oczu. („Takich jak on jest wielu i wszędzie można ich znaleźć. Są to nicponie i dranie z szerokim uśmiechem na twarzy, a w kieszeni nie mają ani jednego dolara. Postępują tak, jakby dziś było wczoraj, i nie zdają sobie sprawy, że będzie jeszcze jutro. Gdyby byli szczeniakami, można by ich nazwać ostatnim miotem, bo są tak cherlawi, że większe szczenięta łażą po nich i dobrze się mają, a kiedy te mizeraki dostaną się do sutki, już nie ma w niej mleka. Ale tych ludzi nie można topić jak szczenięta, szwendają się więc po świecie i wypatrują, gdzie by się pożywić. Okazuje się, że zawsze ktoś nad nimi się zlituje i obdarzy najlepszym kąskiem.”)

Maebelle starannie złożyła serwetkę i uśmiechnęła się; bez śladu gniewu na pełnej twarzy.

– Byłam strasznie samotna – zwierzyła się i pochyliła dokładając mu owsianki i bułeczek z kiełbasą. – Trudno to wytłumaczyć mężczyźnie, bo słowa nie mogą tego wyrazić. Prawdą jest, że chciałam być blisko ciebie. Jako młoda dziewczyna wiele razy odczuwałam potrzebę serdecznych uczuć. Teraz rzadko mi się to zdarza. Dla kobiety pod wpływem takich emocji nic innego się nie liczy i w obronie tych tęsknot gotowa jest na wszystko. Inaczej nie umiem wyjaśnić tego mężczyźnie. I nie waham się wyznać, że jestem jeszcze na tyle młoda, bym doznała tych uczuć, gdyś zapukał do moich drzwi. Drżałam na całym ciele. Dorosła kobieta staje się wtedy sobą. Teraz, gdyśmy się pobrali, chętnie wyznaję ci tę tajemnicę. Mówiąc o tym odczuwam ulgę. Jestem rada, że

małżonkowie mogą rozmawiać o wszystkim spokojnie i swobodnie. Czy doznajesz tego samego uczucia?

Przerwała, by zaczerpnąć tchu. Pochyliła się i czule poklepała go po ramieniu.

– Chyba rozumiem i cenię sobie każde twoje słowo. Męczyzna często doznaje niepohamowanych pragnień i rozgląda się, gdzie by je zaspokoić.

Maebelle wstrzymała oddech tak długo, jak mogła.

– Dlaczego całą noc nie było cię w domu? – spytała gniewnie. – Odpowiedz!

Przez wahadłowe drzwi z kuchni weszła Josene. Maebelle oparła się w krzesło i zacięła usta. Josene przyniosła dzbanek gorącej kawy i placek ze słodkich kartofli. Postawiła dzbanek przed Maebelle, a placek przed Native'em. Kiedy pochyliła się, poczuł, jak musnęła go ramieniem.

Szeroki uśmiech rozjaśnił mu oblicze na widok placka, spojrzał na Josene i z uznaniem pokiwał głową. Stała wciąż tuż za jego krzesłem i uśmiechała się patrząc na niego.

– Ależ to wspaniałe przysmak – powiedział patrząc na placek, po czym podniósł wzrok na Josene i kiwnął jej głową. – Zawsze było to moje ulubione danie i mógłbym je jeść o każdej porze dnia. Tylko tego jednego zazdrościłem ludziom bogatym. Gdyby mi dane było dorobić się majątku, zbuduję

ogromną piekarnię i będę produkował takie placki. Tatuś mówił mi...

– Ani słowa więcej o tatusiu! – zawołała Maebelle uderzając nożem w stół.

– Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo cenię sobie...

– Idź do kuchni i weź się do roboty! – szorstkim tonem powiedziała Maebelle do Josene i odprawiła ją gestem ręki. – Słyszałaś? Nie stój tu i nie gap się. Nikt z tobą nie rozmawia. Wiesz, co masz robić, żeby zachować pracę.

Josene wolno odeszła od stołu.

– I nie wracaj tu, póki cię nie zawołam!

– Tak, pani Bowers – odparła Josene odwracając się do wyjścia.

– Przestań mnie tak nazywać, Josene! Słyszałaś? Nie zniosę tej bezczelności. Dobrze wiesz, że od wczoraj po południu nazywam się pani Hunnicutt. Zapamiętaj to sobie!

Native spojrzał na dziewczynę. Ich oczy się spotkały. Był pewny, że na jej ustach pojawił się ledwie dostrzegalny uśmiech.

– Przepraszam, że zapomniałam – szybko powiedziała cofając się do drzwi kuchni. – Postaram się pamiętać o tym, pani Hunnicutt.

– No, dobrze ci radzę!

Gdy Josene wyszła do kuchni, zapanowała cisza. Po chwili Native nałożył sobie ćwierć placka i zaczął jeść. Rozparł się na krześle i zjadał z uśmiechem rozkoszy na twarzy. Z uznaniem kiwał głową.

– Zaczny placek ze słodkich kartofli jest największą rozkoszą dla mężczyzny.

Maebelle położyła mu rękę na ramieniu.

– Wcale nie miałam zamiaru ci urągać – powiedziała żalonym głosem. Pochyliła się do niego i uśmiechnęła. – Jak mnie lepiej poznasz, przekonasz się, że wcale nie jestem zrzędliva, jak bywają inne kobiety. Nie wiem, ki diabeł mnie opętał, że z przyjemnością ci wymyślałam. Widocznie nerwy mnie poniosły. Pół nocy przesiedziałam, kręcąc się, w nadziei, że zaraz wrócisz, i nie wyspałam się. Co się zdrzemnęłam, zrywałam się, patrzyłam, która godzina, i czekałam na ciebie. Tak było całą noc, najdłuższą noc w moim życiu, koszmarą. – Poklepała go po ramieniu. – Dlatego byłam tak zdenerwowana i spięta. Ale naprawdę nie jestem zła; Jak mnie lepiej poznasz, zobaczysz, że jestem normalną kobietą. Gdybym wczoraj nie soedziła bezsennej nocy...

– Ja teraz też bym się trochę przespał – odparł Native. Włożył ostatni kawałek placka do ust i żuł go uśmiechając się z zadowoleniem. – Uciałbym sobie drzemkę i to by mi świetnie zrobiło. Już nie mogę obejść się bez snu. Jak byłem młodszy, mogłem szaleć dzień i noc. Pamiętam jeszcze parę lat temu...

Maebelle, ściskając mu mocno ramię, odsunęła krzesło i wstała.

– Chodź ze mną, Native – nalegała ciągnąc go, aż wstał.
– Mam dla ciebie niespodziankę. Zabieram cię z sobą, ułożę wygodnie w łóżeczku i zaciągnę story, jakby znowu była noc. Tylko kobieta wie, czego trzeba mężczyźnie w takiej chwili. Długa, przyjemna drzemka dobrze nam zrobi po tej nerwowej szarpaninie.

Trzymając go mocno za ramię ciągnęła przez hall do sypialni.

– O jakiej szarpaninie mówisz? – zapytał. – Nie przypominam sobie, żeby zaszło coś nadzwyczajnego.

– Wiesz... – odparła Maebelle. Chichocząc prowadziła go do sypialni. – Każdy żeniąc się jest nerwowy, ale przy mnie nie musisz się krępować. Możesz wszystko powiedzieć, co ci przyjdzie do głowy, a ja się postaram spełnić każde twoje życzenie.

– Ale w tej chwili ja niczego od ciebie nie chcę.

Gdy weszli do sypialni, Maebelle zamknęła drzwi na klucz.

– Dobrze wiem, jak się czujesz. Ożenek zawsze wywołuje wielkie napięcie nerwowe, przynajmniej za pierwszym razem. Zdaje sobie sprawę z tego, że przez całe

życie byłeś kawalerem, i pomogę ci oswoić się ze zmianą sytuacji.

Poprowadziła go do nóg łóżka.

– A teraz, śmiało, zachowuj się naturalnie. Tak najlepiej zacząć.

Native siadł na skraju łóżka i zdjął zabłocone buty. Potem zaczął obierać spodnie z ostów i ujmując je w palce rzucać na tapety w żółte i białe paski. Ale choć dobrze celował, osty spadały na podłogę.

– Zamartwiałam się w tym pokoju wczoraj w nocy czekając na ciebie – usłyszał jej głos. – Zamiast się do ciebie przytulić, spędziłam najokropniejszą noc w życiu. Kiedy powiedziałeś, że idziesz polować na oposa, nie przywiązywałam do tego wagi, bo byłam pewna, że wrócisz koło północy. A potem czas mijał...

– Dobre łowy na oposa muszą trwać całą noc – zapewnił ją z powagą. – Trzeba mieć wiele czasu i nie można się śpieszyć. Mówiłem ci już o tym. Oposy to przebiegłe stworzenia. Jeżeli nie wleżą na drzewa, kryją się w dziuplach albo ryją jamy pod zmurszałymi pniakami i wychodzą dopiero przed świtem. Powie ci o tym każdy, kto zna ich zwyczaje. Wyobrażają sobie, że ogary do tego czasu zmęczą się bieganiem w kółko i tak się zadyszą, że nie potrafią zwęszyć śladów. Takie to chytre zwierzątka. Dlatego wytropienie ich

wymaga tyle czasu i cierpliwości. Naturalnie tylko doświadczony myśliwy wszystko to wie.

W sypialni zapanowała cisza. Native odwrócił się, ciekawy, co robi Maebelle. Włożyła nocną koszulę i siedząc po drugiej stronie łóżka czesała się.

Nagle w głębi domu rozległ się hałas, jakby ktoś tłukł garnkami. Wyglądało na to, że Josene kopie patelnię po podłodze albo wali nią w piec. Maebelle odwróciła się do niego.

– Co się tak patrzysz na mnie? – spytała, jakby nie słyszała hałasu w kuchni. – Nie ma czego się wstydzić. Jestem taka jak inne kobiety.

– Co to był za hałas?

– Nic nie słyszałam. Zdawało ci się. Na co czekasz? Połóż się. Przytul mnie.

– Myślałem sobie... – powiedział.

– O czym myślałeś?

– O tym, co mówił mi tatuś.

Maebelle głęboko westchnęła. Potem przez chwilę milczała nerwowo zagryzając wargi.

– Co mówił? – spytała z nadzieją w głosie.

Native zawahał się.

– Nie wiem, czy mogę ci powiedzieć...

Maebelle zachichotała.

– Śmiało. Jesteśmy małżonkami i możesz się nie krępować. Pora, byś do tego przywykł. Powtórz, co mówił twój ojciec?

– Ano, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, tatuś mówił, że są dwa ważne powody, by mężczyzna brał za żonę dużą, tłustą kobietę – ma mu gotować i grzać go w zimne noce... Jeść mogę cały rok – zimowe noce jeszcze się nie zaczęły.

Maebelle szlochając padła twarzą na łóżko.

– Żebyś w tym domu nie ważył się wspomnieć o swoim tatusiu!

Było późne popołudnie jesiennego dnia, kiedy Native obudził się po długiej krzepiącej drzemce. Ocknął się, ziewnął parę razy i przetarł oczy. Potem podniósł głowę z poduszki i rozejrzał się po nieznanym pokoju. Starał się przypomnieć sobie, kiedy spał we własnym łóżku, ale było to tak dawno, że postanowił nie wyęźać pamięci i opadł znów na poduszkę.

Zdał sobie sprawę, gdzie jest, gdy poznał tapety w żółte i białe paski, zobaczył swą niebieską kurtkę i starą szarą czapkę leżące na krześle przy łóżku. Słuchał ciężkiego oddechu Maebelle, leżał drapiąc się nerwowo i zastanawiał, która może być godzina. Story były spuszczone i tylko wąskie pasemka słońca przenikały przez szpary. Ostrożnie, by nie obudzić Maebelle, wstał z łóżka i dotknął stopami podłogi. Najpierw sięgnął po czapkę. Potem znalazł buty, jeszcze mokre i zabłocone. Po cichu włożył wiatrówkę oblepioną wrzoścem. Wreszcie przekręcił klucz w drzwiach i otworzył je nie obudzwszy Maebelle. Przeszedł na palcach przez hall do ganku od podwórza.

Słońce jeszcze świeciło, ale dni stawały się coraz krótsze o tej porze roku i długie cienie kładły się na wyschniętą trawę w podwórzu. Wiele razy widział front domu Maebelle, po raz pierwszy jednak znalazł się na tyłach

prostokątnego budynku z czerwonej cegły. Podwórze wyglądało podobnie jak inne w tej części miasta i nic go w nim nie dziwiło.

Sękaty stary mahoń z połamanymi przez wiatr konarami rósł przy jednym rogu domu, a płacząca wierzba przy drugim. Po obu stronach ganku znajdowały się klomby, pod oknami rosły róże i słoneczniki, których łodygi i liście już pożółkły. Zielsko sięgało do kolan. Cztery lub pięć wyszarżających na deszczu krzesel z połamanymi oparciami leżało rozrzuconych pod obwisłą winoroślą, a naprzeciw trawnika, w zamkniętym na kłódkę garażu, Maebelle trzymała swą błyszczącą limuzynę. Obok garażu stała odsłonięta po bokach szopa na grabie, motyki i inne narzędzia. Za sznurem do wieszania bielizny, przy bramie do alejki, widać było stos śmieci.

Stał na ganku, żeby oswoić oczy ze światłem dziennym i nasłuchiwał, gdzie może być Josene. Z domu nie dobiegały żadne odgłosy, na przykład brzęk garnków w kuchni. Zwykle o tej porze dnia krzątała się tam Josene. Chciał wrócić do domu i zobaczyć, czy nie ma jej w kuchni, ale obawiał się, że o coś się potknie, narobi hałasu i obudzi Maebelle. Zszedł więc po schodkach z ganku i przemierzył trawnik w stronę drewnianej bramy na końcu alejki.

Gdy doszedł do stosu śmieci, był tak ciekaw, co też tam może być, że przystanął. („Całe życie widziałem, jak Hunnicutt grzebał w śmietnikach, nigdy nie spotkałem kogoś

równie ciekawego, co też ludzie wyrzucają na śmieci. A równocześnie nie zauważyłem, by coś wyniósł ze śmietnika. Zdawać by się mogło, że znajdzie coś na sprzedaż lub zabierze do domu. Native nigdy tego nie robił. Sądzę, że wystarczyło mu, jak się dowiedział, czego ludzie się pozbywają.”)

Podniósł kij, grzebał nim w śmietniku, lecz znalazł tylko gałęzie mahoni i wierzby, mnóstwo zeschniętych liści lebiody i mniszku, tuziny puszek po konserwach i skorupy zbitych filiżanek i talerzy. Mruknął do siebie, że w życiu nie widział czegoś tak nieciekawego jak śmietnik Maebelle, rzucił kij i szybko wyszedł za bramę. Chciał zniknąć, zanim żona wyjdzie na ganek i go zawoła.

Parę minut drogi dzieliło go od domu Maebelle do jego siedziby. Składała się z dwóch izb, mieszkał tam i miał warsztat. Domek ten stał na końcu ślepej uliczki za miejską strażą ogniową.

Wąska alejka nie miała nigdy tabliczki, jej nazwa nie figurowała też na planie miasta. Od niepamiętnych czasów nazywano ją Małpim Gajem. („Małpi Gaj nigdy nie będzie musiał mieć tabliczki. Każdy w Palmyrze powie wam dlaczego. Ja, ledwie trochę podrosłem, już wiedziałem. Musiały być poważne powody, żeby coś bez nazwy przetrwało w pamięci ludzkiej pięćdziesiąt lat. Zaczęło się od tego, że stało tam tuzin lub więcej chałupek stłoczonych ciasno jedna przy drugiej. Biali mężczyźni lub wyrostki, co się już golili, spędzali w nich czas z towarzyskimi czarnymi dziewczynami między

zachodem a wschodem słońca. Wszystko to należy już do przeszłości. Pozostał tylko domek, w którym mieszka Hunnicutt – naprawia aparaty radiowe i wszystko, co ma druty elektryczne. Dziś, mężczyzna, który szuka tego rodzaju towarzystwa, musi inaczej to załatwić.”)

Idąc do Małpiego Gaju Native spotkał Fatty’ego Lattimore’a, Miliarda Westa i paru innych znajomych, ale odwrócił głowę, przyspieszył kroku i nie dopuścił, by ktoś go zatrzymał i wdał się w pogawędkę. Słońce już zachodziło. Chciał wziąć się do radia, które przyrzekł naprawić już tydzień temu.

Gdy skręcił na rogu ulicy za strażą pożarną, ujrzał Clyde’a Hefflina siedzącego na progu domu. Clyde był kiedyś zawodowym zapaśnikiem i jeździł na obszarze stanu walcząc na jarmarkach i w wesołych miasteczkach. Stanowy prokurator zabronił mu walczyć, kiedy Clyde stracił panowanie nad sobą i zadusił przeciwnika na śmierć w czasie jarmarcznych walk. Był dwa razy żonaty, ale obie żony rozwiódły się z nim nie mogąc ścierpieć bicia, na jakie były narażone.

– Nareszcie przywlokłeś tu swoją ciężką dupę – zagrzemiał Clyde. – Czekam już godzinę. Któż ty jesteś, do cholery! Ani mi się śni tracić czas dla takiego łacha jak ty.

Gdy Native się zbliżył, Clyde wstał marszcząc brwi.

- Jak się masz, Clyde? - Native pozdrowił go podniesieniem ręki.

- Co ci do tego? Gdybyś tu się nie zjawił, poszedłbym do tego dużego domu z czerwonej cegły przy Cherry Street i cię stamtąd wypirzył. Wcale nie musisz obmacywać kobiety bez przerwy tylko dlatego, żeś się ożenił. Oddaj moje radio, do cholery! I to już! Pieprzyłeś się z nim tydzień.

Clyde Hefflin był zwalistym wielkim mężczyzną z dużą rudą czupryną, a głos jego najdonośniej brzmiał w mieście. Lubił, żeby słyszano go na całym placu przed sądem, jego bas był znany jak syrena tartaku w południe. Był zatrudniony na całym etacie jako zastępca szeryfa i pracował także na pół etatu w policji. Jako policjant pomagał patrolować ulice w soboty wieczorem i w nocy, kiedy w mieście było pełno przybyszów ze wsi. Stale miał przy sobie kajdanki, pałkę i pistolet. Przechwalał się, że zawsze znajdzie pretekst, by pięścią zwalić z nóg Murzyna, zanim nałoży mu kajdanki i odprowadzi do więzienia. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zabił sporo Murzynów, ale twierdził, że uczynił to wykonując obowiązki służbowe, w obronie własnej i nigdy nie oskarżono go o zabójstwo. („Nie pytajcie mnie dlaczego, bo nie wiem ale Clyde Hefflin nienawidzi czarnych bardziej niż duchowni nienawidzą grzechu. Znałem różnych ludzi, ale takiego podleca jak Clyde w życiu nie spotkałem.”)

– Wejdz, Clyde – powiedział Native otwierając kluczem drzwi. – Zaraz naprawię radio. Migiem to zrobię. Już wiem, co mu jest.

Weszli, Native zapalił światło. Izdebka była zavalona rozmontowanymi aparatami radiowymi różnych rozmiarów i kolorów, cewki i zwoje izolowanego drutu wisiały na gwoździach wbitych w sufit, zakurzone części tosterów, piecyków i lamp stołowych leżały rozrzucone na podłodze. Jaskrawe kalendarze z ubiegłych lat wisiały na ścianach obok kolorowych zdjęć wyciętych z magazynów. Szeroki stół do pracy zajmował znaczną część warsztatu. Do drugiego pokoju nie było drzwi. Stało tam podwójne łóżko. Poza tym jedynym meblem w pokoju była niemalowana szafka przybita gwoździami do ściany.

Native zdjął czapkę i wiatrówkę, powiesił je na gwoździu za drzwiami i podszedł do stołu. Zrobił na nim trochę porządku i znalazł małe czerwone radio z nazwiskiem Glyde'a na kartce.

– Zrobi się na poczekaniu – powiedział siadając na stolku i pochylając się nad warsztatem. – Dobrze wiem, czego mu brakuje. Parę śrubek i drucików się oblużowało. Stwierdziłem to przed kilku dniami. Teraz radia robi się na chybcika. I to są skutki. Drucik się oblużuje, śrubka wyleci, a naprawisz i radio jest lepsze niż nowe. Nie każę sobie płacić za nowe lampy, jeśli wystarczy dokręcić śrubki.

– To dlaczego, u diaska, nie wzięłeś się od razu do roboty, skoro to było takie proste?

– Pewnie miałem masę innej pracy.

Clyde usiadł na chwiejnym fotelu wypchanym bawełną i nakrytym szarym kocem. Kiedy się oparł, fotel zaskrzypiał i przechylił się na bok.

– Jedno ci muszę przyznać – powiedział Clyde śmiejąc się tak, że fotel znów zaskrzypiał i się przechylił – chociaż jesteś tylko kiepskim radiomechanikiem...

– Co to znaczy?

– Wyprzedziłeś bandę innych cwaniaków w mieście. To twoje szczęście, o którym tyle słyszę. Założę się, że na Cherry Street roiłoby się teraz od cwaniaków macających wdowę po Franku Bowersie i dobierających się do jej portfela, gdybyś ty pierwszy nie postawił nogi w drzwiach jej domu. A jednak źle się stało, że Frank wykorkował tak młodo i cały majątek zostawił wdowie, a ona podzieliła się nim z nygusem, który nie dołożył nawet dziesięciu centów. Nie ma znaczenia, że tobie się udało – cholerny wstyd pozostanie ten sam. Do licha ciężkiego! Zdarza się to każdemu, co umiera i zostawia żonie parę dolarów. Dlatego już się nie ożenię. Nie zostawię po sobie wdowy, która by z jakimś gnojkiem wydała moje ciężko zapracowane pieniądze..

Clyde wstał i podszedł do stołu. Przystanął i patrzył, jak Native dokręca śrubki aparatu.

– Powiedz mi... – odezwał się po chwili. – Między nami mówiąc, co zrobisz z ziemią i lasem, dla których ożeniłeś się z wdową? Będziesz je uprawiał, czy sprzedasz?

Native potrząsnął głową.

– Po prostu dalej będę robił swoje i tyle. Nigdy nie przyszło mi do głowy być farmerem i żyć na wsi. Ja się do tego nie nadaję. Przywykłem do miasta, za bardzo lubię miejskie życie, żebym się miał wyprowadzić na wieś i żyć w gnoju.

– Mając taki majątek nie będziesz musiał pracować. Pomyśl tylko: Sprzedasz kawałek gruntu za ciężką forszę i będziesz z rękami w kieszeniach spacerował po mieście. Bogaty gnojek na rencie do końca życia. Jak coś kupisz, nie musisz liczyć reszty, taki będziesz bogaty. Ja bym tak robił na twoim miejscu. Niech to diabli! Chciałbym być takim szczęściarzem.

Native potrząsnął głową.

– To nie zrobiłoby dużej różnicy w moim życiu. Lubię majsterkować przy elektrycznym sprzęcie. Zajmowałem się tym od niepamiętnych czasów i czułbym się jak zablakany pies w obcym mieście, gdybym musiał z tego zrezygnować. Nie wiedziałbym, co robić od rana do wieczora, gdybym nie miał roboty w warsztacie. Wolę to niż bilet prosto do nieba po śmierci. Bo tu jest mi lepiej niż w niebie. I dlatego nie ruszę się stąd.

– A co będzie z miodowym miesiącem? Musicie gdzieś wyjechać, nie? Ona za wszystko zapłaci, ciebie to nie będzie kosztowało ani centa.

– Nie, panie szanowny! Mnie to nie odpowiada – odparł Native stanowczo potrząsając głową. – Nie!

– Dlaczego?

– Ona może sobie jechać, gdzie jej się podoba, ja się nie ruszę.

– Chcesz powiedzieć, że ci się powiodło, ale nie chcesz z tego skorzystać?

– Zostanę tutaj, w Palmyrze. To moje rodzinne miasto. Nigdy nie chciałem wyjechać i znaleźć się w miejscu, gdzie nikogo nie znam. Nie wiedziałbym nawet, jak się kto nazywa. Strach mnie oblatuje na samą myśl o tym.

– A co ona na to?

– Nie wiem.

– Nie wspomniała jeszcze o miodowym miesiącu?

– Nie słyszałem.

– Co zrobisz, jak wspomni?

– Nic.

Clyde przeszedł na drugą stronę izby. Przystanął i długo wpatrywał się w plecy Native'a. Wreszcie znów się odezwał.

– O czym mówiliście wczoraj po ślubie? – spytał.

– Przeważnie o polowaniu na oposa.

Clyde roześmiał się.

– Okazuje się, że to jest cholerny ubaw ożenić się z bogatą wdową. Cały czas gadali o polowaniu na oposa! A wiesz, co ja bym zrobił?

– Co?

– Kazałbym jej podjąć stos forsy z banku i pojechalibyśmy wydać ją w wielkim hotelu w Atlancie albo Nowym Orleanie, a może nawet w jakimś droгим hotelu na Florydzie. Słyszę wciąż i czytam o Miami na Florydzie. Bardzo mnie korci, żeby tam pojechać i zmieszać się z bogatymi ludźmi. Pokazałbym im, jak się wydaje forszę zamożnej wdowy. Siałbym pieniędzmi, jak sieje się kurczakom ziarno.

– Może sobie jechać na Florydę i gdziekolwiek zechce. Ja zostanę tu, blisko domu. Nie doczekasz się, żebym opuścił Palmyrę i pojechał do miasta, w którym nigdy nie byłem. Mój tatuś szczęśliwie przeżył tu całe życie, ja też tu zostanę.

– Może się mylę – powiedział Clyde. – Może ciężko zapracowane pieniądze biednego Franka Bowersa nie zostaną przepuszczone.

Native wstał i odłożył narzędzia. Clyde podszedł do stołu.

– Gotowe – powiedział Native podając mu radio. – Będzie działało jak nowiutkie przez dłuższy czas.

– Chwileczkę. Chciałbym się jeszcze czegoś dowiedzieć. Po coś się z nią żenił, jeśli nie dla pieniędzy? Powiadasz, że nie chcesz, by płaciła za podróż poślubną, ani nie zamierzasz sprzedać ziemi. Nic z tego nie rozumiem. Po coś się ożenił?

– Chyba po to, by utrzymać moje szczęście w dobrym stanie, żeby nie zardzewiało i nie przyhamowało. I rzeczywiście sprytnie postąpiłem, bo okazało się, że ona świetnie gotuje. Poza tym lubię komuś pddać przysługę, jak mnie o to poprosi. Od tego ciepło mi się robi we wnętrzu.

– Co to znaczy? Czy zaproponowała ci, byś się z nią ożenił? O takiej przysłudze mówisz?

– Ano, w pewnym sensie, można powiedzieć, że było tak pół na pół. Poszedłem do jej domu, żeby spróbować szczęścia. A potem całe gadanie ona wzięła na siebie.

– Ach, więc tak się to stało.

Native kiwnął głową.

– Mniej więcej.

- Po prostu jesteś szczęściarz. Nie ma innego wytłumaczenia na to, żeby golec z Małpiego Gaju poszedł na Cherry Street i ożenił się z bogatą wdową.

Clyde włożył radio pod pachę i podszedł do drzwi.

- Ile ci jestem winien? - spytał.

- Dwa dolary.

- Dostaniesz na pewno jutro wieczór. - Otworzył drzwi i przestąpił próg. - Przypomnij mi.

- Chwileczkę - powiedział Native odprowadzając go do drzwi. - Nie zapłaciłeś mi za poprzednią reperację. Przypominasz sobie?

Jesteś mi winien jeszcze dwa dolary.

- Przypomnij mi to także, jak się spotkamy.

Gdy Clyde Hefflin zniknął za rogiem ulicy, Native zamknął drzwi i włączył piecyk elektryczny. Była połowa października. Po krótkim dniu słońce zachodziło, a noce były coraz chłodniejsze. Minie dwa, trzy tygodnie i na dachach ukaże się szron, a kałuże będą błyszczeć szkliwem lodu, kiedy rano wszędzie słońce.

Native stał przy piecyku grzejąc ręce i nogi. Myślał o Maebelle. Ciekaw był, co powiedziała, jak się zbudziła i zobaczyła, że wstał i wyszedł z domu. Był pewny, że Maebelle się wścieknie i lepiej będzie, jeśli nie wróci na noc. Nie martwił się o następny dzień i co ona mu wtedy powie. Postanowił nazajutrz wstać wcześniej, iść do niej i z dużym wyprzedzeniem zdażyć na śniadanie. Maebelle będzie miała dość czasu, żeby się uspokoić, i tak się ucieszy z jego powrotu, że znów go uraczy wyśmienitym śniadankiem.

Dobrze się ogrzał, potem przez prawie godzinę siedział rozbierając i składając radio. Usłyszał, że drzwi skrzypnęły za jego plecami. Nikt nie zastukał. Przypomniawszy sobie, że nie zamknął drzwi na klucz.

Zerwał się na nogi, przewrócił stołek. Był pewny, że to Maebelle przyszła wezwać go, by wrócił do domu, i teraz stoi na progu.

Weszła Josene z paczką owiniętą w gazetę i szybko zamknęła za sobą drzwi. Stała uśmiechając się do niego. Czekala, by się do niej odezwał.

Ręce mu jeszcze drżały, gdy podniósł stołek i postawił go przy warsztacie. Oparł się o stół, by się opanować.

– Nie wiedziałem, że to ty – powiedział starając się mówić spokojnie. – Jak się drzwi otwały, byłem pewny, że to...

Josene uśmiechała się jak zwykle, kiedy przychodziła do niego.

Szczupła, średniego wzrostu, skórę miała koloru słabej kawy z mlekiem, lat niewiele ponad dwadzieścia. Włosy proste, wydawały się czarne w nocy, a brązowe w słońcu. Oczy brązowe, na policzkach trochę piegów. Gdy się uśmiechała, lekko przechylała głowę na bok, a równe białe ząbki połyskiwały olśniewająco. („Nie można mieć nic przeciw związkom białych mężczyzn z Murzynkami. Jak wszyscy wiedzą, zwyczaj ten sięga niepamiętnych czasów, choć unika się tego tematu. Jeżeli jednak się dobrze nad tym zastanowić, to rzecz jest całkiem naturalna. Dlatego nie można powiedzieć, czy to jest słuszne, czy nie. Po prostu tak jest, i na tym koniec. Chodzi głównie o to, że można taką

dziewczynę trzymać, jak długo się chce, i nie żenić się z nią. Zacziesz z białą dziewczyną, a pod byle pozorem zaprowadzi cię do ołtarza albo zaskarży do sądu o to, żeś jej zrobił dziecko, i zagarnie całe twe pieniądze. Jedyna ujemna strona zadawania się z Murzynkami polega na tym, że jeśli przywykniesz do tego i zbyt długo uprawiasz te praktyki, to grozi ci niebezpieczeństwo wypaczenia, a wtedy, jeśli chcesz związać się na stałe z białą kobietą, nigdy nie doznasz zadowolenia, żebyś nie wiedzieć jak chciał.”)

– Czy jesteś zadowolony, że to ja? – spytała Josene.

Skwapliwie skinął głową.

– Naturalnie.

Podeszła do stołu i stanęła przed nim. Miała na sobie świeżo wyprasowaną bawełnianą sukienkę, bladożółta, obcisła, i nie zapięty czarny sweter.

– Przyniosłam ci coś do zjedzenia – powiedziała wyciągając paczkę – bo wiedziałam, że jesteś głodny. Chciałeś, żebym ci coś przyniosła?

– Cieszę się – spojrzał na paczkę, w jej ręce. – Od rana nie jadłem.

– Tylko jej nic nie mów – szybko powiedziała potrząsając głową. – Ani słowa. Jeszcze nie wie o tym. Nie widziała, jak wyniosłam przez kuchnię. Jak się dowie, zrobi

mi coś złego, nie wiem co. Mówi, że jak bym coś wyniosła, to dostanę po buzi.

– Nie powiem. Wiesz, że cię nie wydam. Tego się nie obawiaj.

Josene przeszła do drugiego pokoju. Native ruszył za nią. Siadła na łóżku i odpakowała paczkę. Znajdował się w niej rondel, a w nim kilka kawałków smażonego kurczaka. Potem odpakowała zimny pasztet ze słodkich kartofli. Gdy skończyła, podniosła wzrok na niego.

– Dość długo u niej pracuję i wiem, że jak się rozgniewa na mnie, przed niczym się nie cofnie. W zeszły piątek wściekła się i zaczęła bić mnie miotłą. Uciekłam na podwórze. Stała na ganku i darła się na mnie.

– Ano, takie są pewne kobiety i nic na to nie poradzimy. Ten kurczak i pasztet są bardziej godne uwagi, nie ma co przejmować się jej grubiaństwami.

Siadł na łóżku obok Josene i zaczął jeść wielki kawał kurczaka. Odezwał się dopiero, jak skończył i Josene podsunęła mu nóżkę kurczaka.

– Co powiedziała, jak się obudziła i zaczęła się rozglądać za mną? – spytał zjadając z apetytem.

– W życiu nie widziałam jej tak wścieklej. Było jeszcze gorzej niż w piątek. Przyleciała do kuchni, rzuciła patelnię na podłogę i kopała je, wyrznęła rondlem o piec, złapała dzbanek

do kawy i rzuciła we mnie. Darła się przy tym wniebogłosy i do mnie miała pretensję o to, żeś wyszedł. Powiedziała, że muszę wiedzieć, gdzie się ukrywasz. Widziałam, jak wyszedłeś przez bramę na uliczkę, i wiedziałam, gdzie jesteś, ale cię nie wydałam. I nie dałam się pociągnąć za język.

Od kilku lat Josene Maddox z czteroletnią córeczką Ellen mieszkała ze swą owdowiałą prababką w nędznej chatce w murzyńskiej dzielnicy Palmyry. Jej matka, młodszy bracia i siostry mieszkali na wielkiej farmie w dolnej części hrabstwa Sycamore, gdzie ojczym Josene pracował za mieszkanie i zapłatę. Josene ukończyła szkołę dla Murzynów w Palmyrze, a kiedy urodziła córeczkę, służyła po kolei u paru rodzin. Od roku pracowała jako służąca i kucharka u Maebelle Bowers. Babcia Maddox – prababka Ellen – opiekowała się dziewczynką, kiedy Josene pracowała od rana do nocy.

Z wyjątkiem Ellen, która miała zadziwiająco jasną skórę i włosy, Josene w porównaniu z braćmi i siostrami, a także z całą rodziną, wyróżniała się najbardziej jasną skórą. Kilkakrotnie Josene pytała matkę, kto jest jej ojcem. Dowiedziała się, jak się jej ojciec nazywał. Ale matka nie chciała więcej mówić o czymś, co zdarzyło się tak dawno. Natomiast babcia Maddox nie miała żadnych zahamowań i wszystko jej o ojcu powiedziała. Nazywał się Dalton Burrows. Był adwokatem i dyrektorem First National Bank w Palmyrze, miał lat pięćdziesiąt, z czego przez osiem lat był stanowym senatorem. Ożenił się z bogatą panną i w wyborach do

Kongresu, które miały się odbyć w listopadzie, kandydował z listy demokratów.

Native i Josene spotkali się po raz pierwszy na rogu ulicy koło straży pożarnej w tym roku pewnego wieczoru, kiedy wracała po pracy do domu, a on z baru Eda Howarda. Potem spotykali się tam parę razy w tygodniu, a gdy Josene zorientowała się, że Native jej pożąda, chętnie zgodziła się pójść z nim do domu. Zamierzała zostać pierwszy raz godzinę lub dwie, ale wyszła o świcie następnego dnia. I tak już było stale.

W ciepłe noce długiego lata siedzieli bez słowa na progu w świetle gwiazd albo senni i zadowoleni leżeli w łóżku. Josene rychło zdała sobie sprawę, że jej uczucie do niego rośnie i że po prostu go kocha. („Dziwna rzecz dzieje się w stosunkach białych z Murzynkami. Czasem jest to tylko słomiany ogień. Tak bywa, gdy chodzi o uczniów szkolnych, bo się boją, że mama ich przyłapie. Ale jak się dorosły zwiąże z Murzynką, nie dziwcie się, jeżeli to potrwa dłużej niż rok. Nie wiem, jak się to dzieje, fakt pozostanie faktem, że Murzynka potrafi białego rozgrzać jak żadna inna kobieta”).

Wiele razy w lecie rozmawiali o wspólnym pożyciu, ale oboje wiedzieli, że w Palmyrze nie jest to możliwe. Josene mówiła, że pojechałaby z nim wszędzie, gdzie mogliby żyć jak mąż z żoną, nawet gdyby się nie pobrali. Native jednak nie chciał słyszeć o przeniesieniu się gdzie indziej. Mówił, że urodził się w Palmyrze, całe życie tu mieszkał, podobnie jak

jego tatuś, i byłby bardzo nieszczęśliwy, gdyby mu przypadło żyć gdzie indziej.

Josene kochała go nieodmiennie, ale teraz, jak się ożenił z Maebelle, musiała pomyśleć o swojej przyszłości. Miała już prawie dwadzieścia pięć lat, nie wyszła za mąż, nie miała domu. Za parę lat stuknie jej trzydziestka, a potem czterdziestka.

Podawała mu ostatni kawałek kurczaka. Myślała, jak mu powiedzieć, że musi postarać się o dach nad głową dla Ellen i siebie. Miała kilku kandydatów na męża, wśród których wyróżniał się niejaki Harvey Brown. Miał lat dwadzieścia osiem i dobrą posadę przy załadunku towarów na stacji kolejowej.

– Co jeszcze Maebelle powiedziała ci o mnie? – spytał Native polykając ostatni kęs kurczaka.

Spojrzała na niego zmieszana.

– Co mówiłeś?

– Pytałem, co jeszcze powiedziała na mój temat.

– Nic szczególnego. Była zbyt wzburzona i zagniewana, i tylko czepiała się o wszystko. Zbiła talerz i do mnie miała pretensję. Krzyczała na mnie nawet gdy zapomniała, gdzie położyła okulary. Twierdziła, że je schowałam. Musisz uważać, kiedy wrócisz do domu. Może rzucać wszystkim, co jej wpadnie w ręce, jak tylko otworzysz drzwi.

– O to się nie martwię – odparł chichocząc. – Ale jeszcze się zastanowię. Wcale nie dziwiłoby mnie, gdybym przesiedział tu do końca życia i nigdy nie pokazał się jej na oczy. Jeśli dalej będziesz przynosić mi coś do jedzenia, nie będę musiał w ogóle tam wracać.

Josene odwróciła głowę, by ukryć oczy pełne łez.

– Jesteś teraz jej mężem – odparła przygnębiona – to wielka różnica. Sytuacja się zmieniła.

– Co się zmieniło? – zapytał.

Ukryła twarz w dłoniach.

– O czym ty mówisz, Josene?

Potrząsała głową.

– Powiedz mi, co miałaś na myśli? Co się zmieniło?

Chwycił ją za ręce i oderwał je od twarzy. Nie mogła już ukryć łez.

– Dobrze, powiem ci. Mogłeś ożenić się z nią. Ale nie możesz wziąć ślubu ze mną. To jest różnica! Nienawidzę jej! Nienawidzę! Nie mogłaby mnie tak poniewierać, gdybym nie była Murzynką!

– Ale to nie ma znaczenia. Przynajmniej dla nas – dla mnie i dla ciebie.

Zaczęła znów płakać. Łzy zalały jej policzki, zakryła twarz rękami.

– Ty nic nie rozumiesz. Sytuacja się zmieniła. I tak już zostanie. Między Maebelle a mną nie ma żadnej różnicy – poza tym, że ja urodziłam się Murzynką. Mogłeś ożenić się z nią, a nie możesz ze mną. Nie pozwolą nawet żyć nam razem, chyba że ukradkiem, a to nie wystarczy.

Położyła mu głowę na ramieniu i mocno ścisnęła za rękę. Szlochając drżała na całym ciele.

6

– Coś ci powiem – Josene przestała płakać, głos jej był spokojny. – To coś bardzo ważnego.

– Co chcesz mi powiedzieć? Coś o Maebelle?

– Nie. O nas.

Mocno ścisnęła jego rękę.

– Przestanę tu przychodzić. Dziś wieczór przyszedłam po raz ostatni. Już cię nie zobaczę. Skończyło się.

Odwróciła się do niego, objęła go i rozpaczliwie uściskała. Czuł, jak w uścisku pręży się jej ciało.

– Nie mów tak, Josene – błagał. – Nie dam ci odejść. Za długo to trwało.

– Muszę.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała.

– Bo się ożeniłem z tamtą? Dlatego?

– To jeden powód... – urwała ciężko dysząc. – Tak... Nie zniósłabym jej widoku z tobą przez cały tydzień. Za bardzo by to mnie bolało.

– Możesz znaleźć sobie pracę gdzie indziej.

– Nie. To się na nic nie zda. Będziesz jej mężem... –
Znów wzięła go w objęcia. – Jest jeszcze jeden powód.

– Jaki?

– Ważniejszy. Wychodzę za mąż...

Zapanowała długa cisza. Z dala było słyhać gwizd nocnego pociągu towarowego jadącego do Palmyry.

– Za kogo wychodzisz?

– Za jednego z naszych.

– Dlaczego chcesz to zrobić?

– To jedyne wyjście. Dobrze o tym wiesz.

Spojrzał na przyniesiony przez nią pasztet. Był pokryty chrupką warstwą przypieczonych kartofli, ale odechciało mu się jeść.

– Dlaczego to jest jedyne wyjście? – spytał.

– Chcę, żeby Ellen miała dom rodzinny. Babka już długo nie pociągnie – jest stara i słaba. Nie będzie komu opiekować się dzieckiem, jak ja będę w pracy. Nie chcę, żeby

Ellen chowała się bez ojca. Wszystkim dzieciom potrzebny jest ojciec. Ojciec musi być Murzynem. To jedyne wyjście.

– Nie rób tego teraz, Josene – przytulił ją mocno do siebie. – Poczekaj trochę, niedługo. Proszę, bądź cierpliwa. Tyle czasu spędziliśmy razem.

– Nie mogę dłużej czekać.

– Ja ci na to nie pozwolę! Słyszysz?

Potrząsała głową.

– Tak musi być. Wiesz, że kocham cię, ale jestem Murzynką, a ty jesteś biały. Tego się nie zmieni. Nie dadzą nam żyć razem. Nie tak, jak trzeba. Nie będą się sprzeciwiali, żebym tu przychodziła w nocy, ale nie pozwolą za dnia. Wtedy zaczną się kłopoty. Powiedzą, że chciałabym żyć jak biała dziewczyna. A mam być tym, czym jestem. Nie mogę uchodzić za nic innego – w każdym razie tu, w Palmyrze.

Siedział bez słowa i zastanawiał się, jak wpłynąć na nią, by zmieniła zdanie. („Jako pastor robiłem, co mogłem, ale w końcu zmęczyło mnie i znudziło wymawianie Hunnicuttowi, że parę nocy w tygodniu spędza z murzyńską dziewczyną. Mówiłem mu, że wznawia niedobre tradycje Małpiego Gaju, a on na to odpowiedział, że tatuś mówił mu, iż jest takim samym przywilejem białego zadawanie się z tymi dziewczynami jak trzymanie pary ogarów na oposa. Nic nie wskórałem. Hunnicutt jest najbardziej upartym człowiekiem, jakiego znam. Za każdym razem, jak przestrzegałem go, że

grzeszy, i namawiałem, by przestał zadawać się z Murzynkami, odpowiadał, co tatuś mówił mu o przyjętych zwyczajach i zapewniał, że przywiązuje większą wagę do słów ojca niż do tego, co ja mówię o prawach boskich. Odpowiadałem, że on i jego tatuś kierują się prawami z piekła rodem i w piekle skończą. Ale na takim uparciuchu jak Hunnicutt nie robiło to wrażenia.”)

– Chcę żyć z kimś cały czas, dzień i noc – powiedziała Josene. – Taka jest moja decyzja. Innego wyjścia nie widzę. Czy nie rozumiesz? Właśnie dlatego chcę wyjść za Murzyna. Znam moją rasę i wiem, co mam zrobić.

– Ale ty nie jesteś pełnej krwi Murzynką. Wiesz dobrze o tym.

– Dobrze wiem, czym jestem.

– Możesz uchodzić za białą. Widziałem białe dziewczyny, których skóra była ciemniejsza niż twoja.

– To nie wystarczy. Biali inaczej o tym myślą. Wiem, o co chodzi. Dziewczyny takie jak ja są dobre dla białych tylko po ciemku i do roboty – ja jestem dobra dla ciebie zawsze. Od tej chwili będę taka, jak się urodziłam.

Wstał z łóżka i zaczął spacerować po pokoju.

– Josene, musisz przychodzić do mnie. Bardzo by mi ciebie brakowało. Wiesz, jak jesteś mi potrzebna. Do nikogo innego nie mógłbym się przyzwyczaić. To święta prawda.

Wierzysz mi, Josene? Jesteś moim ideałem. Nikt ci nie dorówna. Nigdy. Nie jestem sobą, kiedy cię nie ma tutaj.

Wstała, podeszła i przycisnęła policzek do jego twarzy.

– Ja to samo czuję do ciebie. Tak jest teraz i zawsze tak było.

Spróbował ją objąć, ale cofnęła się. Zaczęła zdejmować sweter i rozpinąć sukienkę. Usiadł na skraju łóżka. („Jeśli kiedyś żyliście z Murzynką, to mnie zrozumiecie. Są swobodne, łatwe, zrelaksowane. Macie wrażenie, że po nich żadna kobieta na świecie nie będzie wam odpowiadała. Wyjaśnić to ignorantowi można w jeden tylko sposób: niech sam się przekona. Zobacz, na czym polega owa wielka różnica. Kłopot z tym, że tracisz pociąg do białych dziewcząt i chciałbyś wracać do czarnych.”)

Odłożyła sukienkę, przystanąła i podeszła do niego. Patrząc na nią w takich chwilach często myślał, że jej kształty, od biustu po kolana, przypominają powiększoną do naturalnej wielkości walentynkę.*

– Pocałuj mnie – szepnęła. – Całuj mocno. Zrób ze mną, co chcesz.

Objął jej rozpalone ciało i trzymał z całej siły w uścisku.

* Valentine – kartka z wyznaniem miłosnym wysyłana w dniu świętego Walentego, 19 lutego (przyp. tłum.).

– Jeszcze, kochanie. Całuj.

Przywarł do niej, upadli na łóżko. Długo leżał w rozpalonym żarze jej ciała.

– Nigdy mnie nie rzucisz, Josene – powiedział potem. – Zatrzymam cię. Niech się dzieje, co chce, nie puszcę cię nigdy.

Położyła mu dłoń na ustach.

– Nie mów teraz o niczym, kochanie. Nie chcę słuchać. Tylko całuj mnie, jak przedtem.

Ktoś mocno zastukał do drzwi. Zrazu wydało się to nierealne i nie do wiary, ale kiedy stało się głośniejsze i natarczywe, nie można było udawać, że się nie słyszy.

Usiadł na brzegu łóżka.

– Zapomniałem zamknąć drzwi na klucz. Ktoś może tu wejść.

Josene popchnęła go, żeby wstał.

– Nie wpuszczaj nikogo! Powiedz, żeby sobie poszli!

Pobiegł do drzwi, ale nie zdążył. Drzwi się otwały i weszła Maebelle. Native bezradnie patrzył, jak zamyka drzwi za sobą.

– Wiedziałam, że znajde cię w tej chałupie – powiedziała ostrym tonem przez zaciśnięte usta. Włosy opadły jej na czoło, odgarnęła je ręką. – Co robisz tutaj? Dlaczego uciekłeś?

Nie czekała, aż Native odpowie.

– Powiedz coś! – krzyknęła ze złością. – Co ci się stało? Dlaczego się nie odzywasz?

– Ano, obiecałem naprawić parę aparatów radiowych i chciałem dotrzymać słowa. Moje słowo honoru...

Maebelle patrzyła do drugiej izby za jego plecami. Zrobiła krok naprzód, szybko zagroził jej drogę.

– Stój! Nie...

– Co się tam dzieje? – spytała.

Starał się ją zatrzymać, ale odepchnęła go.

– Nie wchodź, Maebelle!

Już tam była. Kiedy Native wszedł za nią, stała w nogach łóżka. Josene wycofała się w kąt izby i zasłaniała bladożółtą sukienką. Nie miała gdzie uciec, ani gdzie się ukryć.

– Ty bezwstydna, goła dziwko! – ryknęła Maebelle i wydarła jej z ręki sukienkę. – Jesteś goła jak oskubany kurczak!

Spojrzała na sukienkę i rzuciła ją na podłogę.

– Wiem, że takie bezwstydne dziwki nie mają żadnych zasad moralnych, ale do głowy by mi nie przyszło, że zobacze cię gołą tutaj! Jest to najbardziej obrzydliwy widok, jaki moje oczy widziały!

Josene sięgnęła po poduszkę, Maebelle wyrwała jej i cisnęła na podłogę.

– Podejrzałam, że coś się stało, kiedy weszłam do kuchni i okazało się, że po twoim wyjściu zniknęły pieczone kurczaki i pasztet ze słodkich kartofli. Patrzcie ją! Kradnie żywność z mojego domu! Goła ukrywa się tu z białym mężczyzną! I to jeszcze z kim! – Odwróciła się i nienawistnym spojrzeniem obdzieliła Native'a. – Wiem, co tu robisz, Josene Maddox. Jesteś jak wszystkie inne Murzynki. Staracie się skusić białego mężczyznę swoją nagością.

Przerwała, żeby zaczerpnąć tchu. Z odrazą jeszcze raz spojrziała na Native'a.

– Niechaj twoja noga nie postanie więcej w moim domu! Słyszysz, Josene Maddox? Wynoś się ze swoją bezwstydną golizną gdzie indziej! Mam nadzieję, że w życiu cię więcej nie zobacze! – odwróciła się, popatrzyła na Native'a i pogroziła mu palcem. – Teraz pozwól, że coś ci powiem. Jutro rano pójde do mojego adwokata i rozwiodę się z tobą, ty padalcu kalający własną rasę. Ja cię nic nie obchodziłam, nie uszanowałeś mojej dumy i czułego serca. Pojęcia nie masz, jak odnosić się do przyzwoitej kobiety. Chciałeś ode mnie tylko pieniędzy, byś mógł utrzymać tę bezwstydną gołą czarną dziewczynę. Tutaj

znalazłyby się moje pieniądze, gdybym na własne oczy nie ujrzała tego haniebnego widoku. Teraz ją możesz mieć i ohydnie krzyżować z nią rasy. I nie waź się wrócić do mojego domu po swoje ubranie. Wyrzucę je na ulicę, tam jest jego miejsce. Tam też znajdzie się strzelba i reszta twych rzeczy. Ty wstrętny kundlu, nie chcę cię widzieć na oczy!

Wychodząc z pokoju odwróciła się i opluła Josene.

– Pogardzam tobą, ty bezwstydną gołą dziwko! Całe życie nic nie robisz, tylko kuisz białych mężczyzn swoją nagością.

Doszła do drzwi, przystanąła i obejrzała się na Native'a.

– Prawo powinno ukarać was oboje za występki przeciw czystości rasowej. Hańbicie dobre imię wszystkich przyzwoitych ludzi. Już ja wam się przysłużę. Tobie i tej bezwstydnej, gołej murzyńskiej dziwce. Porachuję się z wami! Jeszcze tego pożałujecie!

Nazajutrz około jedenastej rano buchnęło jak pożar z czterech rogów placu przed sądem ludzkie gadanie o krótkim małżeńskim pożyciu Native'a Hunnicutta z Maebelle Bowers oraz o tym, jak Maebelle przyłapała nagą Josene na gorącym uczynku w Małpim Gaju. Wieści te rozeszły się po sklepach i biurach całego miasta.

Podawana z ust do ust wiadomość rozniosła się lotem błyskawicy, jak zwykle w Palmyrze, z przesadą uzupełniana lub upiększana ludzką wyobraźnią. W rezultacie dokładne sprawozdania o tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy, zgodne z prawdą i zniekształcone, zostały szybciej i szerzej rozpowszechnione, niżby opublikowano je w familijnym tygodniku „Wiadomości Hrabstwa Sycamore”.

Dość na tym, że nowina, jak to Maebelle zjawiała się w Małpim Gaju i przydybała Native'a w czasie stosunku z Josene; była powtarzana i omawiana na stacjach benzynowych, u fryzjerów i przekazywana z domu do domu w całym mieście.

Mężatki, gdy usłyszały, co się stało, nie były zaskoczone, gdyż takie wypadki w Palmyrze się zdarzały, ale zrobiły się bardziej czujne i podejrzliwe wobec mężów. Mężowie zaś,

gdy mówili na ten temat, bardziej martwili się o swą wolność osobistą po zapadnięciu zmroku, niż współczuli Native'owi i bali się, że mogą być przyłapani w podobnych okolicznościach.

Zważywszy, że Palmyra liczyła niecałe trzy tysiące mieszkańców, czego połowę stanowili Murzyni, było prawdopodobne, że każdy obywatel w wieku powyżej lat szesnastu miał sposobność dowiedzieć się do końca dnia, co wydarzyło się przy Cherry Street i w Małpim Gaju.

– Z przykrością usłyszałem, że Native dał się przyłapać – powiedział Al Didd. – Ale przyniesie to jeden pożytek. Będzie dla mnie nauczką, którą dobrze sobie zapamiętam. Poza tym dowodzi to, jak lekkomyślny może być mężczyzna nie zamykając drzwi na klucz i nie podejmując środków ostrożności. Będę przykładnym mężem dla mej pani, jak nigdy w życiu, i będę siedział w domu przez parę najbliższych nocy. Nie chcę, żeby jej przyszło coś do głowy i śledziła mnie, gdy po kolacji wybiorę się na spacer. Życ by się odechciało, gdyby wieczorem człowiek nie mógł wyjść z domu na łowy, kiedy przyjdzie mu ochota. Mam nadzieję, że nigdy nie doczekam się takich czasów. To by równało się z zamknięciem nas za żelaznymi kratkami więzienia.

Wracając do ranka tego dnia, odpowiedzialność za wszystkie pogłoski i plotki krążące w mieście ponosi Miller Hyatt. Miller nie mógł zachować dla siebie żadnej wiadomości, nawet najbardziej poufnej, i musiał ją wygadać pierwszej

spotkanej osobie. Ałowi Diddowi, George'owi Dawneyowi i jeszcze paru innym, na których natknął się na ulicy, oświadczył, że tuż po ósmej rano Maebelle przysłała do jego kancelarii adwokackiej na pierwszym piętrze domu bankowego i zażądała, by jak najprędzej przeprowadził rozwód z Native'em.

Miller Hyatt był zażywnym mężczyzną średniego wzrostu, o siwiejącej czarnej czuprynie i okrągłej rumianej twarzy. Przez dwadzieścia lat był adwokatem Franka Bowersa i jego doradcą w sprawach handlowych. Znał więc Maebelle i miał ochotę zwymyślać ją, że tak lekkomyślnie wyszła ponownie za mąż krótko po śmierci Franka na atak serca. Jednakże wiedział, że nie postąpiłby mądrze krytykując ją w takiej chwili, i obawiał się, że jeśli powie cokolwiek, co by nie rymowało z jej złością i przygnębieniem, może skłonić ją do nierozsądnego postępku i Maebelle wyjdzie z kancelarii, by zwrócić się do innego adwokata. Myślał już o sowitym honorarium, jakie od niej dostanie.

Miller uważnie wysłuchał relacji Maebelle o tym, co się wydarzyło po ślubie. Gdy skończyła, wypytał ją szczegółowo, co się stało w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Po głębokim namyśle oświadczył, że unieważnienie małżeństwa byłoby bardziej pożądane od rozwodu, łatwiej i szybciej można by je uzyskać.

Maebelle siedziała i milczała jak zakłęta. Minę miała taką, jakby w każdej chwili gotowa była wstać i wyjść z kancelarii. W Palmyrze było ośmiu czy dziewięciu adwokatów.

Miller wiedział, że każdy z nich chciałby zyskać tak bogatą klientkę.

– Adwokaci, jeżeli nie specjalizują się w procesach rozwodowych, przeważnie nie lubią prowadzić takich spraw jak ta – powiedział z poważną miną – ja jednak jestem w stanie poradzić pani, jak się w tym przypadku zabrać do rzeczy, i jako stary przyjaciel rodziny, chętnie to uczynię. Otóż mając na uwadze to, co pani mi oświadczyła, jestem zdania, że zgodnie z literą prawa małżeństwo nie zostało skonsumowane. W tym stanie rzeczy, w świetle przepisów obowiązującego prawa, ma pani podstawę domagać się unieważnienia. Oznacza to, że oszczędzone byłyby pani przykrości i upokorzenia, nie do uniknięcia w przypadku procesu o rozwód. Jako wieloletni przyjaciel rodziny i z najgłębszym szacunkiem dla pani kobiecej godności, chciałbym osłonić pani dobre imię i zapobiec złośliwym i skandalicznym plotkom, gdyby pani była zmuszona powtórzyć na rozprawie przy drzwiach otwartych te wszystkie okoliczności delikatnej natury, które mi pani poufnie wyznała.

Miller uśmiechnął się i czekał, aż Maebelle skinieniem głowy wyrazi zgodę na jego propozycję, ale siedziała sztywno wyprostowana i nie zareagowała ani słowem, ani gestem. Miller nerwowo chrząknął.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa, o której chciałbym pani powiedzieć. Tak się składa, że łączą mnie doskonale stosunki z prezesem sądu. Zajdę do niego i pogadam

nieoficjalnie, poufnie. Wyjaśnię mu, że małżeństwo nie zostało skonsumowane, mimo że był czas na to – oczywiście bez winy z pani strony, i jestem przekonany, że doprowadzę do unieważnienia bez potrzeby składania przez panią szczegółowych zeznań przed sądem przy otwartych drzwiach. Trzeba pani wiedzieć, że jeśli wniesiemy pozew o rozwód, a Hunnicutt się sprzeciwi, trzeba będzie ujawnić intymne szczegóły z pożycia małżeńskiego albo jego braku. Posłucha pani mej rady w tej sprawie, prawda, Maebelle?

Przerwał. Czekał na jej odpowiedź, ale milczała z zaciętymi ustami.

– No dobrze, wyjaśnię pani procedurę w spornych sprawach o rozwód – podjął spiesźnie, uśmiechając się przelotnie. – Żeby mieć szanse uzyskania rozwodu w tych okolicznościach, musi pani zeznać, że Hunnicutt nie chciał lub nie był zdolny do wykonywania małżeńskich obowiązków. Co więcej, zostanie pani pouczona przez sąd, że ma dokładnie opisać, co pani widziała, kiedy przyłapała męża i nagą Josene Maddox. Nawet po przejściu tych katuszy istnieje ryzyko, że sąd stanie po stronie pozwanego. W takim przypadku wedle obowiązującego prawa pozostanie pani aż do śmierci żoną Hunnicutta. Wyobraża pani sobie, jak dalece byłoby to żenujące dla tak wrażliwej osoby. Jeśli natomiast posłucha pani mej rady, małżeństwo zostanie unieważnione, zapobiegniemy, aby skandaliczne okoliczności figurowały w aktach sądowych i tajemnicę zachowa pani dla siebie.

– Przyszłam tu, aby dostać rozwód, a nie wdawać się w szczegóły – powiedziała Maebelle ostrym tonem. – Nie wiem, o czym pan mówi, i nie dbam o to. Ale wiem, czego chcę, i nic innego mnie nie zadowoli. Jest wielu innych adwokatów...

– Maebelle – przerwał Miller miło się uśmiechając i pochylając nad biurkiem. – Jako przyjaciel rodziny od wielu lat i jej zaufany adwokat podejmuję wysiłki, aby dla pani dobra niefortunne fakty nie zostały ujawnione. Wie pani, że plotki mogą zniekształcić prawdę, jeśli nie położy się im tamy. Ludzie uwielbiają słuchać i powtarzać skandaliczne pogłoski. Dobrze pani wie, że jeśli zdarzy się coś podobnego, całe miasto szumi od plotek. Proszę mi wierzyć, że będą mniej gadać w mieście, jeśli...

– Wiem lepiej od pana, czego chcę – odparła – i proszę mnie od tego nie odwozić. Przyszłam tu zdecydowana i nie zamierzam zmienić decyzji.

– Ma pani bezwzględnie prawo do własnego zdania, ale pozostanie faktem, i sama to pani wyznała, że nie doszło do zwyczajowego aktu małżeńskiego lub fizycznego zbliżenia. Wedle prawa małżeństwo jest skonsumowane tylko wtedy...

– Mówiłam już panu, że leżałam z nim w łóżku, kiedy wrócił z polowania na oposa, a jeżeli to nie jest legalne, to nie wiem, co jest. Choć było to za dnia, spuściłam story i wszystko odbywało się po ciemku. Zapłaciłam za zezwolenie na ślub z własnych pieniędzy i dałam wielebnemu Walkerowi dziesięć dolarów za udzielenie nam ślubu. Poza tym

dzwoniłam już do przyjaciół i zawiadomiłam, że wyszłam za
mąż.

Miller opadł na oparcie krzesła i starannie otarł dłonią
policzki.

– Maebelle, prawo jest precyzyjne w określeniu
stosunków małżeńskich, i pani interpretacja, najbardziej
nawet subtelna, w sądzie nie będzie miała znaczenia. Nie
zacytuje przepisów w ich dosłownym brzmieniu, mogę jednak
zapewnić panią, że traktują one o fizycznej stronie pożycia
małżeńskiego. Otóż, jeśli dojdzie do rozprawy, Hunnicutt
będzie się bronił i nie zechce dać rozwodu, musi pani
odpowiedzieć, pod przysięgą, na ściśle określone pytania.
Jeśli tak się stanie, i ja mam reprezentować panią, jak umiem
najlepiej, muszę z góry znać okoliczności sprawy. Proszę
zapomnieć, że pani zapłaciła za zezwolenie na zawarcie ślubu
i dała wielebnemu Walkerowi dziesięć dolarów. To są
okoliczności nieistotne i bez znaczenia przed sądem. A teraz,
nie mogę podjąć żadnych kroków w tej sprawie, jeśli pani,
oczywiście poufnie, nie ujawni mi pewnych szczegółów
dotyczących pożycia małżeńskiego z Hunnicuttem. Nie wątpię,
że zdaje pani sobie sprawę, iż jest to konieczne.

Maebelle spojrzała na niego nieufnie.

– Co by pan chciał wiedzieć? – spytała ostrożnie. – Ale
radzę uważać, o co pan zapyta, panie Miller. Są sprawy, o
których nie będę mówiła z panem ani z kimkolwiek innym.

Miller zamknął oczy i zastanawiał się, jakby sformułować pytanie, żeby Maebelle zechciała odpowiedzieć. Pocierając rumiane policzki głęboko się zamyślił. Wreszcie się odezwał.

– Maebelle, czy jako żona oddała się pani Hunnicuttowi, kiedy razem przebywaliście w sypialni? Albo w salonie, albo gdzie indziej w domu. Innymi słowy, czy była pani odziana czy rozebrana w taki sposób, że mogła pani być jako kobieta dostępna w pewnej chwili jego pożądaniu?

Maebelle wyprostowała się w krzesło.

– Nic panu do tego, panie Miller – oświadczyła zaciskając usta. – Ale proszę przyjąć do wiadomości, że przez cały czas miałam na sobie nocną koszulę. I nigdy w tym stroju nie ukazałabym się w salonie! Poza sypialnią jestem zawsze właściwie ubrana! Dziwi mnie bardzo, że takie pytanie przyszło panu do głowy!

Miller lekko się uśmiechnął.

– Wolę to, niż gdyby się pani przyznała, że cały czas miała na sobie piżamę.

– Nie należę do kobiet, które noszą piżamy.

Miller zmarszczył brwi zastanawiając się, jak zadać następne pytanie, które wydało mu się niezbędne. Nawet gdyby zapytał, nie miał nadziei, że Maebelle da wyraźną odpowiedź.

– Widzi pani – zaczął – proszę nie uważać mnie teraz za przyjaciela rodziny ani nawet za mężczyznę, tylko jedynie za adwokata. Pytanie, jakie pani zadam, ma charakter czysto bezosobowy. I zapewniam panią, że jest konieczne. Pomoże mi pani?

– Co to za pytanie? – spytała podejrzliwie.

Miller nerwowo chrząknął.

– Czy... czy Native Hunnicutt w pani obecności rozpiął pasek albo rozporek?

– Niech pan nie będzie ordynarny! – ostro zareagowała.
– Nie będę słuchać takich świństw!

– Chwileczkę – powiedział szybko i podniósł rękę uspokajającym gestem. – Proszę nie wychodzić, Maebelle. Niech pani siedzi. Może pani nie odpowiadać na to pytanie, jeśli pani sobie nie życzy. Zapytałem z jednego powodu. Byłoby lepiej wyznać prawdę adwokatowi w zaufaniu, niż być zmuszoną do ujawnienia jej przed sądem i całym miastem. Ale niech się pani nie martwi, pokierujemy tak sprawą, że się skończy w sposób dla pani pod każdym względem zadowalający.

Maebelle zacisnęła mocno ręce, ale się nie odezwała.

Millerowi nie było łatwo przekonać Maebelle, że powinna się starać o unieważnienie małżeństwa, a nie wnosić skargę o rozwód. Powtarzała w kółko, że to jest sprawa jej godności osobistej. Była przekonana, że przyjaciele będą ją uważali za stronę pokrzywdzoną i odnosili się do niej ze współczuciem, jeśli uzyska rozwód. Unieważnienie oznaczałoby, że polowanie na oposa jest czymś bardziej pożądanym niż ona jako kobieta.

Zmieniła zdanie dopiero, gdy jej wykazał, że bardzo wiele kobiet w Palmyrze i w całym hrabstwie Sycamore wiedziało z doświadczenia, iż gorączka łowów na oposa, jeśli z całą furją zaabsorbowała mężczyznę wczesną jesienią, była w swych fizycznych i emocjonalnych skutkach znacznie silniejsza niż normalne ludzkie namiętności.

– Proszę nie zapominać, że pierwotny instynkt łowcy jest u mężczyzny silniejszy niż ustanowione przez ludzi prawo małżeńskie.

– Nie wierzę w ani jedno słowo z tej gadaniny – powiedziała. – Uważam, że nadszedł czas, by kobiety się zjednoczyły i zabroniły mężczyznom wychodzenia z domu i spędzania całych nocy Bóg raczy wiedzieć gdzie. Polowanie to

tylko pretekst, żeby wymknąć się z domu o zmroku i zadawać się z bezwstydnymi murzyńskimi dziewczynami w rodzaju Josene Maddox. Jeżeli nikt inny z tym nie skończy, ja się do tego wezmę.

– Czy Frank nigdy nie polował na oposa?

– Owszem, chodził niekiedy na oposa. Ale Frank nie należał do mężczyzn, którzy by zbliżyli się do tych bezczelnych, bezwstydných dziewczyn rozbierających się i wabiących mężczyzn swoją nagością.

Wreszcie Maebelle zgodziła się wystąpić o unieważnienie małżeństwa, ale oświadczyła, że życzy sobie, aby Native i Josene zostali aresztowani pod zarzutem przestępstwa przeciw czystości rasy. („Maebelle jest ząną niewiastą. Intencje ma dobre. Kłopot polega na tym, że jeśli kobieta jej pokroju owdowieje lub się rozwiedzie, doznaje szoku i na jakiś czas traci trzeźwość umysłu. I wtedy postępuje nierozsądnie. Dlatego tak wiele wdów i rozwódek spieszenie i bez zastanowienia wychodzi ponownie za mąż. Inne dają się oskubać z pieniędzy przez wygadanych facetów albo prowadzą wojny krzyżowe przeciw czemuś, co nigdy ich nie interesowało. Ale dajcie Maebelle trochę czasu, a przystosuje się i będzie znów sobą. Bo w głębi duszy to ząną kobieta”).

Miller był zdumiony. Chrząknął parę razy, zanim przemówił.

– Chyby się przesłyszałem. Co pani powiedziała?

– Chcę, żeby tych dwoje zostało aresztowanych pod zarzutem rasowego przestępstwa.

Patrzył na nią zza biurka marszcząc brwi. Otwarł usta, ale dopiero po chwili się odezwał.

– Niech pani posłucha – powiedział z naciskiem. – Proszę wybić to sobie z głowy. Nie chcę mieć nic do czynienia z tym niedorzecznym pomysłem. Nawet palcem w tej sprawie nie ruszę.

– Płacę panu za usługi adwokackie i ma pan spełniać moje życzenia. A ja chcę, żeby ich aresztowano.

– Tym się zajmuje policja, jeśli chce – ale jestem pewny, że nie zechce. Ta sprawa interesowałaby policję, gdyby chodziło o Murzyna i białą kobietę, a nie na odwrót. Nie ma takiego zwyczaju i nie znam wypadku, żeby policja wtrącała się do osobistych praw białego człowieka. Oni się tym nie zajmują.

– Ale ja tego sobie życzę.

– Nie, Maebelle. Niech pani tak nie mówi. Proszę posłuchać starego przyjaciela rodziny. Obywatel nie może się mieszać do spraw prywatnych innych obywateli. Poprowadzę sprawę o unieważnienie pani niefortunnego małżeństwa z Hunnicuttem. W dalszym ciągu będę się zajmował masą spadkową po Franku, aż cały majątek znajdzie się w pani

rękach. Ale pod żadnym pozorem nie będę działać przeciw panującym zwyczajom. Tego absolutnie nie zrobię. Każdy adwokat w naszym mieście uważałby, że postradałem zmysły, gdybym przyłożył do tego rękę.

– Nie przyszedł tu, by słuchać takiego gadania – powiedziała Maebelle i twarz jej zapłonęła gniewem. – Nie powstrzyma mnie pan. Zrobię, co uważam za słuszne.

– Może nie powstrzymam pani, ale też nie wezmę w tym udziału – spojrzał na nią stanowczo i potrząsnął głową. – Mówię poważnie. Pewne zwyczaje obowiązują w tych stronach od dawna i są historycznie ugruntowane. Nikt nie ważyłby się ich zakwestionować. Każdy wie, że biali śpią z Murzynkami co noc, ledwie słońce zajdzie. To, co zostało uświęcone stuletnim zwyczajem, nie może być zmienione, bo tak się zachciało pani, mnie albo jeszcze komu innemu. W każdym razie, gdyby nie było amatorów, nie byłoby i zjawiska. Widzi pani teraz, to jest sprawa wyboru i wolności.

– Nie wierzę w ani jedno słowo z tego, co pan powiedział! Tylko biała hołota może tak nisko upaść! Zacni biali ludzie nigdy tak nie postępują.

– Pewnie można by odróżnić białą hołotę od zacnych białych ludzi, jak ich pani nazywa, lecz takie dowolne rozróżnienie nie miało wpływu na zwyczaje w przeszłości i teraz też nie gra roli. Niechże się pani rozejrzy wokół, a zobaczy pani wszystkich tych Mulatów, Murzynów, ćwierć krwi, śniadych, brązowych i w innych odcieniach koloru

skóry i oczu. Znajdzie też pani wiele podobieństw, mam na myśli podobieństwa fizjonomiczne i fizyczne, do członków wybitnych białych rodzin. W hrabstwie Sycamore są więc Mulaci Pattersonowie o twarzach uderzająco podobnych do białych Pattersonów. To samo można powiedzieć o rodzinie Longstreet albo Tilden i całym mnóstwie innych rodzin. A przecież nie przyniósł ich bocian.

Miller stanął za biurkiem. („Słyszysz się wiele o białej krwi u Murzynów, a mało o murzyńskiej krwi u białych. Niech się pani nie zdaje, że tak nie jest. Tylko że dzisiaj przyczyny tego są inne niż pięćdziesiąt czy sto lat temu. Dawniej przyczyn było wiele. Na przykład, o czym się dziś zapomina, jednym z powodów były zwyczaje panujące na plantacjach. Jeśli właściciel plantacji miał siedmioro lub ośmioro dzieci z własną żoną, co było wówczas przeciętną, i żona zmarła przy porodzie, angażował murzyńską niańkę do dzieci, a sam zajmował się gospodarstwem. Wtedy nierzadko niańka podrzucała Murzyniátko o jasnej cerze, najczęściej dziecko plantatora i chowała je wspólnie z białymi dziećmi. Murzynek wychowywał się pod nazwiskiem białej rodziny i żył, a także zenił się na równi z białymi. To tłumaczy, że może pani spotkać tu i ówdzie ciemnoskórego białego. Wielu z nich żartuje sobie z tego i nazywają się czarnymi Pattersonami lub czarnym odgałęzieniem rodziny Tilden.”)

Miller pochylając się nad biurkiem stanowczo potrząsnął głową.

– W każdym razie, Maebelle, nie zamierzam robić z siebie durnia i iść na policję lub do szeryfa, żeby złożyć skargę, jakiej pani żąda. Nie zrobię tego nawet, gdybym miał żyć sto lat. Nie chcę być pośmiewiskiem całego hrabstwa Sycamore.

Kiedy skończył, Maebelle stała już naprzeciw biurka.

– Pan może jest tchórzem, ja nie – powiedziała z zaciśniętymi ustami. – Pokażę panu! Pójdę na policję i każe ich aresztować. Są granice tego, co przyzwoita kobieta może ścierpieć. Naga Josene Maddox była najbardziej skandalicznym widokiem, jaki w życiu widziałam! Nie będę mieszkała w mieście, które jest takim rasowym tygłem!

Miller się nie odezwał. Podeszła do drzwi. Odprowadził ją.

– Maebelle, powiem tylko tyle: Jeżeli takie są pani poglądy, powinna się pani spakować i przenieść do innego miasta, i to miasta oddalonego tysiąc mil stąd. Nie mówię, że pani ma rację albo nie ma, ale wiem na pewno, że pani nie ustanie. A ja pani nie mógłbym przeszkodzić. Podobnie jak nie zatrzymam słońca, które jutro rano wejdzie za dzwonnica kościoła metodystów. Są w życiu sprawy, wobec których pani i ja jesteśmy bezradni. Należy do nich pociąg białego mężczyzny do ładnej, jasnoskórej, gorącej Mulatki. Wydaje się, że jest tych dziewczyn więcej niż innych. Jedynym sposobem na nie mogłoby być to, żeby ich w ogóle nie było

albo żeby nie miały białych amatorów. Wątpię, byśmy się tego doczekali.

Maebelle odwróciła się do niego plecami i wyszła z kancelarii. Z całej siły trzasnęła drzwiami. Rozległ się tupot nóg Maebelle zbiegającej po drewnianych schodach.

Miller siadł za biurkiem i ciężko westchnął.

Najpierw jedną, potem drugą ręką wolno pocierał policzki. Zastanawiał się, co by Frank Bowers powiedział, gdyby żył, na wojnę krzyżową wypowiedzianą przez Maebelle związkom białych mężczyzn z czarnymi dziewczynami. Frank wiedziałby, dlaczego Maebelle chce ukarać Native'a i nie zadowoli się unieważnieniem małżeństwa. Miller podejrzewał, że Maebelle, może podświadomie, czuła się tak upokorzona, iż była gotowa na wszystko, i wątpił, czy kampania na rzecz czystości rasy ją zadowoli. („Jak wszyscy wiedzą, nieczęsto dochodzi do związków między murzyńskimi parobkami a białymi kobietami. Kiedy się to zdarza, założę się, że kobieta zrobiła pierwszy krok. Niech się wam nie zdaje, że białe dziewczyny lub kobiety są do tego niezdolne. Wystarczy jednej spojrzenie, by rzecz się zaczęła; mężczyzna łapie je w lot. Nie trzeba mieć określonego koloru skóry, żeby być człowiekiem.”)

Miller długo siedział patrząc przez okno na obskurną kopułę i powyginany przez wiatr maszt na flagę na gmachu sądu. Myślał o tym, ilu mieszkańców spłodził Frank Bowers w swym życiu i co by powiedziała Maebelle, gdyby się wydało, że choćby jedno dziecko miał z matki Murzynki.

Ale Frank nie żył. Miller myślał więc, ile jego własnych dzieci z mieszanych związków żyło w okolicy. Wiedział o jednym. Był to krzepki chłopak, lat niespełna dwudziestu. Mieszkał w Palmyrze, pracował w tartaku. Jeśli pominąć śniadą cerę, chłopak był uderzająco podobny do trojga dzieci Millera, które miał z własną żoną. Już się poženili i nie mieszkali z ojcem. („Starzejąc się, nie wiemy, czy jesteśmy radzi, czy martwimy się sprawami, które zdarzyły się dawno temu. Są to mieszane uczucia. Czas płata nam dziwne figle. To tak jak z jabłkami i melonami kradzionymi farmerom. Teraz nie robiliśmy tego, ale za młodu wydawało nam się, że to jest rzecz normalna.”)

Miller zamieniał parę słów z przystojnym chłopcem o śniadej cerze, ilekroć spotkał go na ulicy, chłopak był jednak nieśmiały i małomówny, kłaniał się tylko i uśmiechał. Po tych spotkaniach Miller był smutny i przygnębiony, bo nie znał nawet nazwiska chłopca. Mógł się tego łatwo dowiedzieć, podobnie jak nazwiska matki, ale uważał, że dla spokoju sumienia lepiej nie dowiadywać się, jakie nazwisko dała mu matka.

Miller długo siedział za biurkiem i myślał, co należy uczynić, żeby szybko uzyskać wyrok unieważniający małżeństwo Maebelle, ale myśli mu się coraz bardziej płątały i błądziły. Nie mógł się skoncentrować nad taką prostą sprawą. W końcu wstał, włożył kapelusz i wyszedł z biura.

Zamiast pójść do prezesa sądu, wstąpił do drugstore'u i kupił cygaro. Po czym wolnym krokiem pomaszerował zachodnią stroną placu. Wiedział już, że musi najpierw zobaczyć się z Hunnicuttem. Choć nie był to jego klient, ale mieszkali całe życie w Palmyrze i dobrze się znali. Zawsze rozmawiali ze sobą przyjaźnie, raz byli na polowaniu na oposa. Miller przeto uważał za swój obowiązek uprzedzić go, że wnosi przeciw niemu skargę.

Kilku przechodniów powiedziało mu, że widziano Native'a z Alem Diddem, jak szli południową stroną placu w kierunku baru Eda Howarda. Było już południe i niektórzy kupcy poszli do domu zjeść obiad i przespać się trochę. Nieżonaci subiekci i sekretarki siedzieli za kontuarami barów i zamawiali zupę jarzynową, hamburgera, mrożoną herbatę lub gorącą kawę.

Kiedy Miller wszedł do piwiarni Eda Howarda, Native w lewej ręce trzymał hamburgera, a prawą grał w swój ulubiony bilard automatyczny. Wygrał już butelkę piwa i dwie bezpłatne gry w „Dziewczęta na plaży”. Oprócz Ala Didda jeszcze paru mężczyzn zebrało się wokół automatu i przyglądali się bezbłędnej technice Native’a. Wszyscy podziwiali jego swobodną postawę i zręczną pracę nóg, kiedy odciągał i puszczał rączkę.

Al Didd trącił łokciem Millera.

– Miller, myślałem, że adwokaci cały dzień przesiadują w sądzie wypatrując, kogo by tu zaskarżyć albo posadzić – powiedział. – Lepiej nie pokazuj się tutaj. Wszyscy tu obecni mieli już dość kłopotów z prawem. Bądź więc uprzejmy wynieść się stąd i nie denerwuj facetów.

– Daj spokój, Al. Jestem uczciwym adwokatem. Moim celem jest bronić ludzi, nie oskarżać.

– No to dlaczego nie udowodnisz, żeś jest dobroczyńcą i nie zrezygnujesz z procesu o dziesięć dolarów za sfatygowaną pralkę?

– Przyjdź do kancelarii jutro rano, załatwimy sprawę od ręki. Jestem zdania, że zawsze należy skontaktować dwie strony i doprowadzić do kompromisu lub ugody. To jeden z filarów mojej etycznej platformy. Wiem, że pralka, którą kupiłeś żonie, wysiadła, zanim spłaciłeś tygodniową ratę. Posłuchaj mej rady i następnym razem nie kupuj używanych rzeczy na kredyt.

– Ile ci jestem winien za tę radę?

– Twoja przyjaźń wystarczy mi za całą zapłatę.

Wiedząc, że będzie musiał długo czekać na sposobność rozmowy z Native'em, Miller kupił w barze kanapkę z szynką i serem i zaczął jeść. Potem, z kanapką w ręce, przeszedł do wolnego automatu, włożył dziesięć centów i pociągnął za rączkę.

Minęło pół godziny, zanim Native przestał grać i usiadł przy barze. Miller szybko dosiadł się do niego i zamówił u Eda Howarda dwa piwa. Od razu zapłacił.

Odezwał się dopiero, jak pociągnęli z kufli.

– Właśnie rozmawiałem z Maebelle – zaczął Miller ścisząc głos i pochylając się do rozmówcy. – Przyszedłem tu, by ci o tym powiedzieć.

– Na jaki temat mówiliście?

– Upoważniła mnie, żeby unieważnić wasze małżeństwo, do czego są podstawy prawne.

– Jakie?

– Powinieneś je znać. Bo jesteś ich sprawcą.

– A co ja zrobiłem?

– Po pierwsze, nie skonsumowałeś małżeństwa, a po drugie złapała cię w twoim domu z tą murzyńską dziewczyną. Żadna kobieta nie może mieć lepszych podstaw do unieważnienia małżeństwa albo rozwodu.

– To jest tylko jej wina. Ona mnie poganiała. Jest wiele rzeczy, z którymi mężczyzna wolno się oswaja, należy do nich obca kobieta. Byłbym doszedł do tego, o czym wspomniałeś, gdyby mi dała trochę czasu. Nigdy nie odpowiadało mi, jak mnie popychano do rzeczy, do których nie nawykłem. Musiałem mieć na to czas.

– No tak, teraz już jest za późno. Maebelle poleciła mi unieważnić wasz związek małżeński. Prosto stąd idę do sądu.

Native łyknął piwa.

– Za parę dni będziesz znów kawalerem – powiedział Miller. – Nie sądzę, byś stworzony był na człowieka żonatego. W każdym razie postępowałeś inaczej.

– Ano, to mi bardzo odpowiada. – Native szeroko się uśmiechnął i odsunął czapkę z czoła. – Pod warunkiem, że będzie tak dobre jak rozwód. Nie zadowolilibym się czymś gorszym.

– Jakkolwiek byś na to patrzył, unieważnienie jest lepsze niż rozwód. Ona zapłaci koszty sądowe i adwokata. Czego jeszcze byś chciał? Nie będzie cię nic kosztowało.

Native trącił go łokciem.

– Rad jestem to słyszeć. Chyba znów wraca do mnie szczęście. Przez parę ostatnich dni brakowało mi go i trapiłem się tym. Wygrałem tylko cztery bezpłatne gry na automacie i jedną butelkę lichego piwa. Kiedy szczęście mi dopisuje, wyrabiam dwa razy tyle. – Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął monetę. – Może byśmy zagrali? W trójki. Chcę zobaczyć, jak mi pójdzie. Co powiesz?

Miller potrząsnął głową.

– Nie. Przyszedłem tu porozmawiać z tobą w poważnej sprawie.

Native odłożył na bok ćwierć dolara i popił piwa.

– Powiedz mi – rzekł Miller pochylając się do niego. – W zaufaniu. Dlaczego się z nią ożeniłeś? Dlatego, że jest bogatą wdową? Co cię do tego skłoniło?

Native uśmiechnął się.

– Gdybyś był kawalerem tak długo jak ja i odżywiał się tylko fasolką chili i spaghetti z puszek, byłbyś gotów na wszystko. Byłem wygłodzony na przyzwoite domowe jedzenie. Kiedy przyszedłem do jej domu, szło mi tylko o to, by wyciągnąć nogi pod jej stołem i napchać się prawdziwym

domowym jedzeniem. Josene opowiadała mi cuda o świeżej szynce, antrykotach z kurczaków, brązowej fasolce, pasztecie ze słodkich kartofli. Węszyłem i ślinka mi ciekła, jak zgłodniałemu psu przy stole. Im więcej słyszałem od Josene na ten temat, tym byłem bardziej głodny. Gdy znalazłem się w domu Maebelle, nie wiem, jak doszło do rozmowy o małżeństwie. Moja uwaga była zajęta czym innym. Nasłuchiwałem tylko, czy mnie zaprosi do stołu. Prawdę mówiąc zostałem wrobiony w to małżeństwo. W każdym razie dwa razy dobrze się najadłem, nie mówiąc o dużym kawałku smażonego kurczaka i pasztecie ze słodkich kartofli, które mi wczoraj przyniosła Josene. Mogę powiedzieć, że cała ta historia mi się opłaciła. Nie pamiętam, żebym kiedy tak dobrze sobie podjadł w ciągu krótkiego czasu. – Szeroko się uśmiechnął. – Wiesz co, Miller? Założę się, że wielu chętnie znalazłoby się na moim miejscu. Ale ja bym się z nimi nie zamienił.

– I nie będziesz rościł pretensji do majątku Maebelle?

Native potrząsał głową.

– Jeśli ona zostawi mnie w spokoju, ja też nie będę miał do niej pretensji. Uważałem zawsze, że trzeba żyć i dać żyć innym.

– To jest bardzo rozsądne stanowisko – przyznał Miller.

– Gdybyś usiłował dochodzić pretensji majątkowych, musiałbyś wynająć adwokata, żeby reprezentował cię w sądzie. Kosztowałyby to mnóstwo pieniędzy i jestem pewny, że

żaden sąd, jak wysłucha jej zeznania, nie przyzna ci ani centa. Mądrze zamierzasz postąpić, Native.

– Dobrze o tym wiem. Mój tatuś mi to mówił.

– Tak? Co mianowicie?

– Że dwóch rzeczy należy unikać z kobietami. Po pierwsze: nigdy nie krytykować krewnych biednej żony. A po drugie, nigdy nie brać pieniędzy od żony bogatej. Bo podjudzi to kobietę i twoje życie zamieni w piekło.

Miller dokończył piwo i odstawił kufel na bok.

– Nie prosiłeś mnie o poradę prawną. Nie mam zwyczaju udzielać porad za darmo. Niemniej powiem ci coś po przyjacielsku i za darmo. Dlatego tu przyszedłem.

– Co mi powiesz? – zainteresował się Native.

– Chodzi o tę dziewczynę. Josene Maddox.

– Mów.

Miller pochylił się do niego.

– Radzę ci przez najbliższych parę dni trzymać się od niej z daleka. Byłoby lepiej przez parę tygodni. A najlepiej z miesiąc. Wiem, co mówię, i proszę cię, abys mi wierzył na słowo. To poważna sprawa. Dlatego ostrzegam cię, abys trzymał się od niej z daleka.

– Dlaczego? – spytał Native. – Co to ma do rzeczy? Nie zrobiłem nic, czego bym się musiał wstydzić. Całe życie zachowywałem się naturalnie. Mężczyzna ma prawo poderwać dziewczynę i żyć z nią, jeśli tak mu się podoba.

Miller ściszył głos, by nikt go nie podsłuchał.

– Powiedziała mi to Maebelle w czasie rozmowy, o której ci wspomniałem.

– Co ci powiedziała?

– Że każe was oboje aresztować – ciebie i dziewczynę.

– Za co?

– Za mieszanie ras.

– Co to znaczy?

– Dokładnie to, co słyszałeś.

– Chodzi o to, że nie jest całkiem biała?

Miller skinął głową.

– Mój tatuś mówił mi...

– Nie obchodzi mnie, co mówił twój tatuś. Nigdy nie walczył z taką osobą jak Maebelle, która się zawzięła. Mówię ci, to naprawdę poważna sprawa. Ona się wściekła.

Native chciał coś powiedzieć, ale zamyślony, milczał. Tylko jabłko Adama chodziło mu do góry i na dół, gdy z trudem przełykał ślinę. Wreszcie pytająco spojrzął na Millera.

– Jak Maebelle może to zrobić? – wolno zapytał

– Nie ma znaczenia, jak ona to zrobi i dlaczego. Za późno zastanawiać się nad tym. Idzie w tej sprawie na policję. Właściwie już poszła zobaczyć się z Luke Moss'em. Zadzwoniłem do Luke'a i ostrzegłem go, ale nie wiem, czy zdoła się od tego wykręcić.

– Co ma Luke Moss z tym wspólnego? Luke jest za sprytny, aby narażać swą reputację trzymając z nią w takiej sprawie.

– Nie wiem, dlaczego Luke miałby się wtrącić do tego, chyba że Maebelle pogroźkami zmusi go do aresztowania ciebie i dziewczyny. Ale chcę, żebyś wiedział jedno: starałem się usilnie zapobiec temu. Ani drgnęła. Wybrała się na wyprawę krzyżową i nikt jej od tego nie odwiedzie, chyba że sama zrezygnuje. Taka już jest. Za jakiś czas się opamięta, teraz jednak zawzięła się na ciebie.

Native gwałtownym ruchem odsunął czapkę z czoła, położył ręce na barze i ciężko się oparł. Uśmiech zniknął z jego twarzy. Wpatrywał się w bar i duży obraz kobiety kąpiącej się w małej wannie.

– Nie wiem, co wyniknie z pogroźek Maebelle – mówił Miller – ale radzę posłuchać mej przestrogi. Uważam, że

mądrze byłoby na razie nie wpuszczać Josene do domu i nie mieć z nią nic wspólnego, aż się sprawa uciszy. Nie spotykajcie się także gdzie indziej. Nawet w lesie za miastem po zapadnięciu zmroku. Gdziekolwiek cię z nią złapią, źle się to skończy. Wiem, że spotykałeś się z Josene od dłuższego czasu i teraz trudno ci od niej odwyknąć, ale musisz się wziąć w garść i wytrzymać, aż Maebelle wybije sobie z głowy kruczatę przeciw mieszaniu ras. Gdybyś mi zapłacił sto dolarów gotówką, nie mógłbym ci udzielić lepszej rady.

Native położył pieniądze na barze i zamówił jeszcze jedną butelkę piwa. Miller Hyatt wstał ze stolka.

– Josene powiedziała mi, że wychodzi za mąż – rzekł Native patrząc na Millera z rozpaczą. – Wychodzi za Murzyną. Staralem się jej to wyperswadować, nic nie wskórałem. Jeżeli Josene to zrobi, nie przyjdzie do mnie więcej. Moje szczęście mnie opuściło. Nic na to nie poradzę, czuję się jak stary ogar z kulawą tylną nogą, który stara się prześcignąć dwa młode psy w pogoni za królikiem.

Było wczesne popołudnie. Jesienne chmury pędziły od zatoki na północny wschód. Maebelle szła nie brukowaną ulicą na tyłach stacji kolejowej do miejskiego więzienia, krytego blachą. Pogoda była o tej porze roku trudna do przewidzenia. Po chmurnym dniu mogła nastąpić wygwieżdżona noc, a słoneczny dzień skończyć się szalejącą wichurą i rześistą ulewą. Była to pora huraganów i należało być przygotowanym na wiatr i deszcz znad zatoki.

Prostokątny budynek więzienny z cegły, spieczonej przez słońce i zbitej przez deszcze w ciągu dwudziestu lat, znajdował się teraz w środku murzyńskiej dzielnicy, która się rozrosła. Nie wybrukowano jezdni, brak było trotuarów, rzadko też, może raz na rok, kierownik robót miejskich przeprowadzał prace niwelacyjne i drenażowe.

Po przejściu przez tor Maebelle musiała starannie omijać kałuże i przeskoczyć pień zwalonej przez wiatr dżakarandy.

Brnąc przez kałuże i piaszczyste chodniki Maebelle niechętnie szła do tej dzielnicy miasta na południe od toru. Większość tamtejszych domów stanowiły szopy z drzewa i blachy, które dopraszały się remontu i odmalowania.

Wszystkie te walące się rudery należały do białych rodzin, które wynajmowały je Murzynom i pobierały tygodniowy lub miesięczny czynsz. Reperacje były rzadko dokonywane, chyba że domek ucierpiał na skutek pożaru albo dach się zawalił. Maebelle słyszała, jak Frank mówił, że pobiera czynsz za domki, ale nie miała pojęcia, ile było tych chałupek i ile przejdzie na jej własność, kiedy Miller Hyatt przeprowadzi postępowanie spadkowe.

Brama więzienia była otwarta. Bill Parks, strażnik więzienny, siedział w wartowni za biurkiem i czytał gazetę, a radio grało.

Za biurkiem znajdowała się żelazna zardzewiała krata oddzielająca wartownię od cel więziennych. Dzięki temu można było dosłyszeć zgrzyt piły lub inne podejrzane odgłosy. W celach siedziała gromadka Murzynów, nie było wśród nich ani jednego białego. Któryś z Murzynów śpiewał smętną balladę z obozu pracy. („Szukałem dobra, spotkało mnie zło... Taki jest los czarnych...”)

Bill Parks na widok Maebelle stojącej na progu upuścił gazetę na podłogę, wyłączył radio i wstał. Zdjął kapelusz, rzucił go na biurko.

– Jak się pani miewa, pani Hunnicutt?

– Jak pan śmie tak mnie nazywać! Nazywam się Bowers.

– A ja myślałem...

– Mało mnie obchodzi, co pan myślał!

Bill skinął głową.

– Tak jest, pani Bowers.

– Kim są ci więźniowie? – spytała niespokojnie zerkając w stronę cel. – Czy wszyscy są czarni?

– Ano właśnie.

– A za co siedzą?

– Za zwykłe sprawy. Proszę się nie obawiać. Za długi w sklepach albo za głośne gadanie na ulicy albo płucie na trotuar. Takie rzeczy. Po prostu zwyczajne zakłócenia porządku publicznego. Ostatnio nie było wiele rozpraw nożowych i strzelaniny. Pod koniec tygodnia będą zwolnieni albo pojedą na przymusowe roboty na pół roku.

Maebelle zrobiła krok naprzód.

– Chciałabym, żeby przestali śpiewać – powiedziała. – Nie podobają mi się te śpiewy. Są zbyt ponure. Niech pan ich uciszy.

Bill wziął żelazny pręt i uderzył nim parę razy po kracie. („Otwórzcie tylko drzwi, a już mnie nie ma... Znajdę sobie miejsce, gdzie czarny człowiek jest wolny...”)

Głośny brzęk żelaznego pręta uciszył śpiewanie.

– Cicho tam! – krzyknął przez kratę. – Ani mru, mru!
Jeśli się nie uciszycie, przyjdę i będę walił po łbach!

Żaden więzień się nie odezwał.

– Czy jest pan pewny, że są zamknięci na klucz i nie mogą wyjść? – spytała Maebelle rzucając trwożliwe spojrzenie na cele. – Nie czuję się bezpieczna w ich sąsiedztwie.

– Proszę się nie obawiać. Jest pani bezpieczniejsza tu niż w mieście. Prawdę mówię. Żonę, kiedy się martwi, że pracuję w policji, zawsze zapewniam, że najbezpieczniejszym miejscem w mieście jest kryminal.

– Nie podoba mi się ten zapach – Maebelle pociągnęła nosem. – Okropnie tu śmierdzi.

– Szybko oswoiłaby się pani z tym zapachem – śmiejąc się odparł Bill – gdyby pani spędzała tu tyle czasu co ja. Kiedy z żoną żartuję, że przesiedziałem w więzieniu dłużej niż którykolwiek mieszkaniec miasta, odpowiada, że to się czuje.

Maebelle ostrożnie wyszła na środek izby. Bill podał jej krzesło, ale ona zignorowała ten gest uprzejmości.

– Przyszłam tu pomówić z komendantem policji. Chcę się z nim zobaczyć. Natychmiast.

– Luke Moss? – spytał Bill ze zdziwioną miną. Kręcił głową, jakby szukał Moss'a. – O niego chodzi?

Skinęła głową zaciskając usta.

– Hm, Luke... Nie ma go w tej chwili.

– A gdzie jest?

– Luke? Wyszedł przed chwileczką. Rozminęła się pani z nim. Nie upłynęło chyba pół godziny, jak wyszedł.

– Dokąd poszedł?

– Wybrał się na polowanko. Na ptaszki.

Maebelle nabrała powietrza i jeszcze bardziej zacisnęła zęby.

– To bardzo przykre. Omal się pani o niego nie potknęła – zauważył ze smutkiem schylając głowę, aż mu się podbródek sfaldował. – Gdyby pani przyszła pół godziny wcześniej...

– Kiedy wraca?

– Kto? Luke Moss? Szczerze mówiąc, nie wiem, proszę pani. On sam też nie bardzo wiedział. Oświadczył, że wszystko zależy od tego, jak się będzie polowało na przepiórki w nizinnej części hrabstwa, dokąd się wybierał. Ale mówił, żeby pani powiedzieć... to znaczy... powiedział mnie, że może zabawić tam parę dni. Luke ma kręcka na punkcie przepiórek i pewnie nie wróci, póki nie wypcha toreb myśliwskich. Nie chciał wybrać się na polowanie sam i dlatego zabrał z sobą, po drodze, leśniczego.

Maebelle zmierzyła go oskarżycielskim spojrzeniem.

– Jak szef policji może tak zejść z posterunku? – zapytała ostrym tonem. – Jestem zdumiona słysząc coś podobnego. Przecież w czasie nieobecności przestępcy mogą się rozhulać w naszym mieście. Kto będzie bronił mieszkańców?

– Niech się pani o to nie martwi. Gdyby się zdarzyły jakieś kłopoty, Brad Grady i ja damy sobie radę. Brad na nocnej zmianie jeździ wozem patrolowym, a ja siedzę tutaj w ciągu dnia. Nie ma takiej sprawy, z którą nie moglibyśmy się uporać. A poza tym zawsze możemy poprosić szeryfa hrabstwa, żeby nam dosłał swego zastępcę albo dwóch.

– W takim razie może pan i w mojej sprawie zadziałać natychmiast. Chcę, żeby pan aresztował...

– Wolnego, proszę pani – rzekł Bill z niewyraźną miną przestępując z nogi na nogę. – Chwileczkę. Wszystko już wiem, nie musi mi pani nic mówić. Słyszeliśmy o tym godzinę temu, to znaczy Luke słyszał. Ktoś do niego zadzwonił i powiedział, że pani życzy sobie, by dokonać aresztowań. W ten sposób i ja o tym się dowiedziałem. Luke powiedział mi na pożegnanie, żebym w tej sprawie palcem nie ruszył. Luke jest szefem policji i to, co on mówi...

Twarz Maebelle poczerwieniała ze złości.

– Nie obchodzi mnie, co Luke Moss panu powiedział! Nie muszę czekać, aż wyjdzie z ukrycia! Idę prosto do szeryfa hrabstwa! On spełni swój obowiązek.

Odwróciła się na pięcie i wyszła z wartowni. Bill Parks odprowadził ją do drzwi.

– Tak będzie najlepiej – rzekł. Doznał ulgi widząc, że wychodzi. – Szeryf pani wszystko załatwi. – A ja powiem Luke’owi o pani decyzji.

Maebelle nawet się nie odwróciła. Szła śpiesząc się bardzo nie wybrukowaną ulicą do biura szeryfa w sądzie. Bill patrzył, jak omijała kałuże, aż zniknęła.

– Panie Bill! – zawołał Murzyn z celi.

Bill wrócił do biurka.

– Czego chcesz?

– Czy mogę o coś zapytać?

– O co?

– Kim jest ta biała dama?

– Pani Bowers. Dlaczego?

– O mój Boże – powiedział Murzyn smutnym głosem. – Zrobiło mi się bardzo smutno. Z jej tonu domyślałam się, że się zawzięła na czarnych. Zawsze to zły znak, jak biali nie pozwalają nam trochę pośpiewać.

– No to powinienesz się cieszyć, że siedzisz w kryminale. Bo ona tutaj nic złego nie może ci zrobić.

– Nie myślę o sobie, panie Bill. Tylko o innych, takich jak ja. Nas jest bardzo dużo.

Bill Parks włożył kapelusz i siadł za biurkiem. Inny więzień zawołał do niego:

– Panie Bill, można trochę pośpiewać? Nie będzie pan miał nic przeciw temu?

– A śpiewajcie sobie – powiedział w słuchawkę telefonu.
– Lepiej się czuję, jak śpiewacie.

Kiedy Maebelle weszła na wschodnią stronę rynku i dotarła do sądu, Clyde Hefflin siedział na granitowych schodkach i czekał na nią. Gawędził z gromadką, która zbijała baki przed sądem. Rozmowa gwałtownie się urwała, gdy nadeszła Maebelle. Clyde wstał i uchylił kapelusza.

– Jak się pani miewa? – spytał, gdy weszła na schody. – Chce pani widzieć się z szeryfem, prawda? Kazał mi czekać na panią.

– Lepiej dla niego będzie, jeśli zastanę go w biurze – odparła przechodząc koło Clyde'a.

Zapewnił jeszcze raz, że szeryf czeka na nią, i poprowadził przez rotundę do biura Grovera Glovera na tyłach budynku.

Grover stał przy oknie i czekał na Maebelle od chwili, gdy zadzwonił Bill Parks. Umówili się, że da cynk, kiedy Maebelle ruszy do sądu. Czekał z najmiłym uśmiechem na ustach, wyszedł na spotkanie i podał jej rękę. Wziął ją pod ramię i poprowadził do krzesła przy biurku. Clyde wycofał się na korytarz i zamknął za sobą drzwi.

Gdy oboje siedli, Grover znów uśmiechnął się przyjaźnie. Już drugą kadencję sprawował urząd szeryfa hrabstwa i ubiegał się o tę funkcję po raz trzeci. Był dużym, dobrodusznym mężczyzną, w zmiętym luźnym ubraniu. Na łysiejącej głowie miał rzadkie, żółtawe włosy.

Zajmował się polityką, z nominacji lub wyboru, przez połowę pięćdziesięciu lat życia. Zaczął jako strażnik więźniów skazanych na roboty przymusowe. („Nigdy nie szkodzi politykowi obiecać wyborcom czego zechcą, bo zawsze znajdziesz sposób, żeby się wykręcić, a wyborca przez cały czas będzie cię darzył sympatią. Gdy dojdzie do następnych wyborów, zapomni, czego chciał w pierwszych, i będzie się dopominał o coś innego, a ty mu znów wszystko obiecasz.”) Po tylu latach służby i niestrudzonych wysiłków Grover znał po nazwisku wszystkich białych wyborców w hrabstwie. Co się tyczy białych kobiet w wieku wyborczym, przyjął taktykę zwracania się do nich przez „kochanie”, jeżeli były pannami, a do mężatek po nazwisku.

Wyraz twarzy Grovera uległ zmianie. Uprzejmy uśmiech stopniowo zniknął z kącików ust, które nabrały smutnego wyrazu, tylko szare oczka mu błyszczały.

– Proszę pani, bardzo mnie zasmuciła śmierć Franka. Szczerze to mówię. Frank był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znałem. Takiego jak on, prawdę mówiąc, chyba nie znalazłoby się na całym świecie. Wszystkim jego przyjaciółom bardzo go będzie brakowało. I jeszcze coś pani powiem. Na jedno można było liczyć, jeśli chodzi o Franka. Byłem pewny jego głosu. Wie pani, co mi ostatnio przyszło do głowy? Powiem. Pomyślałem sobie, że obywatele hrabstwa Sycamore w uznaniu jego zasług powinni zebrać pieniądze i wznieść pomnik Franka naturalnej wielkości na trawniku przed sądem.

Maebelle przyłożyła chusteczkę do oczu. Grover pochylił się nad biurkiem, odwrócił głowę i z zainteresowaniem przeglądał listy i papiery leżące na biurku, czekając, żeby swobodnie się wypląkała.

Gdy uznał, że wystarczy, rozparł się w krześle i spojrzał na Maebelle z promiennym uśmiechem.

– Co mógłbym zrobić dla pani?

Maebelle odłożyła chusteczkę.

– Chcę, żeby aresztowano Native'a Hunnicutta i Josene Maddox. Za przestępstwo przeciw czystości rasy.

Grover przybrał poważny i zmartwiony wyraz twarzy. Potrząsnął głową.

– Proszę pani, szeryf hrabstwa nie ma władzy na obszarze miasta Palmyry – przemówił gładko, jakby to oświadczenie starannie sobie przygotował. Mówił tonem poważnym i autorytatywnym. – Jestem władny dokonywać aresztowań i odpowiadam za porządek na terenie hrabstwa z wyjątkiem miast wyłączonych. Co innego gdyby doszło do zamieszek, gdyby gubernator ogłosił stan wyższej konieczności i trzeba by strzec porządku. Takie jest prawo. Obejmując urząd, złożyłem odpowiednią przysięgę. W tej sytuacji nie pozostaje pani nic innego, tylko zwrócić się do komendanta policji w Palmyrze. Luke Moss...

– On się ukrywa – z goryczą w głosie powiedziała Maebelle. – Ktoś uprzedził go, zanim tam dotarłam. Ale to mnie nie powstrzyma od kroków, które uważam za słuszne. Może pan aresztować, jeśli pan zechce, przestępców, bez względu na to, gdzie naruszyli prawo. Przyszłam, żeby zażądać tego od pana.

Grover chwilę wyglądał przez okno. Chmury nad zatoki ciemniały na niebie z południowego zachodu i zanosilo się na ulewę przed wieczorem.

– Więc co pan zamierza zrobić w tej sprawie? – niecierpliwie spytała Maebelle.

– Proszę pani, pani Bowers. Będę szczery. – Grover pochylił się do przodu. Życzliwy uśmiech wrócił na jego oblicze. – Jestem dumny, że kieruję się względami politycznymi, będę więc wobec pani uczciwy. Listopadowe wybory odbędą się za niecały miesiąc. Nie mogę wystawić na szwank swego dobrego imienia szykanując białego obywatela i aresztując go jak zwykłego przestępcę tylko dlatego, że podobno żył z kolorową dziewczyną. Inni biali obywatele mieliby do mnie pretensję, bo jest to jedyna rzecz, którą biały może zrobić bez obawy, że spotkają go nieprzyjemności. Gdybym zrobił, czego pani się domaga, nie zebrałbym w listopadzie dość głosów, by mnie wybrano na zastępcę wikarego w wiejskim kościele. Nie studiowałem przepisów na temat czystości rasowej, ale na tyle znam się na polityce, żeby nie wchodzić w konflikt z przyjętymi zwyczajami tuż przed wyborami. Natomiast gdyby pani złożyła skargę przeciw Murzynowi, że usiłował jeść w restauracji dla białych albo inaczej naruszył przepisy o segregacji, z miejsca bym go zamknął.

Grover przerwał i czekał na wybuch gniewu Maebelle. Ale ona tylko bardziej zacisnęła usta.

– Jest jeszcze jedna ważna sprawa – mówił dalej. – Mianowicie, że Frank nie zgodziłby się na to. Nie podobałoby mu się, żeby Murzyn i biały byli oskarżeni o ten sam występki. On pierwszy by powiedział, że to by zrównało Murzynów z nami, a tego ani pani, ani ja nie życzymy sobie do końca naszych dni. Gdyby Native Hunnicutt kogoś

zamordował albo dopuścił się rozboju, uważałbym za swój obowiązek jako organ sprawiedliwości aresztować go pod nieobecność komendanta policji. Ale tak się nie stało, i ja nie...

– No to może pan aresztować Josene Maddox – przerwała mu Maebelle. – Tu już nie znajdzie pan żadnej wymówki.

– Naturalnie, to mogę zrobić – z ulgą zgodził się Grover. Znow miło się uśmiechał. – Z przyjemnością zrobię to dla pani. Wyślę mego zastępcę do dzielnicy murzyńskiej i każę mu zamknąć tę dziewczynę. Jak się ona nazywa?

– Josene Maddox..

– Josene Maddox – powtórzył i zapisał na kartce papieru. – No, to sprawa załatwiona, bardzo się cieszę. Powiem swemu zastępcy, żeby ją zamknął w kryminale pod zarzutem prostytutki. Jest to miejska ordynacja numer trzysta pięć. Zawsze mogę powiedzieć, że musiałem podjąć pilne kroki pod nieobecność Luke'a Moss'a. Zarzut równa się temu, co pani o niej mówiła. Jest to szybki i łatwy sposób rozprawienia się z murzyńskimi dziewczynami, bo nie stać ich na opłacenie adwokata, który by oczyścił je z zarzutu, udowodnił, że są niewinne, zażądał przesłuchania, jak też nie stać je na zebranie pieniędzy na kaucję. Poza tym w Palmyrze niewielu jest adwokatów, którzy by wzięli taką sprawę i chcieli zyskać miano obrońców czarnych. Powiadają, że to godzi w ich reputację wśród białych. W rezultacie Murzynki oskarżone o

uprawianie prostytucji niemal zawsze dostają sześć miesięcy pracy przymusowej, ilekroć sprawa trafi do sądu, bez względu na to, jak by się broniły. Tak więc rzecz byłaby załatwiona po pani myśli.

– No to świetnie – zgodziła się Maebelle i wstała. – Mam nadzieję, że dotrzyma pan słowa i ta Murzynka dostanie sześć miesięcy. To ją oduczy bezwstydnego pokazywania się nago białemu mężczyźnie.

Pędzony przez szalejące wiatry, które łamały konary i wyrzywały z korzeniami stare drzewa mahoniowe i akacje, uporczywy jesienny deszcz zaczął padać późnym popołudniem już po burzy, która przeszła od zatoki w kierunku północno-wschodnim nad całym hrabstwem Sycamore. W tartaku do końca dnia trzeba było porzucić prace na wolnym powietrzu, a także zajęcia w polu. W czasie burzy niewiele osób widać było na ulicach Palmyry. Trotuary wokół placu przed gmachem sądu zalala woda, gdyż ścieki zatkały liście i śmieci. Niektórzy właściciele sklepów musieli zabezpieczyć drzwi workami z piaskiem, bo inaczej woda by przeciekła przez próg i zniszczyła cenne towary.

Z nastaniem nocy ucichł wiatr, deszcz przestał padać, niebo się przejaśniło i gwiazdy zabłysły. Małpi Gaj był zalany błotnistą wodą, głęboką na kilkanaście cali.

Kierownik robót publicznych w Palmyrze od wielu lat nie wyrównywał i nie drenował terenu w ślepej uliczce, wskutek czego Native wychodząc z domu po ulewnym deszczu musiał przez parę dni wkładać gumowe buty. Przez cały rok od deszczu do deszczu w Małpim Gaju były dziury pełne błotnistej wody. Native przestał się skarżyć, kierownik robót publicznych bowiem stale powtarzał, że uliczka ta nie figuruje

na oficjalnym planie miasta i dlatego w jego oczach nie istnieje. („Nie będę tracił czasu na starania o ulicę, przy której mieszka tylko jeden wyborca. Niechże się przeprowadzi, jeśli tam mu się nie podoba. Mam pełne ręce roboty, żeby zadowolić ważnych wyborców tak, żeby się na mnie nie skarżyli.”)

Po burzy szybko, jak zwykle w jesieni, zapadła noc i zrobiło się ciemno. Native postanowił zostać w domu i popracować nad aparatami radiowymi, które przyrzekł naprawić. Wiedział, że będzie musiał posiedzieć do późnej nocy, jeśli ma wykonać choć część zobowiązań.

Skończył jeść fasolkę chili i spaghetti. Wyrzucił puste puszki przez okno na stos śmieci i siadł, do roboty, kiedy ktoś głośno zapukał do drzwi. Native długo udawał, że nie słyszy pukania, spodziewając się, że gość odejdzie i nie będzie przeszkadzał mu w pracy. Jednakże uporczywe pukanie nie ustawało i musiał przerwać robotę. Idąc do drzwi myślał, jaką by znaleźć wymówkę, że nie zreperował czyjś tosteru albo lampy na stół.

Gdy otworzył drzwi, na progu ukazał się Al Didd. Minę miał chmurną, w ręce trzymał buty i skarpetki, spodnie podwinął do kolan, żeby nie zamokły. Brązowe błoto przeciekało mu przez palce u nóg.

– Spójrz na moje nogi! – powiedział Al jeszcze bardziej marszcząc brwi. – Jakże może dorosły człowiek tak się

upaprać! ? Co ty sobie myślisz? Ze jestem dziesięcioletnim szczeniakiem bawiącym się w kałuży?

– Cieszę się, że przyszedłeś, Al – odparł Native. – Obawiałem się, że to kto inny. Wejdz.

Al Didd był długoletnim przyjacielem Native'a. Podobnie jak on przez całe życie mieszkał w Palmyrze. Wysoki, chudy, z krótko przyszyżonymi czarnymi włosami, mówił głębokim basem. Z zawodu elektryk, swego czasu prowadził własny zakład, ale nie wystarczyło to na utrzymanie żony i pięciorga dzieci. Wobec tego przez parę ostatnich lat Al był zatrudniony jako dobrze płatny inspektor linii wysokiego napięcia. („Cała moja robota polega na tym, że chodzę i patrzę na przewody wysokiego napięcia i wieże, czy jakiś zdechły myszołów albo latawiec nie spowodował krótkiego spięcia, wskutek czego wysiadł transformator. Niektórzy uważają, że zachowuję się arogancko i zadzieram nosa, a to tylko dlatego, że kark mi drętwieje, bo przez cały dzień patrzę na wiszące wysoko druty.”)

Al wszedł do pokoju pozostawiając za sobą na podłodze ślady brązowego błota.

– Dlaczego nie popędzisz kota radzie miejskiej i nie każesz im osuszyć tego bagna przed domem? A jeżeli to się ma nigdy nie zmienić, powinieneś kupić parę wieprzków, żeby tarzały się w błocie. Będiesz mógł się chwalić, że masz najwspanialszą hodowlę świń w całym kraju. Jak

z głodniejesz, to wyjdiesz przed dom, zaciukasz świniaka i będziesz miał tyle szynki i kotletów, ile dusza zapagnie.

– Faktycznie kłopot polega na tym, że nie jestem dostatecznie wielkim płatnikiem podatków – odparł Native, zamykając drzwi. – A w tej sprawie rozrabiałem wiele razy, ale nikt mnie nie słuchał, błota nie osuszono. W przyszłym miesiącu będziemy mieli wybory. Gdy zwrócą się do mnie, abym na nich głosował, może przy tej okazji uda mi się przehandlować mój głos za zrobienie porządku przed domem. Tyle czasu się użerałem. Innego wyjścia nie widzę.

Native przeniósł wiadro wody i wygrzebał ze stosu śmieci czystą szmatę. Al zmył błoto z nóg i wytarł je szmatą. Potem włożył skarpetki i buty.

– Co się ze mną dzieje? – powiedział patrząc na nogi i potrząsając głową. – Po co wkładam buty, przecież ledwie wyjdę, będę musiał je zdjąć i znów brodzić w błocie.

– O to się nie martw – odparł Native. – Mam zapasową parę starych gumowych butów. Kiepsko wyglądają, ale suchą nogą przejdiesz do rogu, gdzie się zaczyna bruk.

Al otworzył drzwi i wylał z wiadra błotnistą wodę. Potem zamknął drzwi, siadł na wielkim, chwiejnym fotelu i zapalił papierosa. Native podszedł do warsztatu i usiadł na stołku. Al nagle się zerwał.

– Co się ze mną dzieje?! – głośno zawołał. – Chyba dostałem kręčka na myśl o tych wieprzkach, które będziesz hodował przed domem, i zapomniałem, po co tu przyszedłem.

– Nie pamiętam, abyś zostawił u mnie jakąś rzecz do naprawy. Czy to było radio, czy coś innego?

– Nic nie zostawiłem.

– No to co masz mi do powiedzenia?

– Ważną rzecz – powiedział Al podchodząc do stołu. – Jest to dla ciebie naprawdę zła nowina.

Native odłożył narzędzia i spojrzał na Ala. Al wolno kiwał głową.

– Właśnie dlatego przyszedłem do ciebie, jak tylko deszcz przestał padać. A powinienem teraz jeść kolację z moją starą, która będzie miała pretensje, że się spóźnię.

– Coś nie klapuje, Al?

– Nic nie klapuje. Opowiem ci dokładnie, co słyszałem, tak będzie najlepiej. Przed chwilą Clyde Hefflin rozmawiał z kimś w kącie na pocztce. Przyszedłem zobaczyć, czy nie ma czegoś do mnie w skrzynce. Clyde tak się wydierał, że to mnie zaciekawiło i przystanąłem, by posłuchać. Przechwalał się tym, co zamierza zrobić. Mówił, że już by to zrobił, gdyby nie przyszła burza i nie trwała tak długo. Wiesz, jaki jest Clyde, kiedy chce popuścić kota Murzynowi z jakiegoś powodu. Dostaje wtedy gorączki, czerwienieje na gębie i

zapluwa się. Tak właśnie zachowywał się na poczcie. Słysząc go było na pół mili.

Native wstał i oparł się o stół.

– Nigdy w życiu nie spotkałem kogoś, kto by tak nienawidził czarnych jak Clyde Hefflin – mówił Al. – Czasem zdaje mi się, że to jest jego jedyny cel w życiu: nienawidzić Murzynów. Gdybym nawet zwariował, nie potrafiłbym nikogo traktować tak, jak Clyde traktuje czarnych, ilekroć nadarzy się okazja. Trzeba być przesiąkniętym szczególną podłością, żeby tak się zachowywać. Nie wiem, dlaczego toleruje się takie postępowanie zastępcy szeryfa. Chyba dlatego, że ma wielu wujków i kuzynów głosujących w Palmyrze i gdzie indziej. A to się liczy w oczach takiego polityka jak szeryf Glover.

– Ale co Clyde zamierza zrobić?

– Powiedział, że pójdzie do domu, zje kolację, a potem odwiedzi dzielnicę murzyńską i aresztuje Josene Maddox. Oświadczył też, że został upoważniony przez szeryfa do zamknięcia jej w więzieniu dziś wieczór.

– Do zamknięcia jej? Za co?

– Powiedział, że prawdziwą przyczyną są jej stosunki z tobą, co się sprzeciwia rasowej segregacji, ale tego nie można głośno mówić. Glover oświadczył mu, że nie życzy sobie, żeby o tym mówiono akurat przed wyborami. Wobec czego Josene należy oskarżyć o uprawianie prostytucji. Że się kurwi, po prostu mówiąc. Pod tym pretekstem aresztuje się młode

Murzynki w każdą sobotę wieczór. Powiedział też, że Josene pośle się na sześć miesięcy do prowadzonego przez władzę hrabstwa zakładu, w którym przebywają osoby skazane na pracę przymusową. Clyde twierdził, że jest to dobra okazja dania nauczki Murzyńcom, którzy chcą wyjść z cienia i kumać się z białymi, jeść w tych samych restauracjach, posyłać dzieci do tych samych szkół itd. Wspomniał też, że Murzyni śmiało sobie poczynają, bo im się zdaje, że rasowa segregacja już została zniesiona. Więc wiedząc, jak się ma sprawa między tobą a Josene, boś mi o tym mówił, pomyślałem, że ta wiadomość cię zainteresuje. Gdybym nie był twoim serdecznym przyjacielem, na pewno nie zrezygnowałbym z kolacji i nie brodził w błocie, żeby ci o tym powiedzieć. Pamiętaj, abysy rychło odwzajemnił mi tę przysługę.

– To sprawka Maebelle – powiedział Native. – Założę się, że to ona rozrabia. Powiedziała, że każe nas oboje aresztować. Wczoraj wieczór wyszła stąd wściekła i gotowa na wszystko.

– Co zamierzasz zrobić? – spytał Al. – Nie powstrzymasz Hefflina od aresztowania Josene.

– Powstrzymam, jeśli tylko będę mógł. Pójdę do domu Josene i powiem jej wszystko, zanim zjawi się tam Clyde. Wiem dobrze, co się stanie, jeśli zamknie ją w więzieniu. Wszyscy wiedzą. Umieści ją w celi od podwórza i będzie tam wchodził i wychodził całą noc. Słyszałem, co się dzieje, kiedy zamyka się młode Murzynki w sobotę wieczór. Sam Grover Glover bywa tam, kiedy ma ochotę na Murzynkę.

– Musisz bardzo uważać, jeśli chcesz iść do jej domu – ostrzegł Al. – To niebezpieczne. Jak Clyde przyłapie cię z nią po tym, co nagadał, może cię aresztować... albo zrobi coś gorszego. Wiesz, jaki on jest, kiedy ma przy sobie pistolet, kajdanki i pałkę.

– Nic na to nie poradzę – odparł Native. – Pójdę do niej i uprzedzę, zanim zjawi się Clyde. Miałbym wyrzuty sumienia, gdybym tak nie postąpił.

– Co jej poradzisz?

– Jeszcze nie wiem. Ale po drodze się zastanowię. I coś wymyślę. Nie pozwolę, aby ją aresztowano pod takim zarzutem. Byłoby to niesprawiedliwe. Jest u nas mnóstwo kurew, ale Josene to dobra dziewczyna. Na pewno! To niesprawiedliwe!

– Może niesprawiedliwe, ale ty nie jesteś policjantem, a on jest.

Native zaczął nerwowo spacerować po pokoju.

– Nic na to nie poradzę. Mam swoje zasady. Są rzeczy sprawiedliwe i niesprawiedliwe, i wiem, co jest dobre, a co złe.

– Jeśli tak postanowiłeś – powiedział Al – pójdę z tobą. Byłoby niebezpiecznie, gdybyś sam na sam spotkał się z Clyde'em.

– Nie, mój panie! – odparł Native stanowczo potrząsając głową. – Nie zgadzam się. Trzymaj się z daleka od tej sprawy.

Masz na barkach rodzinę, a ja tylko siebie. Niepotrzebnie byś się wrobił, nie ma sensu tak ryzykować. Sam to załatwię. Ty się do tego nie wtrącaj.

Włożyli gumowe buty. Native zgasił światło.

– No dobrze, nie będę się wtrącał. Ale ty uważaj na siebie – powiedział Al, gdy wyszli w ciemną noc. – Wiesz, jak podły jest Clyde, kiedy poluje na Murzyna. Potrafi murzyńską dziewczynę potraktować równie po łajdacku jak Murzyna i skuć ją w kajdanki. Gotów jest dostać szalu, jeśli Murzyn powie jedno słowo za dużo. Dlatego tylu czarnych już zabił i za każdym razem jest z tego dumny. A ty pamiętaj, zejdź mu z drogi, jak się rozpiekli.

Al i Native wyszli z domu. Brodzili po wodzie i brązowym błocie Małpiego Gaju. Żaby rechotały gdzieś w ciemnościach, a nocny ptak beznadziejnie zawodził siedząc na dębie. Po burzy zrobiło się chłodno. Gwiazdy jasno migotały.

– Nie zapomnij o tym, co ci mówiłem – powiedział Al. – Uważaj na siebie i nie daj się zwieść Clyde’owi Hefflinowi. Pamiętaj, słyszysz?

– Nie zapomnę o tym, coś mi powiedział – przyrzekł Native. Brnęli dalej po bagnistej drodze. – Jestem ci wdzięczny, żeś zadał sobie tyle trudu i mnie ostrzegł. Jestem ci za to szczerze wdzięczny. Gdybyś mi nie powiedział, nie miałbym pojęcia, co Clyde knuje. Nic nie dałoby się już zrobić.

– Będę czekał, aż mi się odwzajemnisz za tę przysługę.

Kiedy doszli do budynku straży ogniowej, Native bez słowa skręcił w ulicę wiodącą do toru kolejowego i murzyńskiej dzielnicy.

Al Didd, zaczekał, aż Native zniknął mu z oczu, po czym poszedł zjeść kolację z żoną i dziećmi.

Spiesząc do domu obmyślał, jakby najlepiej wytłumaczyć żonie, dlaczego się spóźnił na kolację. Była to

kobieta nerwowa i łatwo wpadała w panikę, obawiał się więc, że nie da mu spać całą noc, bo się będzie rozwodzić na temat stosunków z Murzynkami. To się zawsze kończyło oskarżeniem, że nie dochowuje jej wierności. („Biała kobietę dostatecznie peszy, jeśli ma za służącą młodą Mulatkę, która podejrzenie wygląda, ale jeszcze gorzej sprawy stoja, jeśli kolorowa służąca ma małe dziecko, które wypisz wymaluj podobne jest do kogoś z jej bliskich krewnych. Okropnie żenującą rzeczą jest, kiedy zajdziesz do drugstore'u i spotkasz tam młodego mężczyznę o brązowej skórze uderzająco podobnego do wuja Johna. Podobieństwo jest tego rodzaju, że można by wziąć go za młodszego brata wuja. Obaj mają te same krzaczaste brwi, ten sam kolor oczu i te same dołeczki w brodzie. Dostaję dreszczy na całym ciele na myśl, że któryś z tych brązowych facetów mógłby być moim krewnym. Gdyby to ode mnie zależało, przeprowadziłbym się do dużego miasta, gdzie nie musiałbym się wstydzić idąc jego ulicami. Gdybyś miał więcej ambicji, Al Didd, zrobiłbyś coś dla mnie i wziął pracę w Jacksonville albo Atlancie. I jeszcze jedna sprawa! Gdzieś się tłukł do późnej nocy? Coś robił tyle czasu? Dlaczego nie przyszedłeś prosto z pracy do domu? Na myśl, że choć jedną chwilkę byłeś blisko tych dziewcząt... Chodź no tutaj, niech cię powącham! Od razu poznam zapach innej kobiety!”)

Kiedy Native dotarł do końca trotuaru, przeszedł przez tor kolejowy i skręcił w prawo na porośłą trawą ścieżkę.

Potem szedł nie oświetloną błotnistą ulicą w stronę domu, w którym mieszkała Josene z czteroletnią córeczką i babcią.

Było po godzinie siódmej wieczór. Po obu stronach ulicy w oknach domów paliły się lampy. Native widział murzyńskie rodziny zebrane przy kolacji w kuchniach lub jadalniach. W słabym żółtawym świetle latarni, parę przecznic od placu, przed sądem, domy murzyńskiej dzielnicy sprawiały pogodne i spokojne wrażenie. Minał dzień pracy, wszyscy powrócili na noc do domów, ulica rozbrzmiewała beztroskim śmiechem. Z pobliskiego domu dobiegały dźwięki kojącej muzyki z radia. Native minął gromadkę dzieci pokrzykujących i chlapiących się w kałuży. Dwóch mężczyzn stojących na rogu ulicy zagadało go ostrożnie, kiedy ich mijał.

Pamiętając przestrogi Ala Didda minął pustą parcelę i zaszedł do domu Josene od podwórza. Otworzył furtkę, podszedł do wąskiego drewnianego ganku i lekko zapukał do drzwi.

Przez okno widział palące się w kuchni światło. Po chwili drzwi się otworzyły i na ganek wyszła Josene. Światło z kuchni padało na ganek i Josene zobaczyła go wyraźnie, jak stał u stóp schodków. Trochę się zawahała, zanim zeszła z ganku i wyszła na podwórze.

– Co robisz tutaj? – zapytała pełnym napięcia głosem. – Nie powinieneś się tu pokazywać. Słyszałaś, co ci powiedziałam? Nie mogę się z tobą widywać.

Oczy Native'a przywykły już do ciemności, zresztą na podwórzu było dość jasno w blasku gwiazd. Josene była w jasnej sukience, czarne włosy zaczesła do tyłu, a na jej ręce błyszczała bransoletka, której nigdy nie widział.

Nie zaprotestowała, kiedy położył jej rękę na ramieniu i przeprowadził przez piaszczyste podwórze do płotu.

– Josene, przyszedłem tu, aby ci powiedzieć... – zaczął.

– Nie – szybko odparła. – Nie mogę.

Ścisnął mocniej jej ramię.

– Nie o to chodzi... to inna sprawa.

– Jaka?

– Mają przyjść tutaj i aresztować cię.

Poczuł, jak jej ramię zadrżało.

– Słyszałaś, co powiedziałem?

Josene skinęła głową.

– Tak – zrobiła krok wstecz i oparła się o płot.

– To sprawka Maebelle. Ona ich do tego nakłoniła – mówił Native. – Właśnie się o tym dowiedziałem i przyszedłem, aby cię uprzedzić.

Położyła rękę na jego ramieniu.

– Czy ciebie też mają aresztować? – zapytała po chwili.

Potrząsał przecząco głową.

– No to dlaczego mają aresztować mnie?

– Powiadają, że za... prostytutkę.

– Nie jestem prostytutką – zawołała oburzona. – Ty wiesz, że to nieprawda. Nie jestem i nigdy nie byłam!

– Wiem, że to nieprawda. Ale to jest pretekst.

– Co mam zrobić? – spytała błagalnym tonem podchodząc bliżej do niego. Czuł, jak Josene drży ze strachu. – Nie chcę, żeby mi się to przytrafiło, nie chcę, żeby mnie zabrali. Mam małą dziewczynkę, o którą muszę się troszczyć... Ellen, jestem jej potrzebna.

– Nie mów tak głośno, ktoś może usłyszeć. Muzyka z radia ucichła, Native nasłuchiwał szumu nadjeżdżającego samochodu.

Josene zaczęła cicho płakać.

– To straszne. Nie wiem, co robić. Nie chcę, żeby mnie wzięli do więzienia. Nie mogę zostawić Ellen.

Radio znów zaczęło grać.

– Możesz przyjść do mnie i spędzić noc w moim domu – powiedział. – To najlepsze wyjście. Tam nie będą cię szukać. Będą uważali, że ukryłaś się gdzieś tutaj.

Potrząsnęła głową.

– Powiedziałam ci, że nie pokażę się już w twoim domu. Powiedziałam ci to stanowczo. Jutro wychodzę za mąż.

– Nie wyjdiesz prędko za mąż, jak cię dziś wieczór zamkną, a potem wyślą na sześć miesięcy robót przymusowych. Odgrażali się, że tak zrobią. Posłuchaj i przenocuj u mnie.

– Dlaczego oni chcą to zrobić? – zapytała łkając. – Dlaczego chcą mnie aresztować, choć nic złego nie zrobiłam?

– Na to nie ma rady i tak będzie, jeśli się nie ukryjesz. W moim domu cię nie znajdą. Zamknę drzwi na klucz i nikogo nie wpuszczę. A jeżeli nie znajdą cię dzisiaj, jutro rano będą uważali, że wyniosłaś się z miasta. Tak będzie najlepiej. Nie chcę, żebyś została tutaj i żeby Clyde Hefflin cię zamknął. Będzie tu lada chwila. Wiem na pewno. Dlatego przyszedłem cię uprzedzić. Jeśli posadzą cię dzisiaj, na pewno jutro rano wyślą na roboty przymusowe i spędzisz tam sześć miesięcy. I nie będziesz miała sposobności zobaczyć się z córeczką. A jak posłuchasz mej rady, możesz jutro rano postarać się o adwokata, który obroni cię przed robotami przymusowymi. Adwokaci mają swoje sposoby.

Josene przestała płakać, odwróciła się i spojrzała na światło w drzwiach kuchni. Nagle usłyszeli turkot samochodu przejeżdżającego przez tor kolejowy.

– Pośpiesz się – powiedział ciągnąc ją w stronę furtki.

– Nigdzie nie pójde, zanim nie zobacze Ellen – zaprotestowała starając się wyrwać. – Proszę, pozwól mi.

– Nie rób tego, Josene.

– Przecież muszę ją zobaczyć. Właśnie miałam położyć ją do łóżka. Czeka na mnie i nie będzie wiedziała, co się stało.

– To niebezpieczne. Nie wracaj do domu, usłuchaj mnie. Gdyby Clyde Hefflin...

– Ale moja córeczka...

– Pod czyją jest opieką?

– Babci i Harveya... Harveya Browna.

– Co on tu robi?

– Mówiłam ci, że wychodzę za mąż. Wiesz o tym. Mamy jutro wziąć ślub z Harveyem. Dlatego gotowałam dla niego kolację.

– Powiedziałem ci, że nie życzę sobie, abyś wyszła za mąż. Nie musisz robić tego teraz. Możesz trochę poczekać.

– Nie chcę czekać. Chcę wyjść za mąż. I wyjdę. Harvey i ja...

Znowu muzyka z radia ucichła i Native nasłuchiwał odgłosu nadjeżdżającego samochodu. Wiedział, że Hefflin wjedzie w uliczkę po cichutku. Dopiero jak kogoś aresztował, włączał syrenę i robił tyle hałasu, ile się dało.

Josene chciała się wyrwać i wrócić do domu, ale Native trzymał ją mocno w ramionach.

– Nie rób tego, Josene – nalegał ciągnąc ją do tyłu. – Babcia zaopiekuje się córeczką. Jeśli dasz się złapać, nigdy nie wydostaniesz się z łap Clyde’a Hefflina. Nie pomogą żadne prośby. Nie będzie słuchać, wyśmieje cię. W więzieniu będzie cię trzymał w pojedynczej celi, jak zwykle, kiedy dostanie w ręce taką dziewczynę jak ty. Schroń się u mnie w domu, zanim cię tu przydybie. Rano pójdziesz do adwokata. Pomogę ci znaleźć obrońcę. To jedyny sposób, żeby uniknąć robót przymusowych. Posłuchasz mnie, prawda, Josene?

– Nie znam żadnego adwokata, który mógłby mi pomóc – odpowiedziała i znów się rozbeczała. – Nie mam do kogo pójść i nie wiem, co robić.

– Znajdę ci dobrego adwokata, przyrzekam.

– Ile to będzie kosztowało?

– Nie wiem. Ale cokolwiek będzie kosztowało, opłaci się, jeśli unikniesz więzienia i przymusowych robót.

Otarła łzy.

– Oszczędzałam, żeby jutro rano kupić piękny weselny strój. Niewiele tego jest, ale wystarczy, żeby sprawić sobie ślubną suknię.

Ellen, w nocnej koszuli, pokazała się w drzwiach kuchni i stojąc na progu usiłowała zobaczyć coś w ciemności.

Zanim Josene odezwała się do niej, dziewczynka odwróciła się na pięcie, jakby czegoś się przestraszyła, i zniknęła.

– Nie chcę być wysłana na roboty i pozbawiona opieki nad dzieckiem – powiedziała łkając Josene. – Nie zrobiłam tego, o co mnie posądzają. Nigdy. Nie jestem taka jak pewne dziewczęta. Nigdy nie popełniłam nic złego. Wiesz, że tak jest. Nie pragnęłam nic innego – tylko ciebie i córeczki...

Jedną przecznicę dalej zza rogu wyjechał samochód, jego światła padły na ulicę, przy której mieszkała Josene.

Native ciągnął Josene w stronę furtki.

– To on – powiedział. – Clyde Hefflin.

Nie zamknęli za sobą furtki i pobiegli uliczką, w świetle gwiazd, w stronę toru kolejowego, do innej dzielnicy miasta.

Clyde Hefflin zostawił czarno-biały wóz przed domem Josene, zgasił światła i motor i wszedł na ganek od frontu czteropokojowego domku. Od czasu kiedy wjechał do murzyńskiej dzielnicy, nie widział nikogo na ulicach. Dzieci przestały się bawić w kałużach. Wszyscy jedli kolację.

Wieczór po burzy był zbyt chłodny i wilgotny, żeby można było usiąść na ganku. Mieszkańcy dzielnicy albo jedli kolację, albo po kolacji siedzieli przy kominkach. Drzwi zamknęli. Była to pora odwiedzin i przyjaciele oraz krewni grali w karty albo siedząc przy kominku gawędzili.

Ostry zapach dymu z sosnowego i dębowego drzewa płonącego na kominkach unosił się nad gromadką nie malowanych drewnianych domów i nasycił wilgotne nocne powietrze. Od czasu do czasu garść jarzących się czerwonych iskier buchnęła w ciemne niebo lub wirowała przez chwilę nad kominem. W oknach widać było światło lamp, a kojąca muzyka z radia ciągle dobiegała z jednego domu. Był to czas spokojnego wypoczynku dla tych, co pracowali cały dzień.

Clyde ostrożnie zbliżył się do drewnianych schodków, przeszedł na palcach przez ganek od frontu i stanął pod drzwiami, bacznie nasłuchując odgłosów dochodzących z

mieszkania. Słyszał gardłowy męski głos, po czym coś powiedziała, śmiejąc się, dziewczynka.

Odczekał chwilę, potem chwycił klamkę, szybko ją przekręcił i kopniakiem otworzył drzwi, które z hukiem uderzyły o ścianę. Wyjął pistolet z kabury. Nosił go przymocowany pasem na piersi. Stał w drzwiach groźnie mierząc z pistoletu do osób znajdujących się w pokoju.

Clyde wtargnął tak nieoczekiwanie, że Harvey Brown, siedzący przy stole na środku izby, nie zdążył wstać. Tylko duży, szary kot, który leżał wyciągnięty na dywaniku przed kominkiem, nagle skoczył przez krzesło i wypadł drzwiami w ciemną noc. Harvey wstał.

– Nie ruszać się! – głośno rozkazał Clyde z brutalnością, z jaką zwykł odzywać się do Murzynów. – Niech nikt nie rusza się z miejsca. Kto się ruszy, padnie trupem.

Harvey usłuchał rozkazu i usiadł.

Mała Ellen piszcząc ze strachu wdrapała się na kolana starej Murzynki. Przerażone dziecko płakało i wzywało matkę.

– Mama! Ja chcę do mamy!

Babcia Maddox, prababka Josene, mająca, jak sama przyznawała, dziewięćdziesiąt dziewięć lat, była białowłosa staruszką o pomarszczonej i czarnej jak sadza skórze. Wychudła i przygarbiła się. Zdrowie jej już nie dopisywało, a ważyła mniej niż dziewięćdziesiąt funtów. Wzrok przygasł,

poruszała się po omacku. Miała na sobie długą bawełnianą suknię, która ciągnęła się po podłodze, i zniszczoną szarą narzutkę, przez długie lata wielokrotnie łataną. Jej rodzice byli niewolnikami z murzyńskiego plemienia Geechee i żyli na kocią łapę po wyswobodzeniu ich pod koniec wojny przez pułkownika Clavuba Maddoxa, właściciela plantacji. Od tego czasu wszyscy ich potomkowie – mężczyźni i kobiety, żonaci i niezamężne – nosili nazwisko Maddox.

– Mama! Chcę do mamy! – płakała dziecięcym głosem Ellen. Włosy miała rude i proste, a skórę jeszcze jaśniejszą niż Josene. – Mama! Mama! Prędko, ratuj mnie, ratuj mnie! – wołała. – Boję się! Ratuj mnie, mammo!

– Powiedz jej, żeby się przestała drzeć – rozkazał babci Clyde celując do niej z pistoletu. – Zrób coś, żeby się uciszyła. Dosyć tych wrzasków.

Przestraszona staruszka drżącymi rękami czule pogłaskała Ellen i trzęsącym się głosem coś jej szepnęła. Ellen schowała twarz na piersiach babci, ale nie przestała szlochać.

– Gdzie jest Josene Maddox? – spytał Clyde rozglądając się po pokoju.

Nikt się nie odezwał.

Clyde podszedł do stołu na środku pokoju i spojrzał na Harveya. Schował do kabury pistolet, w każdej chwili gotów zrobić z niego użytek.

Harvey Brown był przystojnym młodym Murzynem, dobrze zbudowanym i muskularnym. Miał jasny kolor skóry, miły uśmiech i powyżej sześciu stóp wzrostu. Ważył około dwustu funtów. Miał dwadzieścia osiem lat. Od czasu, kiedy przybył do Palmyry z farmy w górzystych okolicach hrabstwa Sycamore, pracował przy wyładowywaniu bagażu na stacji. Mieszkał od paru lat w Palmyrze, był znany jako człowiek spokojny i posłuszny prawu. Nigdy też nie miał nieprzyjemności ani nie był aresztowany przez szeryfa lub miejską policję. Nawet w sobotnie wieczory, kiedy najczęściej dochodziło do awantur i policja pod byle pretekstem kogoś zamykała, Harvey zawsze był posłuszny rozkazom i nigdy nie prowokował organów porządku.

– Kto ty jesteś? – spytał Clyde.

– Jestem Harvey Brown, proszę pana – odparł powoli wstając z krzesła.

– Zdaje się, że jesteś dumny ze swego nazwiska.

Harvey odsunął krzesło za siebie i stanął przy stole.

– Nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało – odparł – ale pan wie, kto ja jestem. Pan mnie zna.

– Przestań mi mówić, że cię znam. Nie podoba mi się takie gadanie. Jeśli zechcę cię znać, to ci powiem.

– Tak, proszę pana. Pracuję na stacji towarowej i widział pan mnie, jak ładuję i wyładowuję towary od dwóch

lub trzech lat. Mam świetną pracę na kolei i nigdy nie opuściłem ani jednego dnia. Widział mnie pan wiele razy. Mówiłem z panem, jak pan przychodził zobaczyć, co robimy. Przed tygodniem przyszedł pan i poprosił o ogień. Teraz przypomina mnie pan sobie, prawda?

– Powiedziałem, żebyś tyle nie gadał.

– Zrobię, jak pan sobie życzy.

– Milczeć, czarnuchu! Dość tego bezczelnego gadania!

Clyde rozejrzał się po pokoju. Był skromnie umeblowany, parę krzeseł, stół na środku i mała sofa. Wyrudziały dywan pokrywał część drewnianej podłogi, białe firanki wisiały w dwóch oknach. Drewniane ściany wylepione były wycinkami z gazet i kolorowymi ilustracjami z magazynów i katalogów.

Clyde odwrócił się i znów spojrzał na Harveya.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest Josene Maddox?

Harvey popatrzył w stronę sąsiedniej izby i wskazał palcem.

– Josene wyszła przed chwilą do kuchni, aby ugotować kolację i do tej pory nie wróciła.

– Poszukaj jej – rozkazał Clyde. – Ja pójdę tuż za tobą. Nic jej nie mów. Nie otwieraj gęby.

Harvey się zawahał.

– W jakim celu pan jej szuka? – zapytał, wolno odsuwając się od stołu. – Czego pan od niej chce?

– To nie twój interes. Zamknij gębę i zrób, co ci kazałem.

Clyde poszedł za Harveyem do kuchni. Światło jeszcze się paliło, na piecu dusił się gulasz. Drzwi na podwórze były otwarte. („Jacy są biali, można się dowiedzieć dopiero wtedy, kiedy się mieszka blisko nich albo dla nich pracuje. Niektórzy zasługują na zaufanie. Nie biją nas ani nie oszukują przy każdej sposobności. Ale są też tacy, którzy kolorowych traktują jak śmieci i odpadki. Nie mam nic przeciwko temu, żeby być śmieciem, jeśli tak musi być, ale mam już dość bicia i oszukiwania.”)

Clyde oskarżycielsko patrzył na Harveya.

– Nie ma jej tutaj – powiedział. – Okłamałeś mnie... Nie znoszę, jak czarnuchy kłamią.

– Ależ, proszę pana, powiedziałem prawdę. Widziałem, jak weszła do kuchni.

– Jeśli nie chcesz, by cię spotkało coś złego, to mi powiesz, gdzie Josene się ukrywa, zanim będzie za późno.

– Powiedziałem szczerą prawdę – zapewniał Harvey. – Nie wiem, dokąd poszła... Nie wiedziałem, że w ogóle wyszła. Była tu jeszcze przed chwilą. Słyszałem, jak chodziła po

kuchni i śpiewała. To szczerą prawdą, panie Hefflin. Powinien mi pan uwierzyć.

– Przestań mi mówić, co powinienem zrobić. Dojdę prawdy. Jak dotąd nie mam powodu ci wierzyć.

– Jak mam jeszcze pana zapewnić, żeby mi pan uwierzył?

Clyde wskazał drzwi na ganek od podwórza.

– Dam ci szansę udowodnienia, że mówisz prawdę. Wyjdź i znajdź ją, ale nie mów, że tu jestem. Nic nie mów o mnie. Tylko zawołaj ją i każ jej wrócić do domu.

Wyszedł za Harveyem na ganek, a potem po schodkach na piaszczyste podwórze. Podwórze było słabo widoczne w mętnym świetle gwiazd, nikogo nie było widać. Muzyka z radia w sąsiednim domu rozbrzmiewała głośniejsze, jej dźwięki płynęły miękko i kojąco. („Nigdy nie zrobiłem rozmyślnie krzywdy białemu. Zawsze starałem się tego uniknąć. Ale żeby nie wiem jak się starał dla niego pracować, trzymać dystans i przypodobać mu, biały zawsze znajdował powód, żeby się do mnie przyczepić. Nie wiem, dlaczego oni tak postępują, chyba jest to po prostu podłość z ich strony. Wydaje mi się, że czarni są przyparci do muru, niczym królik, który został przyparty do drucianej siatki. Nie wiem, co na to poradzić, ale chciałbym się wydostać, podobnie jak ten królik.”)

– W jakim celu chce pan się zobaczyć z Josene, panie Hefflin? – zapytał zmartwiony Harvey.

– Nie twój interes.

– Ależ, proszę pana, jest to trochę mój interes, ponieważ jutro chcemy się pobrać z Josene. A więc do pewnego stopnia mogę być zainteresowany. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciał mi pan powiedzieć, o co chodzi. Nie chciałbym, aby coś stało na przeszkodzie naszemu ślubowi. Czyba jej pan nie aresztuje?

– Zamknij pysk i zawołaj ją, jak ci kazałem.

Harvey wolno podszedł do płotu na końcu uliczki.

– Josene! – zawołał. – Gdzie jesteś, Josene? Woła cię Harvey, czy słyszysz? Przyjdź tu prędko.

Kiedy Harvey wołał Josene, Clyde podszedł do płotu i oświetlił go latarką. Spojrzał na opustoszałą uliczkę, po czym skierował snop światła na puste podwórze i sąsiednią parcelę. Nikogo jednak nie zobaczył, zgasił więc latarkę i włożył do kieszeni. Harvey ciągle wołał Josene, a tymczasem Clyde był coraz bardziej zły i zniecierpliwiony. Odszedł od płotu i stanął na środku podwórza.

– Znów mnie okłamałeś, czarnuchu – powiedział Clyde podchodząc do Harveya. Przystanął, splunął i wytarł usta grzbietem dłoni. – Tu jej nie ma. Kryje się gdzieś w domu. A tyś mnie okłamał, bo dobrze wiesz, cholera, gdzie się chowa. Daję ci jeszcze jedną szansę, synku. Wróc do domu i znajdź ją. Zapamiętaj sobie jedno: Twoja czarna skóra będzie w robocie, jeśli jej nie znajdziesz.

– Ale jakże ją znajdę, jeśli jej nie ma w domu, panie Hefflin.

– To już jest twoje zmartwienie, synu. I radzę, żebyś się postarał. Bo może to być twoje ostatnie zmartwienie.

– Ja się staram. Musi mi pan wierzyć...

– Jeszcze raz powiesz mi, co mam zrobić, a wybiję ci te wielkie białe zęby z czarnego pyska, zanim się obejrzysz.

Harvey cofał się przed Clyde'em.

– Czego pan chce od Josene? – spytał błagalnym tonem. – Co ona takiego zrobiła, że pan jej szuka? Ona nie mogła popełnić nic złego i narobić sobie kłopotu.

– Ty sobie sam narobisz kłopotu, jeśli mnie nie posłuchasz, i to szybko.

– Nie powie mi pan, co ona zrobiła złego? Czy to taka wielka tajemnica? Proszę pana o tę małą przysługę. Chyba może mi pan powiedzieć. Josene i ja...

– Już ci raz powiedziałem, że to nie twój interes. A teraz wracaj do domu i znajdź ją, zanim wpakuję ci zęby w gardło.

Bacząc, by trzymać się poza zasięgiem ręki Clyde'a, Harvey wolno ruszył w stronę ganku.

– Panie Hefflin, proszę, niech pan zostawi ją w spokoju. Chętnie pójde za nią do więzienia. Czy to by panu odpowiadało? Wiem, co się zdarza czarnym dziewczynom, takim jak Josene, kiedy dostaną się do więzienia. Słyszałem o tym. I nie chcę, żeby jej się to zdarzyło.

Clyde milczał.

– Prawdę mówię, panie Hefflin. Jutro mamy się pobrać. Pozwoli pan, że pójde za nią do więzienia?

Clyde znów zbył to pytanie milczeniem. Przeszli przez kuchnię do sypialni Josene. („Nie można powiedzieć, żeby czarny młodzieniec nie śmiał spojrzeć na białą dziewczynę, bo trudno ich nie podziwiać, ale na tym się sprawa kończy. Murzyn przeważnie boi się nawet spojrzeć na białą kobietę, bo wie, że może na niego poskarżyć, aby się pochwalić sukcesem. Natomiast inaczej sprawa się ma, jeśli idzie o stosunek

białego do czarnej dziewczyny. Rzecz jest z góry przesądzona na jego korzyść, bo biały ma zawsze rację. I na to nie ma sposobu.”)

W sypialni Clyde poświecił latarką, zajrzał do szafy, po czym chwycił łóżko i przewrócił do góry nogami. Coraz bardziej wściekły i zirytowany na Harveya, kopnął komodę, aż poleciała przez cały pokój i posypały się rzeczy Josene.

– Wiesz dobrze, cholera, gdzie ona się chowa – powiedział tonem groźby wypychając Harveya z sypialni do kuchni. Odczepił ciężkie kajdanki od pasa i wywijał nimi. – Jeżeli będziesz dalej mnie okłamywał i powtarzał w kółko to samo, przysięgam, że wpakuję ci te kajdanki w zarozumiałą gębę. Zrobię to bez wahania. Mów, gdzie ona się schowała. Daję ci ostatnią szansę, i na tym koniec.

Nie spuszczać oka z kajdanek, Harvey trwożliwie potrząsał głową i cofał się przed Clyde’em.

– Panie Hefflin, proszę, niech mnie pan nie bije – błagał. – Nie dałem do tego powodu. To szczerą prawdą. Nie chcę, żeby mi pan zrobił krzywdę. Nie chcę też oddać ciosu białemu. Nie jestem taki. Nigdy nie biłem się z dorosłym białym i nie mam zamiaru zrobić tego teraz. Zdarzyło mi się tylko raz, dawno temu, kiedy biali chłopcy chcieli ze mną walczyć dla zabawy, ale nikomu nic złego się nie stało. Niech mnie pan nie bije, panie Hefflin, tylko o to proszę.

– Uderz mnie, tylko raz mnie uderz, synu. Chcę to zobaczyć. Wał, śmiało. Pozwalam ci. Dubeltowo ci pozwalam. Gadać potrafisz, ale boisz się podnieść rękę na mnie. A jeżeli to zrobisz, to uderzysz białego po raz ostatni w życiu. Jakże to się stało, że jesteś takim zarozumiałym czarnuchem? Skąd się tu wzięłeś?

– Przybyłem z górzystych okolic, jakieś piętnaście mil stąd. I mówię panu prawdę, jak przystało na wiejskiego chłopaka. Nie wiem, gdzie się podziała Josene. Proszę, niech mi pan uwierzy, niech mnie pan źle nie traktuje. Nie miałem pojęcia, że wyszła z kuchni, póki pan mi nie kazał jej szukać. Wiem tylko tyle, co mi powiedziała. Że chce przygotować kolację, potem ułoży córeczkę do snu. Mówiła też, że jak dziecko zaśnie, to zjemy we dwójkę weselną kolację. Wyszła do kuchni i już jej więcej nie widziałem. Musi mi pan wierzyć, bo mówię prawdę.

– Powiedziałeś mi, co muszę robić o jeden raz za wiele – ze złością odezwał się Clyde, wymachując kajdankami. Zrobił krok do przodu. – Po raz ostatni już powiedziałeś, co mam robić... ty śmierdzący czarnuchu!

Harvey nie cofnął się przed kajdankami. Ręce miał opuszczone, nie zacisnął pięści.

– Jeśli pan chce, może pan mnie zamknąć, ale proszę mnie nie obrażać. Nie pozwolę, aby ani czarny, ani biały, tak mi urągał. Mam poczucie godności osobistej.

Clyde pochylił się i splunął na podłogę.

– Będę cię nazywał, jak mi się spodoba. Co ty sobie myślisz? Kim jesteś? Mówisz tak, jakby ci się zdawało, że jesteś nie mniej wart niż biały.

Nie spuszczając z oka kajdanek, Harvey zacisnął pięści.

– Może pan kłać na mnie i nazywać mnie kłamcą, bo nie mogę udowodnić, że mówiłem prawdę. Nie pozwoliłem sobie powiedzieć niczego niestosownego, ale proszę mnie nie obrażać. To sobie wypraszam. Na to nie pozwolę nikomu. Jestem Murzynem, tak jak pan jest biały, i może pan nazywać mnie Murzynem. Wszystko jedno, co potem się stanie. Nie mówiłbym tak, gdyby mi na tym nie zależało.

– A jak ci się zdaje? Czy nie jesteś śmierdzącym czarnuchem?

– Jestem po prostu człowiekiem, jak każdy inny. Tak się stało, że urodziłem się czarny, jak panu zdarzyło się urodzić białym. I to jest jedyna różnica między nami. Będę przy tym obstawał.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co gadasz?

– Na pewno.

– Wygląda na to, że skóra cię świerzbi, zarozumiały czarnuchu. Rób tak dalej, zobaczysz, jakiego doczekasz się kłopotu.

– Proszę pana, nie moja wina, że takie wrażenie to sprawia na panu. Ale musiałem wystąpić w obronie własnego honoru.

– A ja dalej będę nazywał cię, jak mi się, cholera, podoba. Ty czarny skurwysynie!

Babcia Maddox, przyciskając mocno Ellen do siebie jedną ręką, po omacku znalazła drzwi do kuchni. Jej oczy były puste, wystraszone. Przygarbiona i krucha, drżała nerwowo, głaszcząc dziewczynkę i starając się ją uspokoić.

– Zamknijże gębę, Harveyu Brown – powiedziała, a jej pomarszczona twarz przybrała zaciekły wyraz. – Mówisz, jak byś nie miał krztyny rozumu. Słyszałam, coś powiedział. Jak śmiałeś tak się odezwać do białego człowieka! Chyba masz źle w głowie! Powinieneś zdawać sobie sprawę z tego, co robisz. Napytasz strasznych kłopotów nam wszystkim, Murzynom, jeśli nie przestaniesz. Biali nie zniosą tak bezczelnego gadania ze strony czarnych, wiesz o tym dobrze. A teraz zamknij twarz, Harveyu Brown, i nic nie mów. Przestań się odszczekiwać.

– Ja tylko stanąłem w obronie swoich praw – powiedział Harvey. – I nikt mi tego nie może zabronić. Czasy się zmieniły.

– Mówisz szalone rzeczy, Harveyu Brown. Żadne prawo nie pozwala odszczekiwać się białym i doprowadzać ich do wściekłości. Żyłam dostatecznie długo, ażeby wiedzieć, ile

bolesnych przykrości i żalonych zmartwień czeka nas na tym świecie, i nie chciałabym zaznać ich więcej przez resztę moich dni. Wiem, co mówię. Zamknij buzię i milcz, Harveyu Brown.

– Wyjdź, babciu, z domu. I zabierz Ellen. Idźcie do sąsiadów. Pośpieszcie się. Wiem, co robię, nie potrzebuję twoich rad.

– Posłuchaj mnie, Harveyu Brown – ostrzegła babcia wycofując się przez drzwi kuchenne. – Jestem starą Murzynką i znam zwyczaje białych. Jeżeli nie przestaniesz się odszczekiwać, spotkają cię takie straszne kłopoty, że światła dziennego nie zobaczysz do końca życia. Widziałam, co się zdarzało pyskatym Murzynom, więc wiem, co mówię. Posłuchaj mnie, zanim będzie za późno, Harveyu Brown.

Clyde zatrzasnął drzwi kuchni za babcią Maddox, która lamentując szybko wyszła z domu razem z Ellen. Po omacku trafiła na ganek i zeszła po schodkach.

– Za wiele już powiedziałaś – oświadczył Clyde. Pochylił się i splunął na podłogę. – Już ja cię urządzę, ty śmierdzący murzyński skurwysynie!

Przygryzając dolną wargę, bez słowa uderzył Harveya w głowę stalowymi kajdankami. To go ogłuszyło, bo nie zdążył uchylić się przed niespodziewanym ciosem. Zatoczył się i padł na ścianę. („Wydaje mi się, że musi być jakiś sposób, który pozwoli Murzynowi uniknąć bicia nie ryzykując kłopotu, jeśli się postawi, ale ja takiego sposobu nie znam. Można

próbować uniknąć ciosów, ale to na nic się nie zdaje. Natomiast najgorszą rzeczą jest ustawiczne bicie i na to nie ma rady. Nadejdzie dzień, że to się skończy i Murzyni przestaną cierpieć. Chciałbym, żeby ten wielki dzień szybko nadszedł. Co się teraz dzieje, bardzo mi się nie podoba. Jest to po prostu niesprawiedliwość, niezależnie od tego, jak byśmy patrzyli na tę sprawę. Pod tym względem zawsze sprzeciwiałem się białym. Niektórzy nie biją Murzynów, ale zbyt wielu tak właśnie postępuje.”)

Harvey nie mógł się obronić przed następnym ciosem. Clyde znów uderzył go w twarz kajdankami. Krew zalała Harveyowi oczy i policzki – bezradnie osunął się na podłogę. Leżącego Clyde kopnął w głowę. Kojąca muzyka z radia nagle się urwała.

– Ty przeklęty czarnuchu, już nigdy nie będziesz się odszczekiwał białemu – powiedział Clyde spluwając i ocierając usta. Krew z twarzy Harveya ciekła na podłogę. – Już ja cię urządzę, ty śmierdzący murzyński skurwysynu. Po raz ostatni odszczekiwałaś się białemu.

Harvey odwrócił się i próbował wstać z podłogi opierając się na rękach i kolanach. Clyde przez chwilę mu się przyglądał, potem jeszcze raz wymierzył mu potężnego kopniaka w głowę. Harvey upadł i rozciągnął się jak długi.

– Dlaczego twoja bezczelna gęba się nie odzywa? Czemu nie mówisz mi, co powinienem zrobić? Zrozumiałeś już chyba, że nic ci nie pomogą prośby.

Sięgnął do kieszeni, wyjął nóż, szybko rozpruł Harveyowi koszulę i spodnie. Wbił nóż w nagą pierś Murzyna, ale ciało tylko lekko drgnęło. Potem brutalnie uciął nożem jądra i wetknął mu w usta. Ze zgrzytem obcasa jakby ktoś miażdżył ptasie jajka wgniótł mu genitalia do gardła.

Krótko przed godziną ósmą następnego ranka, kiedy otwierano sklepy i biura, a dzieci szły do szkoły, mieszkańcy Palmyry słuchali różnych pogłosek o tym, co się stało w nocy w murzyńskiej dzielnicy miasta.

Zrazu powszechnie uwierzono – zwłaszcza ludzie wprowadzeni w błąd przez plotki i nie zorientowani, co się naprawdę wydarzyło – że niebezpieczny Murzyn został zastrzelony, kiedy opierał się aresztowaniu.

Zabicie Murzyna przez zastępcę szeryfa nie było czymś nadzwyczajnym. W podobnych przypadkach uważano, że to jest obrona konieczna albo skutek oporu stawianego przez aresztowanego Murzyna lub działanie w obronie prawa i porządku. Co więcej, kroniki sądowe nie notowały, aby biały był sądzony za zabicie Murzyna. A jednak wielu białych ubolewało nad faktem, że w przeszłości Murzyni często stawali się ofiarami pochopnej strzelaniny i niczym nie usprawiedliwionych zabójstw. („Ilekcóż słyszę o wychłostaniu Murzyna łańcuchem za to, że zbyt wcześnie wyszedł z pracy w sobotę albo że zastrzelono go, bo nie zwrócił na czas długu w wysokości dolara, to wstydę się, że jestem biały. Dla takich postępów nie ma usprawiedliwienia, podobnie jakby ktoś zatłukł psa za to, że za głośno szczeka w nocy.”)

Tej nocy po drugiej stronie miasta wśród murzyńskiej ludności lotem błyskawicy rozeszła się niepokojąca wiadomość o prawdziwej przyczynie śmierci Harveya. Jak można było się spodziewać, wiele rodzin przesiedziało całą noc w ciemnych pokojach, przy zamkniętych na klucz drzwiach, w obawie, że przyjdzie Clyde Hefflin w towarzystwie innych zastępców szeryfa i przeprowadzi rewizję, dom po domu, w poszukiwaniu Josene Maddox. Babcia i Ellen spędziły resztę nocy u sąsiadów i nawet gdy zrobiło się widno, babcia zbyt była wystraszona, by wrócić do domu. Dowiedziała się, jaki los spotkał Harveya, w jaki sposób poniósł śmierć. Bała się, że wraz z córeczką Josene zostaną zamordowane, jeśli wrócą do domu i przydybie je Hefflin.

Babcia Maddox lamentowała i trzeba było ją pocieszać. Nikt jednak po południowej stronie toru kolejowego nie wiedział, gdzie jest Josene i kiedy wróci do domu. Sąsiedzi powiedzieli tylko, że nic jej nie grozi, niech więc babcia siedzi u nich, póki Josene nie przyjdzie po nie.

– Josene nie ma teraz po co wracać do domu – powiedziała jedna sąsiadka. – Przyjdzie jednak na pogrzeb, zamiast na swoje wesele. Ale nie martw się o nią, sama będzie wiedziała, kiedy wrócić. Na pewno weźmie udział w pogrzebie jutro, albo później. Josene nie pozwoli nam pochować tego chłopca pod jej nieobecność. Zjawi się, żeby go oplakać i pożałować. Zawiadomimy też jego rodzinę, mieszkającą w górzyściej części hrabstwa, żeby mogli przybyć na czas. Jego

mamusia i tatuś na pewno będą chcieli wziąć udział w pogrzebie.

Babcia lamentowała kołysząc się w bujanym fotelu z głową owiniętą szalem. Rolety były spuszczone i pokój tonał w ciemności. Tak wielu sąsiadów przyszło, by pocieszyć babcię, że zabrakło krzeseł. Siedzieli przeważnie na podłodze.

– Nam, Murzynom, będzie dobrze dopiero po śmierci, jak zostaniemy pochowani głęboko w ziemi – powiedziała babcia lamentując jeszcze głośniejsze i szybciej bujając się w fotelu. – Tylko tam zaznamy spokoju. Wiem, co mówię. Niech nikt mi się nie sprzeciwia. Zawsze coś złego musi nam się zdarzyć. Widziałam to przez całe życie. Dziś nie jest wcale lepiej niż w czasach, kiedy się urodziłam. Gdy umrę i pochowacie mnie, chcę, żebyście się radowali i tańczyli na moim pogrzebie, gdyż zostawię za sobą całą tę nędzę, jaka jest naszym losem na ziemi. Pochowajcie mnie twarzą na dół, żebym nie widziała nieszczęść, jakie was ciągle jeszcze spotykają i na które nie ma rady. Nie zwracajcie sobie głowy kwiatami ani ozdobną trumną. Cieszcicie się i tańczcie.

– Będę dreptał w tańcu na twoim pogrzebie, babciu – powiedział jeden z sąsiadów – i to tak dreptał, aż się będzie kurzyło, tylko to nie nastąpi prędko. Jesteś twarda kobieta i pożyjesz do lat stu dwudziestu. Widziałem już takie twarde baby. Umieją one się sprzeciwiać, długo żyć i opieprzać młodszych, którzy mają zaledwie pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat.

– Gdybym zrobiła, co było moim świętym obowiązkiem, i mocniej opieprzyła Harveya Browna, zamknąłby buzię, bo sam nie miał dosyć oleju w głowie. Harvey Brown nie byłby porznięty i zamordowany, gdybym go lepiej zrugala. Murzynów trzeba czasem dobrze zwymyślać, bo brak im oleju w pustych głowach, żeby wiedzieć, iż biali zawsze mają rację.

– Może tak jest, babciu, ale czasy szybko się zmieniają i to nie potrwa wiecznie. Jeśli wcześniej nie umrzesz, doczekasz dnia, w którym nastąpi wielka zmiana. A wtedy obudzisz się pewnego ranka wolna od kłopotów i będziesz się wpatrywać w całkiem nowy świat. Ta wielka zmiana jeszcze nie nastąpiła, ale się zbliża i już się dokonują małe zmiany.

– Wolę leżeć w grobie i patrzeć w dół, niż żyć na ziemi i znosić wszystkie upokorzenia spowodowane przez takich pyskaczy jak ty. Jestem ciemną Murzynką i przez całe życie widziałam, jak ciężki los przytłaczał moich rodaków. A teraz zamknij buzię, żeby cię nie usłyszał jakiś biały, bo już mamy dosyć kłopotów.

Al Didd szedł przez plac przed sądem do pracy i przystanął, by pogadać z Edem Howardem. Ed zamiatał trotuar przed swą piwiarnią i salonem gry. Był wczesny ranek, jeszcze przed ósmą, i Al mógł parę minut porozmawiać przed pójściem do elektrowni i przedziurkowaniem karty kontrolnej. Zaczekał, aż Ed skończy zamiatać śmieci do rynsztoka.

– Czy widziałeś dziś Native’a? – spytał Al.

– Nie – odparł Ed. – On się tak wcześnie nie pojawia.

– A słyszałeś, co się stało tej nocy w murzyńskiej dzielnicy?

– Słyszałem, ale na tym sprawa się nie skończy – odparł Ed. Stanął na progu baru i patrzył na gmach sądu po drugiej stronie placu. – Zrobi się piekło, ktoś za to zapłaci. Zaczekaj, zobaczysz. Czasy się zmieniły, ale pewni ludzie są tak tępi, że nie mogą tego zrozumieć. Takie sztuki można było robić dawniej i bimbać, bo nikt się nie ważył poskarżyć. Ale nie teraz. Ktoś pożałuje, że zamordował tego chłopca. Choć umarłemu to już nie pomoże.

– Nie posądzaj Native’a – powiedział Al. – Native nie miał z tym nic wspólnego. Jest niewinny tak samo jak ja lub ty.

– O nic nie winię Native’a Hunnicutta. Jeżeli chciał się ożenić z białą kobietą, a potem zmienił zdanie i dał się złapać, jak pieprzył młodą Murzynkę, to jego sprawa. Zresztą nie był pierwszym białym, który miał stosunek z murzyńską dziewczyną, i nie będzie ostatnim. Ja to robiłem, tyś to robił, i pokaż mi dorosłego mężczyznę, który by był bez grzechu. Chyba z białą kobietą też możesz doznać satysfakcji, ale ja o takiej nie słyszałem. Natomiast wiem, że Maebelle Bowers nie miała prawa rozrabiać w takiej naturalnej sprawie, a skończyło się to bardzo kiepsko. Jeżeli nie mogła się do tego

przyzwyczać, to jeszcze są sędziowie. Mogą dać rozwód białej kobiecie, która nie potrafi dogodzić mężczyźnie tak jak kolorowa dziewczyna. I jeszcze jedno. Grover Glover powinien mieć więcej rozsądku i nie wtykać nosa w nieswoje sprawy, żeby zapewnić sobie parę głosów w wyborach. Dziś nikt nie może pokroić w kawałki młodego Murzyna, jak to się zdarzyło zeszłej nocy, i nie ponieść za to kary. To mi się nie mieści w głowie. Zastrzelić, jeśli tak trzeba, to co innego. Natomiast jestem przeciwny jatkom bez względu na to, czy chodzi o czarnego czy białego. Powiedziałem, co myślę o tej paskudnej sprawie, od początku do końca.

– Ed, jak uważasz, czy Clyde Hefflin chciał znaleźć tę dziewczynę, żeby ją zarżnąć, a gdy nie znalazł, wściekł się i zamordował Harveya Browna? I zrobił to przez zwykłą męską zazdrość?

Ed skinął głową.

– Obydwaj mamy podstawy, żeby tak uważać.

– Jak ci się zdaje, co będzie teraz z Clyde'em?

– Nic nie mówię – odparł Ed – tylko czekam. Na pewno usłyszę, co się z nim stanie. Nie sądzę, abym musiał długo czekać.

*

Przy Oak Street, koło gmachu liceum, pani Peoples, zanim się wzięła do porannych porządków, telefonowała do swej szwagierki, pani Bayfield:

– Słyszałaś, co się stało zeszłej nocy w murzyńskiej dzielnicy? – spytała. – Jeśli nie, to jesteś jedyną osobą w Palmyrze, która jeszcze nie wie. Właśnie dzwoniło do mnie, zanim się wzięłam do zmywania naczyń i sprzątanania. Wiedziałam, że będziesz chciała pomówić ze mną na ten temat.

– Wiem, co masz na myśli – odparła pani Bayfield. – Słyszałam, że zastępca szeryfa udał się służbowo do murzyńskiej dzielnicy i jakiś niebezpieczny Murzyn zagroził jego życiu stawiając opór, gdy przedstawiciel władzy chciał go aresztować. Policjant zabił go działając w obronie nas wszystkich. Powinniśmy być wdzięczni tym, którzy dzielnie stają w naszej obronie. Ostatni czas, żeby ktoś poskromił Murzynów i nauczył ich moresu. Często spotykam się z tym, że Murzyni zachowują się, jakby byli na równych prawach z nami. Przedwczoraj poszłam do miasta i taki Murzyn nawet nie ustąpił mi drogi i nie zszedł na jezdnię.

– Wiem, co masz na myśli – powiedziała pani Peoples. – Ale wszystko zaczęło się od tego, że ten, który ma takie dziwne imię... ten Native Hunnicutt, ożenił się z panią Bowers, jak mówią, dla pieniędzy. A potem wziął jej służącą do domu w wiadomym celu. A ta Murzyneczka, która ma cerę prawie jak biała kobieta, miała wyjść za Murzyna, właśnie

tego, który wczoraj został zabity za opór i odgrażanie się władzy. To wszystko jest strasznie skomplikowane, w każdym razie ten Murzyn chciał zabić zastępcę szeryfa, który przyszedł aresztować młodą Murzynkę, zwyczajną prostytutkę... właśnie tę służącą pani Bowers... ale nie było jej w domu. Schowała się w Małpim Gaju u tego Native'a Hunnicutta. Golusieńka jak ją Pan Bóg stworzył, ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero dziś rano. Krótko mówiąc, może młode Murzynki dadzą sobie spokój i nie będą kusić każdego białego mężczyzny...

– Wiem, co masz na myśli – przerwała pani Bayfield. – Powiedziałam dziś rano mężowi, zanim poszedł do pracy, że jeżeli kiedykolwiek ukryje się w wiadomym celu z murzyńską dziewczyną, nie pozwolę mu się dotknąć do końca życia. On się nie orientuje, że kobiecie wystarczy powąchać mężczyznę, i już wie, że miał do czynienia z jakąś babą. Więc przyrzekł mi, wszyscy oni przyrzekają, ale jeszcze nie widziałam takiego, któremu by można ufać, jak się go straci z oczu. Powiedział...

Szeryf Grover Glover nigdy nie zjawił się w biurze tak wcześnie rano. Zwykł był długo spać i dopiero około dziesiątej przychodził do sądu. Tego ranka jednak wstał i ubrał się o świcie po nie przespanej nocy. Nie budząc żony zrobił sobie kawy, po czym zadzwonił do Hefflina i reszty swoich zastępców. Kazał im wszystkim zgłosić się w biurze nie później niż o ósmej rano.

Stojąc za biurkiem Grover czekał na swoich zastępców. Słowem się nie odezwał, gdy weszli do biura i siedli. Przez chwilę wpatrywał się uporczywie w Clyde'a Hefflina, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć. Potem chwycił przycisk do papierów wyobrażający miniaturowe kajdanki i grzotnął go do kosza na śmieci. I dopiero wtedy usiadł.

– Na miły Bóg, Clyde, nie powinieneś tego zrobić – powiedział podniesionym głosem. – Kazałem ci dokonać zgodnego z prawem aresztowania i na tym powinno się skończyć. Ale to, coś zrobił, to po prostu piekło i szatani w przededniu wyborów.

Zmieszany Clyde kręcił się na krześle.

– Stanowczo za daleko się posunałeś, synu. Na miły Bóg, nie powinieneś tego zrobić. Kiedy wiadomość o tym zabójstwie rozejdzie się po mieście, a potem po hrabstwie, nie będzie sposobu, żeby uciszyć ludzkie gadanie. Nic tak nie wzburza ludzi, jak podobne sprawy. Kaznodzieje będą publicznie omawiali ten temat, a pospólstwo będzie szeptać – za naszymi plecami – o, Boże! dojdzie do tego, że ludzie zmienią poglądy i inaczej będą głosowali, a w podobnej sytuacji głosuje się nie na osobę pełniącą urząd, tylko na jej przeciwnika. Czasy się zmieniły, synu, a ty postąpiłeś, jakbyś nie miał o tym pojęcia. Sprawy mają się inaczej niż dziesięć albo piętnaście lat temu. Ludzie są zwolennikami pewnych rzeczy, ponieważ zwyczaje przetrwały do naszych czasów, ale nikt nie jest za jatkami. Tego nikomu się nie wytłumaczy,

choćbyśmy nie wiem jaką kampanię rozwinęli przed wyborami. Mówię moim zastępcom, że mają prawo bronić swego życia i osoby, kiedy są na służbie. Po to są uzbrojeni w pałkę i pistolet. Ale to, coś zrobił, synu...

– Szeryfie, kazał mi pan znaleźć tę dziewczynę i aresztować ją – powiedział Clyde kręcąc się na krześle. – Dziewczyna gdzieś się schowała, więc starałem się tylko ją znaleźć. Tymczasem ten młody czarnuch...

– Wiem – przerwał mu Grover pocierając twarz obiema rękami – wiem. Nie potrzebujesz mi mówić. Wiem, co chcesz powiedzieć.

– Nie zamierzałem zrobić nic złego, szeryfie – upierał się Clyde. – Nie wiedziałem, że umrze. Swoim gadaniem doprowadził mnie do szału i chciałem tylko dać mu nauczki, żeby wiedział, co mu wolno. Nie mogłem pozwolić, aby jakiś czarnuch...

– A jednak, synu, okropnie to pogorszyło moją sytuację – powiedział Grover potrząsając głową wielce przygnębiony. – Obawiam się, że tuż przed wyborami strona przeciwna zrobi z tego użytek. W życiu politycznym biorę udział, odkąd po raz pierwszy głosowałem mając dwadzieścia lat. Wystarczy, aby zdać sobie sprawę jak niebezpieczne są takie incydenty w przededniu wyborów. Drobne wydarzenia mogą mieć poważne skutki, trudno im przeciwdziałać, podobnie jak ugasić ogień, który się rozszałeje na polu dojrzałych jarzębin, kiedy wieje jesienny wiatr. Wielu demokratom w naszym hrabstwie może

przyjść do głowy, by pozbawić mnie urzędu właśnie z powodu tego wydarzenia. Wystarczy taka sprawa, żeby niektórzy zmienili zdanie i głosowali na listę republikanów. Takich nie brak. Byłby to ciężki cios dla mnie, w moim wieku. Musiałbym się wynieść na wieś, gdzie posiadam mały skrawek ziemi, i zarabiać na kawałek chleba uprawiając kamienistą glebę. Bóg mi świadkiem, że nigdy nie chciałem być farmerem pracującym w pocie czoła. Dlatego wziąłem udział w głosowaniu i zabrałem się do polityki rok wcześniej niż ktokolwiek inny.

Nikt się nie odezwał. Grover wstał za biurkiem.

– Życzę sobie, żeby tę dziewczynę, Josene Maddox, zostawić w spokoju – powiedział swoim zastępcom. – Nie chcę, by się jej czepiano. Mamy już z tego powodu dosyć kłopotu. Nie ma nakazu aresztowania i nigdy nie było. Chciałem tylko wyświadczyć przysługę pani Bowers i w dyskretny sposób przeprowadzić dochodzenie. Pani Bowers zawzięła się i musiałem powziąć szybką decyzję, żeby ją zadowolić. Przez jakiś czas nie ruszajcie murzyńskiej dzielnicy. Jeżeli nie posłuchacie, ktoś może tego pożałować. Mieszkańcy murzyńskiej dzielnicy są wzburzeni i nie byłoby bezpiecznie zadawać się z kolorowymi dziewczynami nawet w bardzo ciemną noc. Na razie trzeba się obejść bez nich.

Tego samego ranka o wpół do dziewiątej koroner, jak tego wymaga prawo, przeprowadził w krótkim trybie

dochodzenie w sprawie przyczyny śmierci Harveya Browna. Jedynym świadkiem był Clyde Hefflin. Szeryf Glover i pozostali jego zastępcy byli obecni, ale dochodzenie odbywało się przy drzwiach zamkniętych i nikt inny nie został dopuszczony.

W wyniku pytań i odpowiedzi koroner szybko ustalił, że Harvey Brown, Murzyn, zmarł wskutek uduszenia przedmiotem, który przypadkowo dostał mu się do gardła. Potem drżącą ręką wpisał orzeczenie do księgi protokołów i gwałtownie ją zatrzasał.

Natychmiast po zakończeniu dochodzenia jeden z zastępców szeryfa wyszedł z gmachu sądu i zakomunikował przechodniowi treść orzeczenia koronera w sprawie przyczyny śmierci Harveya Browna. Wiadomość szybko się rozeszła po sklepach i biurach w całym mieście.

– Nie chciałbym znaleźć się na miejscu Clyde’a Hefflina – powiedział ktoś w gromadce mężczyzn, którzy zebrali się na poczcie i omawiali to wydarzenie. – Zwłaszcza teraz, gdy szeryf i koroner zmówili się, żeby jak najprędzej sprawę zatuszować. Nawet moja stara czarna krowa nie uwierzyłaby w tę bujdę. Nie zdziwiłoby mnie wcale, gdyby pewnego dnia po zapadnięciu zmroku znaleziono na ulicy zastrzelonego Clyde’a. Nie mówię, kto mógłby to zrobić, ani też czy postąpiłby słusznie, ale ja jestem przekonany, że należy się to Clyde’owi, jeżeli sprawiedliwość istnieje na świecie. Nie obchodzi mnie, jaki ktoś ma kolor skóry. Chcę tylko

powiedzieć, że nikt nie miał prawa urządzić jatek z Harveya Browna. I ktoś powinien za to ponieść karę. Nie zawsze trzymam z Murzynami i nie zawsze jestem przeciwko nim, ale tym razem nie miałbym najmniejszej pretensji do nich, gdyby coś złego przytrafiło się Hefflinowi.

Kilku mężczyzn weszło na pocztę po ranną korespondencję i przystanęli, żeby posłuchać rozmowy.

– To, że ktoś urodził się czarnym, jeszcze nie znaczy, że należy rozdeptać go jak mrówkę. Nie potrzebujemy w naszym hrabstwie takiego zastępcy szeryfa jak Clyde Hefflin, a Grover Glover mógłby się obudzić i zedrzeć mu oznakę, i to szybko. Niebawem odbędą się wybory. Zawsze głosowałem na listę demokratów, ale teraz będę głosował na republikanów, i to z wielką satysfakcją. Clyde Hefflin za dużo sobie pozwolił i jestem gotów publicznie to stwierdzić, żeby wszyscy słyszeli. Jeśli ktoś popełni przestępstwo, obojętne czarny czy biały, należy go zamknąć. Jeśli ktoś dopuści się morderstwa, obojętne czarny czy biały, to należy niezwłocznie posadzić go na krześle elektrycznym. I sprawa skończona. Ale jak słyszałem, ten młody Murzyn nie popełnił żadnego przestępstwa, może tylko za dużo gadał, ale to ludzka rzecz. Clyde wyładował całą swą wściekłość na tym chłopcu, kiedy poszedł aresztować Josene Maddox i nie znalazł jej. Nic nie usprawiedliwia jego podłego postępku. To hańba, że taka rzecz zdarzyła się w Palmyrze, i będę o tym głośno mówił. Jestem dobrym białym obywatelem tego miasta, chociaż

czasem świerzbi mnie język, ale przecież widzę, że co zanadto, to niezdrowo.

– Jeśli Clyde chce jeszcze aresztować tę dziewczynę, na którą się zawział wczoraj wieczór – powiedział inny mężczyzna – to może zajść do kancelarii adwokackiej Daltona Burrowsa. Widziałem, jak tam leciała przed chwilą. Ale bała się pokazać. Przybiegła boczną uliczką.

– Byłoby dziwne, gdyby Clyde Hefflin pojawił się na ulicy. Jeśli dba o własną skórę, wybierze się na ryby. Na jego miejscu kupiłbym szybko wędkę i wyjechał na Florydę. Posiedziałbym tam jakieś pół roku. W ten sposób przedłużyłbym własne życie.

Wychodząc z poczty mężczyźni potakująco kiwali głowami.

Parę minut przed dziewiątą Josene zjawiała się w kancelarii Daltona. Wcześniej rano zadzwoniła do niego. Powiedział wtedy, że jest bardzo zajęty i nie może jej przyjąć. Poradził przy tym, żeby zwróciła się do innego adwokata. Ale nalegała i powołała się na Native'a Hunnicutta, który powiedział, że ma się skontaktować z nim i z nikim innym. Ledwie wymieniła nazwisko Native'a, Dalton zgodził się ją przyjąć, jeżeli przyjdzie do kancelarii o godzinie dziewiątej.

– Rozmawiałem telefonicznie z szeryfem Gloverem, który mnie poinformował, że nie zamierza pani o nic oskarżyć – powiedział Dalton zdejmując okulary i patrząc na Josene zza biurka z lekko uniesionymi krzaczastymi brwiami. – Prawdę mówiąc dowiedziałem się, że nie wydano żadnego nakazu aresztowania pani. To, co się zdarzyło wczoraj wieczór, było zwykłym dochodzeniem spowodowanym skargą pewnej obywatelki. Nic pani nie grozi, Josene, sprawa jest zamknięta. Od tej chwili ma pani całkowitą swobodę ruchów.

Jak zwykle Dalton Burrows miał na sobie drogie ciemne ubranie i jasną muszkę. Poza tym, że był adwokatem i stanowym senatorem, dyrektorem banku i prezesem ekskluzywnego klubu, posiadał cenne nieruchomości w mieście i na wsi, od wielu lat był znany jako najbogatszy i najwybitniejszy mieszkaniec Palmyry. („Nie wiem, czy Dalton skończy na górze, czy na dnie politycznego gnoju, ale niewątpliwie zyskał sobie reputację adwokata, który najszybciej potrafi przeprowadzić egzekucję z nieruchomości obciążonej hipoteką. Jakiś rok temu wyzuł mnie z własności małej farmy dokładnie minutę po północy. Kto inny czekałby przynajmniej do rana, aby przejąć ją z powodu niewypłacalności, i pozwoliliby mi się wyspać, a on stał pod

drzwiami z zastępcą szeryfa, żeby mi wręczyć decyzję o zajęciu majątku, i czekał patrząc na zegarek. Jedno trzeba mu wszakże przyznać. Chodzi do kościoła równie często jak pastor, a modli się głośniej. Razem wzięwszy Dalton Burrows w ten sposób został wybitnym obywatelem miasta.”)

Obecnie Dalton po raz pierwszy w życiu kandydował do kongresu w powszechnych wyborach, które miały się odbyć w listopadzie i podejmował wszelkie wysiłki polityczne i finansowe, aby zapewnić sobie fotel w Waszyngtonie. Czarne, przyprószone siwizną włosy, wysoki wzrost i mocna budowa przydawały mu godnego wyglądu. Był giętki, potrafił być zarówno dostojny, jak przyjacielski i przypochebny, zależnie od okoliczności. Z biegiem lat nauczył się modulować głos przemawiając publicznie albo w prywatnych rozmowach, i dysponował skalą od grzmiącej powagi do pieśczośliwej poufałości. Gdyby nie udało mu się zdobyć miejsca w kongresie, co wydawało się nieprawdopodobne, zdarzyłoby się po raz pierwszy w jego życiu, że nie zyskałby nominacji we wstępnych wyborach i większości głosów w powszechnym głosowaniu.

– Mogę pani powiedzieć w zaufaniu – mówił dalej Dalton jak zwykle energicznym tonem – pani Bowers z osobistych powodów nalegała, żeby panią aresztować. A szeryf skorzystał z okazji, by wyświadczyć jej przysługę. I do tego się sprowadza cała historia. Glover potraktował tę sprawę czysto formalnie. Rozumie pani, co mam na myśli?

Znów spojrział na nią podnosząc brwi, ale nie czekał, aż Josene odpowie na jego pytanie.

– Otóż, szeryf Glover ponownie kandyduje, takie historie niekiedy zdarzają się w przeddzień wyborów. Sam zaangażowałem się w najważniejszą kampanię wyborczą w moim życiu i rozumiem, że kandydat na rządowe stanowisko może wychodzić ze skóry, by się przypodobać wyborcom i zapewnić sobie ich głosy. My wszyscy, kiedy pełnimy funkcje publiczne, jesteśmy sługami narodu i z konieczności musimy się liczyć z wolą wyborców. Pani to rozumie. W każdym razie, nawet gdyby panią zamknięto, po paru dniach zostałaby zwolniona przez szeryfa i na tym wszystko by się skończyło. Rad jestem, że sprawa przyjęła tak pomyślny obrót.

Dalton skończył, podniósł wzrok i ręką wskazał na drzwi.

– Może pani już odejść.

Josene wstała. Ale ociągała się z wyjściem. Dalton ponownie wskazał drzwi.

– To wszystko. Jestem bardzo zajęty.

Opuścił głowę nad biurko, jakby się zdecydował więcej na nią nie patrzeć.

– Ile jestem panu winna? – spytała.

– Nic. Ani centa. Rad jestem, że mogłem wyświadczyć przysługę panu Hunnicuttowi. Zawsze dzielnie się spisywał we wszystkich moich kampaniach wyborczych.

Josene już chciała podziękować, kiedy nagle podniósł wzrok i wskazał obity skórą fotel, na którym poprzednio siedziała.

– Chwileczkę – powiedział nerwowo. Wyraz jego twarzy się zmienił. Patrzył na nią z zaciekawieniem. – Siadaj, Josene. Chciałbym czegoś się dowiedzieć, zanim wyjdiesz.

Josene usiadła.

– Dlaczego pan Hunnicutt przysłał cię do mnie?

– Bo przyjaźnimy się od dawna – odezwała się po chwili namysłu – i powiedział mi dziś rano...

Dalton przerwał jej.

– Przed chwilą oświadczyłaś mi, że zamierzałaś wyjść za tego murzyńskiego młodzieńca... Harveya Browna... tego, który został zabity wczoraj wieczór. Native Hunnicutt jest biały, a ty jesteś...

– Proszę pana, ja też jestem prawie biała – wtrąciła bez wahania.

Dalton patrzył na nią z zamyśloną miną. Minęła dłuższa chwila, zanim znów się odezwał.

– To wyraźnie widać – mówił głośno, ochryple. – To jest widoczne dla każdego, ale co to ma do rzeczy? Jest mnóstwo Mulatek i pół-Mulatek. Nasze okolice są ich pełne. Mulatek i wszelkich ich odmian. Ale co innego mnie zaskoczyło. Nie przypominam sobie, żeby jakaś młoda Murzynka chwaliła się, że się przyjaźni z białym. Przynajmniej w tych stronach to się nie zdarza. Jest to bardzo niezwykła rzecz... i niepokojąca. Czy masz źle w głowie? Czy nie wiesz, że nie powinnaś mówić na ten temat?

W słowach Daltona zabrzmiała groźba. Mówił głośno i poirytowanym tonem. Przerwał, patrzył wprost na nią, ale Josene nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Na tym polega kłopot z wami, Murzynami, którzy macie trochę krwi białych – powiedział oskarżycielskim tonem. – Wtedy zaczynacie mówić i postępować, jak byście byli równi białym. Spędziłem tutaj całe życie i zawsze tak było. Dlaczego nie zachowujecie się skromnie i mieście ozorami?

Wstał zza biurka i długimi krokami podszedł do okna. („Czy zauważyliście, że ostatnio skóra Murzynom znacznie pojaśniała? Z roku na rok następują pod tym względem duże zmiany. Nie widuje się już, jak dawniej, wielu czarnych jak smoła Murzynów. Tacy czarni szybko zanikają. Pięćdziesiąt lat temu spotykało się Mulatów, ale pół-Mulaci i ćwierć-Mulaci bywali tak rzadko jak biały muł na krowim pastwisku.

Teraz się wszystko zmieniło. Czego się można spodziewać za pięćdziesiąt lat?”)

Dalton wrócił spod okna, stanął przed Josene z rumieńcem na twarzy i spojrzął na nią, jakby brał w krzyżowy ogień pytań nieprzyjaznego i niechętnego świadka w sądzie.

– Dlaczego nic nie mówisz? – spytał grzmiącym głosem.
– Czy nie słyszałaś? Postawiłem ci pytanie! A nawet dwa pytania!

Josene zagryzła wargi. Po czym wyzbyła się strachu i spokojnie spojrziała na niego.

– Proszę pana, może zdaje się panu, że nie godzi mi się mówić i postępować jak biała kobieta – mówiła wolno, beznamiętnie. – Ale moja matka była warta białego mężczyzny.

Wpatrzył się w nią.

– O jakim białym mężczyźnie mówisz?

– O moim ojcu.

– Kto ci to powiedział?

– Matka.

Dalton włożył ręce do kieszeni i parę razy przespa-cerował się przed nią, zanim się odezwał. Jako adwokat z długą praktyką sądową zdawał sobie sprawę, że uporczywe wypytywanie świadka, zarówno przyjaznego, jak niechętnego,

może zaszkodzić sprawie. Zawsze był zdolny jasno myśleć i szybko się decydować, a teraz zastanawiał się, jak daleko może się posunąć w wypytywaniu Josene. Przestał chodzić. Znow zmieniał ton. Po raz pierwszy stał się uprzejmy i miły.

– Musisz mi coś powiedzieć – odezwał się i przelotny uśmiech pojawił się na jego twarzy. – Co chciałaś dać mi do zrozumienia? To bardzo interesujące. Skąd się tak wiele dowiedziałaś o domniemanych związkach twojej matki z białym mężczyzną? Jak doszłaś do tego, kto jest twoim ojcem?

– Matka mi powiedziała. – I dodała: – Babcia Maddox też wie. Mówiła na ten temat więcej niż matka.

Dalton już chciał spytać ją, co jeszcze wie o swoim ojcu, ale się nagle rozmyślił i odszedł pod okno. Stał tam długo plecami do pokoju i patrzył na plac przed sądem. Kiedy znow się odezwał, jego głos był napięty, ale odzyskał spokój, a jego stosunek do Josene stał się przyjazny i miły.

– Ile masz lat, Josene? – spytał i popatrzył na nią stojąc pod oknem.

– Dwadzieścia cztery.

Wolno podszedł do niej.

– Jak na imię jest twojej matce?

– Josephine, ale wszyscy mówią na nią Josie.

– Ile ma teraz lat?

– Koło czterdziestki.

– Czy kolor skóry ma równie jasny jak ty?

– Nie całkiem. Jest trochę ciemniejsza.

Dalton podniósł ciężkie brwi.

– Czy matka była mężatką, jak się urodziłaś?

Josene potrząsnęła głową.

– Dlaczego nazywasz się Maddox?

– Bo to jest nazwisko mojej matki, babki i prababki.

– Czy twoja matka jest teraz mężatką i czy ma inne dzieci?

– Tak, proszę pana.

– Gdzie mieszka?

– Mieszkała w Palmyrze, a teraz na wsi, na farmie.

– Gdzie się urodziłaś, Josene?

– Tutaj, w Palmyrze.

– I mieszkałaś tu przez całe życie?

– Tak, proszę pana.

Dalton wrócił za biurko i siadł w fotelu z wysokim oparciem obitym zieloną skórą. Zaczął machinalnie przekładać papiery z jednej strony biurka na drugą. („Kiedy dorośniesz i dojdiesz do przekonania, że patrzysz teraz na życie rozsądnie, często się zastanawiasz, czy postąpiłbyś tak samo jak w przeszłości, gdyby dane ci było jeszcze raz powtórzyć swe życie. Jest to trudna decyzja, bo dobre i złe postęпки przeplatałyby się obecnie podobnie jak kiedyś, a nikt nie wie, co w końcu by przeważało. Wstydziłbym się pewnych moich postępków z młodych lat i zaszkodziłyby mojej opinii, gdyby ludzie się o nich dowiedzieli. W głębi duszy, potajemnie, cieszy mnie każdy taki epizod w moim życiu.”)

Po chwili, rozpierając się w fotelu, Dalton uśmiechnął się do Josene.

– Przyznaję, że przed chwilą nie byłem dla ciebie zbyt miły – powiedział tonem usprawiedliwienia. Uśmiechnął się szeroko, aż pod oczami ukazały się zmarszczki. – Nie wiem, co mnie wyprowadziło z równowagi. Przepraszam cię za to, Josene. Przyjmij do wiadomości, że jak weszłaś, od razu zobaczyłem, że jesteś bielsza niż inne Murzynki i że powinienem traktować cię odpowiednio. Białą rasę widać u ciebie wyraźnie po kształcie twarzy, kolorze włosów i zarysie brwi. Jest to widoczne... i bardzo ładne. Powiedziałbym, że masz jedną ósmą krwi murzyńskiej. Im więcej się tobie przyglądam, tym bardziej jestem tego pewien. Poza tym jesteś bardzo piękną dziewczyną, Josene. Wyjątkowo piękną. Twojej

urody pozazdrościłoby ci wiele białych dziewczyn. Miałś szczęście, Josene.

Dalton pochylił się i drżącymi rękami poprzekładał papiery na biurku.

– Wiesz co, Josene – powiedział tonem zwierzenia. – Mam dwie córki. Jedna ma osiemnaście, druga dwadzieścia lat – jest prawie w twoim wieku. Uważam, że też są bardzo ładne i kocham je ogromnie. Wyjechały, studiuja, uczą się w college’u. Jestem gotów zrobić dla nich wszystko, żeby, jak dorosną, były szczęśliwe i dobrze wyszły za mąż, rzecz jasna. Tego każdy ojciec życzy córkom – powodzenia w życiu i szczęścia w małżeństwie. Ale mogę tylko pomóc ich staraniom, nie mogę im kupić szczęścia. Mogę udzielać im rad, zachęt i stwarzać okazje. – Przerwał i przesunął ręką po twarzy. – Ale po co ja to wszystko mówię. Ty wiesz, jak znaleźć szczęście. To cię nie dotyczy.

Znów wstał zza biurka, długimi krokami przeszedł do okna i wyrztał na plac. Gospodynie wyszły po zakupy, farmerzy przyjechali zaopatrzyć się w mieście, a ci, co nie mieli nic do roboty, jak zwykle siedzieli na stopniach z szarego kamienia przed gmachem sądu. Dzień był jasny, pogodny, słońce przygrzewało, zresztą jak zwykle o tej porze roku.

– Nie wiem, dlaczego tak się rozgadałem na temat moich córek – nie odwracając się powiedział Dalton. – Może ty mi o nich przypomniałaś.

Podszedł do niej, długo się przyglądał, jakby chciał zachować jej obraz w pamięci.

– Prawdę mówiąc, dlatego się rozgadałem. Z tego też powodu chciałbym ci udzielić pewnej rady, jeśli pozwolisz... Tak samo, jakbym udzielił rady i zachęty moim dwu córkom. Chciałbym, abyś ty też była szczęśliwa.

– O jaką radę chodzi, proszę pana? – zapytała Josene.

Dalton przysunął fotel i siadł przy niej.

– Nie wspomniałem o tym, ale wiem o tobie więcej, niż ci się zdaje. Wszystko, co się dzieje w Palmyrze, w krótkim czasie staje się powszechnie znane. Normalna to rzecz w takim małym mieście. Nic się nie utrzyma w tajemnicy. Ktoś zacznie gadać i od razu ma mnóstwo słuchaczy... Będę uczciwy i szczerzy, postaram się trzeźwo spojrzeć na pewne sprawy. Wiem, że utrzymywałaś stosunki, że tak powiem, z Native'em Hunnicuttem i bywałaś w jego domu, a za dnia pracowałaś jako służąca u pani Bowers przy Cherry Street. Kiedy pan Hunnicutt i pani Bowers się pobrali, poszłaś do jego domu w Małpim Gaju, jak zwykle, i ona przydybała cię w jego towarzystwie... Nie miałaś wtedy na sobie fartuszek pokojówki. No cóż, teraz jest to sprawa ogólnie znana i stała się przyczyną całego zamieszania. W tym stanie rzeczy nie można mieć pretensji do pani Bowers, że się rozgniewała i postanowiła wziąć odwet na tobie i spowodować aresztowanie, żebyś poniosła karę za swój postępek. Przyczyniło się to do śmierci młodego Murzyna, który chciał cię poślubić. Fakt

pożałowania godny, niewybaczalny i nigdy nie powinien się zdarzyć. Ale stało się i nikt chłopcu życia nie przywróci. Niektórzy odznaczają się dziką wprost brutalnością i okrucieństwem. Może to wada wrodzona, a może nabyta, albo jedno i drugie. W każdym razie człowiek tak upośledzony od czasu do czasu daje upust swemu szaleństwu. Zjawisko można porównać do uporczywej wysypki na skórze. I tyle na ten temat. Szczerze mi żal Harveya Browna. Nie mogłaś wybrać lepszego kandydata na męża. Był dobrym, ciężko pracującym i posłusznym prawu obywatelem... A teraz moja rada. Wyjedź z miasta i nigdy nie wracaj. Bo nie dostaniesz pracy u białej rodziny w Palmyrze. Za dużo było gadania i plotek na twój temat, a będzie znacznie więcej. Weź z sobą córeczkę, babkę wyślij na wieś, niech zamieszka z twoją matką. Ja bym ci radził wyjechać do Jacksonville albo do Atlanty, albo do Nowego Orleanu. Ale musisz wyjechać, znaleźć sobie dobrą pracę, założyć dom dla córki i zacząć nowe życie. Nie będzie to trudne. Jesteś młoda, świetnie się prezentujesz, nie brak ci zdolności i doświadczenia. Nie dostaniesz listów polecających od pani Bowers, ale ja ci dam taki list, i to wyjątkowo pochlebny.

Dalton przyglądał się jej niespokojnie, opierając ręce na kolanach i zaciskając palce to jednej to drugiej ręki. („Jedyną okolicznością, która może w ostatniej chwili przynieść klęskę politykowi kandydującemu w wyborach, jest szeptana propaganda o skandalu w jego prywatnym życiu. Zręczny

polityk wykupi się od skandalu za każdą cenę, a jeśli tego nie zrobi, w dniu wyborów dostanie cięgi.”)

Josene milczała zastanawiając się nad tym, co powiedział Dalton.

– Ale nie tylko wystawię ci dobre świadectwo – mówił Dalton zachęcająco. – Pomogę ci finansowo, i to tak, że nie będziesz musiała martwić się o pieniądze. Będzie to prezent, a nie zwrotna pożyczka, rozumiesz? Pod warunkiem, że wyjedziesz z miasta. Czy ty mnie rozumiesz, Josene?

Nie czekając na odpowiedź Dalton wyjął z kieszeni plik banknotów, dwa razy przeliczył, złożył i wetknął jej w rękę. Josene patrzyła na pieniądze i wolno potrząsała głową.

– O co chodzi, Josene?

– Nie jestem pewna...

– Co do czego?

– Nigdy dotąd nie byłam tak daleko od domu.

– To nie ma znaczenia.

– Ale zawsze mieszkałam w Palmyrze. W tamtych miastach nie znam nikogo. Nie będę wiedziała, co robić. Gdyby ktoś ze mną pojechał... ze mną i Ellen...

– To nie ma znaczenia – powtórzył z naciskiem. – Możesz mi zaufać. Wszystko dobrze się ułoży. Jacksonville i Atlanta to duże miasta, poznasz wiele osób, a przyjaciół

zyskasz więcej niż tutaj przez całe życie. Będiesz chodzić na przyjęcia i tańce. Spotkasz kogoś, kto się z tobą ożeni. Jak tylko się tam dostaniesz, będziesz szczęśliwa, żeś stąd wyjechała. Mogę ci to obiecać. No i co powiesz?

– A jeżeli nie znajdę pracy?

– O to się nie martw. Napiszesz do mnie i ja ci jeszcze doślę pieniędzy. Tylko nie wracaj. Chcę, żebyś zaraz wyjechała, nie zwlekaj. Teraz idź do domu, spakuj rzeczy, które chcesz zabrać z sobą, i wsiądź w autobus. Jak się pośpieszysz, możesz wyjechać jeszcze dzisiaj. A najpóźniej jutro rano.

– Jest mi obojętne, gdzie będę mieszkała – powiedziała Josene i zaczęła płakać. – Nic mnie tu nie trzyma. Harvey odszedł, nie żyje. Na niczym mi nie zależy. Mogę pojechać byle gdzie.

Dalton chciał ją objąć i pocieszyć, ale tylko położył rękę na jej ramieniu i mocno ścisnął. Otarła łzy z oczu i wstała. Idąc do drzwi nie obejrzała się na niego ani nie odezwała.

Dalton odprowadził ją do hallu i patrzył, jak schodzi na dół. Wyszła na ulicę, nie oglądając się.

– Do widzenia, Josene – zawołał słabym głosem, gdy zniknęła mu z oczu. – Niech cię Bóg ma w swojej opiece, Josene!

Późnym popołudniem, gdy już zapadał zmrok, Native Hunnicutt, w czarnej czapce i niebieskiej kurtce usianej wrzoścem, wyszedł z Małpiego Gaju kierując się w stronę miasta.

Odczuwało się już chłód wczesnej jesieni. Wiał wiatr północny chwiejąc konarami dębów i sykamorów, szeleszcząc brązowymi liśćmi na trotuarze. Wczesnym wieczorem rozpalono ogień w piecach i dym z płonącego drzewa kręcił się nad kominami, snuł się w ulicach miasta, pozostawiając w powietrzu ostry swąd.

Kończył się dzień pracy, gaszono światła w sklepach i w budynkach centrum miasta. Biuraliści szli do domu z placu przed sądem, miejscy funkcjonariusze jechali samochodami z piskiem opon na zakrętach, a jasne światła ich wozów szukały drogi do domu. Po raz pierwszy w życiu uczucie samotności sprawiło, że Native zazdrościł mężczyznom, którzy wracali do domów, by spotkać się z żonami.

Większość farmerów, którzy przybyli do miasta, by uzupełnić domowe zapasy, wyjechała wcześniej, bo chcieli przed zapadnięciem zmroku wrócić do domu, wydoić krowy i nakarmić żywy inwentarz. Opustoszały schody przed sądem.

Ci, którzy objali się tam i gawędzili w słońcu, wrócili na noc do domu. Uczniowie pedałowali na rowerach o zmierzchu, aby kupić butelkę mleka lub chleb przed zamknięciem sklepów.

Native od wczesnego ranka pracował pochylony nad warsztatem, starając się wykonać jak najwięcej napraw, a teraz zmęczony i przygarbiony po całym dniu pracy szedł do miasta. Był głodny. Marzył o zjedzeniu czegoś, co by nie było fasolką chili i spaghetti. Mógł się tym odżywiać, jeśli padał deszcz albo nie chciało mu się wyjść z domu, dziś jednak, choć był bardzo głodny, nie miał najmniejszej ochoty na to, co stanowiło jego zwykłe pożywienie.

Szedł pociągając nogami w głębokim cieniu dębów i sykamorów i nie mógł opędzić się myśli o Maebelle Bowers i co tam ona przygotowała dziś na kolację. Im więcej myślał o Maebelle i jej domu z czerwonej cegły przy Cherry Street, tym bardziej był głodny. Nie miał wątpliwości, że Maebelle przyrządza jakieś ulubione przez niego dania. Wyobrażał sobie pieczone kurczaki z sosem i brązową fasolką, a także platy szynki z pieczonymi słodkimi kartoflami z kielbasą, pasztet ze słodkich kartofli i zastanawiał się, czy choć raz w życiu będzie mógł jeszcze tak się uraczyć.

Zanim dotarł do baru Eda Howarda, Native czuł się nieszczęśliwy, przygnębiony i ubolewał nad swoim losem. Zastanawiał się, co się stało ze szczęściem, jakim tak się przechwalał. („Któż traciłby czas, aby pożałować kawalera w średnim wieku tylko dlatego, że odżywia się z puszek? Niech

się sam nad tym użala. Bo to jego wina. Jest mnóstwo kobiet chętnych do wyjścia za mąż i do gotowania dla męża. Kłopot polega jednak na tym, że kawalerowie stają się samolubni i nabierają nawyków, tak że trudno im się dogadać nawet z samym sobą.”)

Kiedy wszedł do lokalu Eda Howarda, jasno oświetlony bar rozbrzmiewał głośnymi rozmowami i hałaśliwym śmiechem. Nie zwracając uwagi na migające światła i brzęczenie automatów, przeszedł, jakby ich nie zauważył. Dziesięciu mężczyzn tłoczyło się w barze. Jeden zawołał go po imieniu i coś jeszcze powiedział, lecz Native nie obejrzał się. Poszedł prosto do baru i siadł na stołku.

Ed Howard zauważył, że zjawił się Native. Czekał za barem.

– Jak leci?

– Jak najgorzej.

– Masz przykrości?

Native skinął głową.

– Może nie wiesz, co znaczy być naprawdę nie-szczęśliwym.

– Jeżeli nie wiem, to się wkrótce dowiem.

Ed bacznie mu się przyjrzał.

– Wiem, jak się czujesz, Native – powiedział ze współczuciem. – Czasem ze mną jest podobnie. Wszystko idzie na opak. Żona budzi się rano i powiada, że mój wygląd jej się nie podoba. Przychodzę w nocy do domu, ona mi mówi, że sama się sobie nie podoba. Jak się z nią zgadzam, to się wścieka i nie odzywa do mnie. A jak się nie zgadzam, to się wścieka i też mnie ignoruje. Teraz wiesz, jakie mam kłopoty. Ale doszedłem do wniosku, że to się każdemu zdarza – mnie, tobie, ludziom z dużą dupą i małą dupą, bogatym i biednym. I trzeba sobie radzić w życiu, jak świnia, która musi się nauczyć, jak się obejść bez nocnika.

Native przytaknął. Patrzył na oprawiony w złote ramy obraz naturalnej wielkości wiszący za barem.

– Co ci dać? – spytał Ed.

– Wielkiego hamburgera i butelkę piwa.

– Może wszystko złożyło ci się na odwyrtkę – powiedział szykując mu hamburgera i nalewając piwo – ale wiesz, gdzie przyjść, jak chcesz zjeść coś z dobrej domowej kuchni.

– Jak nie dostanę, czego mi trzeba, tutaj, to nigdzie indziej nie dostanę – odparł Native. – To jest tak samo pewne jak to, że małe orzeszki rosną w wielkich pękach.

– Ładnie powiedziałeś, Native. Przydaje to mojemu lokalowi większej renomy, niż gdybym wydał kupę forsy na wielką reklamę w „Nowinach Hrabstwa Sycamore”. Powtarzaj

to w mieście, a będziesz moim serdecznym przyjacielem. Nawet może kiedyś udzielię ci kredytu w wysokości dolara.

Postawił przed nim piwo i hamburgera i oparł się o bar.

– Nie miałem jeszcze okazji wypowiedzieć się na ten temat, ale z żalem się dowiedziałem, że twoje małżeństwo tak krótko trwało. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem, że żenisz się z Maebelle Bowers, byłem ciekaw, jak poradzisz sobie z zamianą Murzynki na białą kobietę bez chwili wytchnienia. A potem pomyślałem, że sprytnie to wykombinowałaś jak na mężczyznę w twoim wieku. Boś skorzystał z okazji urządzenia się na całe życie, uszczknięcia żoninej forsy i ulokowania jej w banku na swój rachunek, żebyś mógł wypisywać czek, nie płacić czynszu i korzystać bez ograniczeń z dobrej domowej kuchni.

Native spojrział na niego i uśmiechnął się.

– Włożyłem nogi pod stół w jej jadalni i zjadłem dwie świetne kolacje. A częściowo także trzecią.

– Tak właśnie słyszałem – powiedział Ed. – Nasze miasto z jednego powodu jest godne pochwały. – Zaczął obsługiwać innego gościa. – Mianowicie, w Palmyrze plotki rozchodzą się lotem błyskawicy.

W barze rósł hałas głośnych rozmów, okrzyków i ustawicznych dzwonek automatów do gry, ale Native nie zwracał na to uwagi. Siedział i wpatrywał się w obraz oprawiony w złoczone ramy, przedstawiający tłąstą kobietę

kąpiącą się w maleńkiej wannie. Native myślał o Maebelle i tych dobrych rzeczach z jej kuchni, które teraz zajadała.

Zjadł pół hamburgera, kiedy Lattimore Tłuścioch stanął za nim, grzmotnął go w plecy i powiedział:

– Cóż tak siedzisz pogrążony w ponurych myślach? – Siadł na sąsiednim stołku i zamówił butelkę piwa. – Dziwnie się zachowujesz i bardzo kiepsko wyglądasz.

Native spojrział na niego, ale się nie odezwał.

Lattimore Tłuścioch miał na sobie żółty kombinezon, który nosił w czasie pracy na stacji benzynowej. Wytłuszczoną czapkę przesunął na tył głowy. Z kieszeni wystawał mu zwinięty magazyn. Zawsze nosił przy sobie magazyny z opowieściami z Dzikiego Zachodu albo książkę w kieszonkowym wydaniu z jaskrawą okładką. Mówił, że lubi czytać o facetach dokonujących morowych czynów, na jakie sam nigdy by się nie ważył. Tłuścioch wracając z pracy do domu zawsze wstępował do baru Eda Howarda na godzinę albo dłużej. Właśnie była pora, kiedy żona Lattimore'a dzwoniła do właściciela baru prosząc, by powiedział Tłuściochowi, że jak zaraz nie wróci, to nie ma mowy o kolacji, a ona noc spędzi u mamy. Po takiej interwencji Tłuścioch zawsze wychodził i biegł do domu.

– Nie jesteś sobą – ciągnął Tłuścioch. – Nie poznałbym cię, gdybym nie pamiętał twej twarzy. Powinieneś teraz wygrywać na kąpiących się dziewczynach i ściągać z nich

kuse kostiumy kąpielowe. Jak ty im nie ściągniesz majtek, to nikt nie ściągnie. Czy wiesz, że mógłbyś doprowadzić Eda do szaleństwa ustawicznym wygrywaniem premii i butelek piwa?

Native jadł dalej hamburgera zapijając piwem. Słuchał uważnie, co mówił Tłuścioch, ale słowem się nie odezwał.

Tłuścioch przechylił głowę i przysunął się do Native'a.

– Słuchaj – ściszył głos. – Powiedz mi, nie straciłeś przypadkiem szczęścia? I nie dlatego siedzisz tu osowiały i przegrany?

Native przełknął ślinę.

– Może nigdy nie miałem takiego szczęścia, jak mi się zdawało. – Jego twarz przybrała wyraz smutny i ponury. – W tej chwili nie szczęście mi sprzyja, tylko prześladowe mnie pech. I nie mam się czym pochwalić.

– Jak to? – zaśmiał się Tłuścioch. – Wszyscy wiedzą, że jesteś wielki szczęściarz. I taką masz renomę.

Native dalej jadł hamburgera.

– Jak tylko sięgam pamięcią, zawsze mi się udawało i nie mogłem się skarżyć. Dumny byłem, gdy ludzie mówili o szczęściu Hunnicutta. Ale parę dni temu nagle wszystko się popsuło i prześladowe mnie pech. Nie wiem, co począć. Za każdym razem, kiedy usiłuję coś zrobić, kończy się to fatalnie i przypominam psiaka, którego przymknęto w kurniku.

– Nie jest tak źle – odparł Tuścioch śmiejąc się i klepiąc go po plecach. – Wyolbrzymiasz niepowodzenia. A tymczasem nie udało ci się tylko jedno. Żeś dłużej nie był mężem bogatej kobiety i nie zdażył skubnąć jej forsy. Ale to jeszcze nie powód do zmartwienia. Takie rzeczy zdarzają się często.

– Możliwe, ale to jeszcze nie wszystko – powiedział Native potrząsając głową. – To dopiero początek. Nie wygląda na to, żeby szczęście wróciło do mnie. Jestem załamany jak ogar w cętki, któremu obcięto ogon. Przywykł do merdania ogonem przez całe życie, czuje się zawstydzony i niepotrzebny, kiedy go stracił.

– Co jeszcze ci się nie udało? – spytał Tuścioch.

Native dolał sobie piwa do szklanki i już miał coś powiedzieć, gdy nagle zamilkły głośnie rozmowy, brzęczenie automatów do gry stopniowo ucichło. Zdawać się mogło, że wszyscy naraz postanowili opuścić bar.

Tuścioch i Native odwrócili się, by zobaczyć, co jest powodem tej niezwyklej ciszy. Wszyscy patrzyli na Clyde'a Hefflina, który wolno szedł od drzwi w stronę baru. Wyraz twarzy Clyde'a był ponury, a gniew wykrzywił mu usta. Nie miał przy sobie pistoletu, nie brzęczały u pasa kajdanki i nie wystawała pałka z kieszeni. Był bez marynarki i bez czapki na głowie, koszula wylazła mu ze spodni.

Kiedy doszedł do baru, bez słowa chwycił Native'a za ramię i okręcił na stołku z taką siłą, że omal nie zrzucił go na podłogę. Native uważał, że, jak zwykle, Clyde pozwala sobie na żarty i tylko dobrodusznie się uśmiechnął.

– Należy ci się porządny wycisk ode mnie – powiedział spokojnie Clyde i wykręcił ramię Native'owi tak brutalnie, że gdyby Native nie przytrzymał się drugą ręką, to by spadł ze stołka. – I zaraz się wezmę do ciebie – dodał tym samym spokojnym tonem.

Native szeroko się uśmiechnął. Mierzyli się obaj wzrokiem.

– Dlaczego, Clyde? – zapytał uwalniając rękę. Wciąż jeszcze myślał, że to są, jak zwykle, chamskie żarty Clyde'a. – O co chodzi?

Clyde nie odpowiedział, tylko grymas złości wykrzywił mu twarz.

– Czy nie naprawiłem ci radia, i radio nie działa? Powiem ci, co zrobić. Potrząśnij nim, aż zagrzechocze, i zwymyślaj go. Wymyślanie łatwo ci przychodzi. A zrugane, odporne radio weźmie się do roboty jak ta lala. Idź do domu i spróbuj zrobić, co ci poradziłem. Potem mi powiesz, czy pomogło.

Clyde popchnął Native'a w stronę baru wykręcając mu przy tym rękę.

– Idź do cholery! Nie chodzi o zasrane radio.

Uśmiech na twarzy Native'a stopniowo zwięzał się i tylko jego resztki błąkały się w kącikach ust.

– Jeżeli radio dobrze działa, to powinienes mi zapłacić za naprawę. Należy się. Tak umówiliśmy się, pamiętasz? Powiedziałeś, że zapłacisz, co mi jesteś winien, jak się upomnę, więc się upominam. Jeśli nie masz drobnych, to Ed Howard ci zmieni. A ja wydam zaraz tę forszę. Mogę nawet zafundować ci piwo.

– Już ci powiedziałem, że nie chodzi o przekłete radio – grzbietem ręki otarł usta. – Słyszałeś, co powiedziałem?

– To o co ci chodzi?

– Chodzi mi o ciebie i twoje kręctwa! Niech cię cholera! Przez ciebie wylano mnie z pracy! O to mi chodzi! To twoja robota!

– Co ja takiego zrobiłem?

Clyde odwrócił się i splunął na podłogę.

– Wiesz dobrze, cholerniku, coś zrobił! I nie próbuj mnie bujać, bo dobrze wiem. Poszedłeś wczoraj do dzielnicy murzyńskiej, zabrałeś tę nie dofarbowaną Murzynkę i ukryłeś ją przede mną. Postąpiłeś tak, jakby ta dziewczyna była twoją własnością. Gdy się tam zjawilem, żeby ją zamknąć, i nie znalazłem jej, przypuszczałem, że ten młody czarnuch ją ukrywa i mnie okłamuje. Nie mógł mi powiedzieć, gdzie jest ta

dziewczyna, co mnie doprowadziło do szewskiej pasji. I dlatego ten chłopak zginął. Nic by mu się nie stało, gdybyś ty pilnował swojego nosa. Wobec tego, jeszcze jeden Murzyn padł z mojej ręki, w mieście zrobił się okropny smród i oskarżono mnie o zabójstwo. Grover Glover zdarł mi oznakę zastępcy szeryfa i wylał z pracy. Teraz jestem bezrobotny. Gdyby nie twoje matactwa, gdybyś jej nie ukrył, byłbym nadal zastępcą szeryfa. Niech cię szlag trafi!

Al Didd wszedł do baru w czasie, kiedy Clyde krzyczał i wściekał się, i wszystko słyszał. Obawiając się, że Clyde może zrobić jakieś głupstwo, szybko podszedł do baru. Clyde z rozmachem uderzył Native'a pięścią w twarz.

Cios był tak silny, że zwałił ze stołka Hunnicutta, który rozciągnął się jak długi na podłodze i leżał ogłuszony.

Clyde chciał obcasem zmiażdżyć twarz Native'a, lecz Al i Tłuścioch zdążyli go odepchnąć. Równocześnie inni mężczyźni otoczyli Clyde'a i odciągnęli go.

Kiedy Clyde znalazł się na środku sali, zaczął młócić pięściami mężczyzn, którzy stali w pobliżu.

– Niech się nikt do mnie nie waży zbliżyć – ostrzegł. Otarł usta grzbietem dłoni i powiódł wściekłym spojrzeniem po sali. – Słyszeliście? Nie ważcie się mnie ruszyć!

Cofając się w stronę drzwi, wyciągnął z kieszeni nóż.

– Poderżnę gardło każdemu, który mnie tknie, i nie będę się z nikim patyczkował.

– Nie bądź idiotą, Clyde – powiedział któryś z mężczyzn.
– Schowaj ten nóż i zamknij gębę. Już dosyć narozrabiałeś. Uspokój się i zjeżdżaj.

Clyde wprawnie otwarł nóż. Błysnęło ostrze.

– Niech tylko któryś mnie ruszy, przysięgam na Boga, rozpruję mu flaki i rozdepczę na podłodze – oświadczył. – Wściekłem się i wcale nie żartuję.

– Uważaj, Clyde – odezwał się jeden z mężczyzn – bo narobisz sobie jeszcze większych kłopotów, jeśli tak będziesz pyskował i popełnisz jakieś świństwo. Przestań wariować i schowaj nóż. Wynoś się stąd i ochłoń na świeżym powietrzu.

– Wiem, co robię. I nikogo się nie boję.

Ed Howard wyjął z szuflady pistolet i wycelował w Clyde'a.

– Zjeżdżaj, Clyde Hefflin – powiedział. – Prowadzę przyzwoity lokal i dalej nim będzie. Jeśli mnie nie posłuchasz, to pod groźbą pistoletu zatrzymam cię i wezwę policję, niech cię zabiorą. A jeśli trzeba będzie, strzelę. A teraz wynoś się, póki możesz wyjść na własnych nogach.

– Nie strasz, nie strasz.

– Ano zobaczymy. Ed sięgnął po telefon.

Wymachując nożem Clyde cofał się do wyjścia.

– Jeszcze dostanę tego skurwysyna – powiedział patrząc w stronę Native'a. – Drugi raz nie uda mu się schować przede mną tej nie dofarbowanej Murzynki. Tak go załatwię, że nie będzie miał jaj, podobnie jak ich nie ma kij miotły. Poradzę sobie z nim. Nikomu, kto mi zrobi taką grandę, nie ujdzie to na sucho. Niech mi się tylko nawinie. Dostanie za swoje!

Wszyscy milczeli zdjęci zgrozą. Nikt się nie odezwał, aż Clyde cofając się wyszedł z lokalu i zniknął im z oczu.

Ed Howard schował pistolet do szuflady i zatrzasnął ją z hukiem.

– Jak można być tak podłym? – ktoś zapytał.

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie – odparł inny. – I jeszcze jednej rzeczy nie wiem. Jak długo taki podlec może żyć? I nie będę się bawił w przepowiednie, ale byłbym idiotą twierdząc, że facet ma szansę.

Po podnieceniu, jakie Clyde wywołał w lokalu Eda, zapanowała cisza i nikt nie miał nic do powiedzenia. Umilkły głośne rozmowy i pobrzękiwanie automatów do gry. W barze panowała cisza jak w niedzielę rano, kiedy lokal jest zamknięty.

Goście bez słowa pili piwo przy barze rozmyślając o tym, co się przed chwilą wydarzyło. Ledwie Clyde wyszedł, do Tłuściocha Lattimore'a zadzwoniła żona i dała mu kwadrans na powrót do domu, jeśli chciał dostać kolację i nie spać samotnie tej nocy, wobec czego Tłuścioch szybko ruszył w drogę.

Pozostali goście, jeden po drugim, wstawali i szli do domu na kolację. („Nikt nie musi mi mówić, kiedy pora wracać do domu. Wystarczy, że popatrzę na obraz wielkiej, tłustej niewiasty kąpiącej się w maleńkiej wannie. Moja żona coraz bardziej mi ją przypomina. Nadejdzie dzień, że przestanę je odróżniać.)

Minęła godzina, zanim ktoś poprosił Eda, żeby mu zmienił ćwierć dolara, i znów dał się słyszeć brzęk automatu do gry.

Ed stał za barem, blisko telefonu. Zapowiedział, że jeśli Clyde wróci, wezwie policję jak tylko zobaczy jego twarz w drzwiach. Znów wyjął z szuflady pistolet i położył go pod ręką, aby się nim posłużyć w razie potrzeby.

Al Didd dopił piwo i po raz ostatni spojrzął na obraz w złoconych ramach wiszący na ścianie.

– Zrobiło się późno, muszę już iść do domu – powiedział. – Wszystko jedno, kiedy wrócę, żona zrobi mi awanturę, wobec tego trzeba iść i mieć to z głowy. – Wstał ze stołka i położył rękę na ramieniu Native'a. – Podwożę cię do domu. Nie możesz wracać sam w nocy. Byłoby to szaleństwem po tym wszystkim, co nagadał Clyde. No już, jedziemy.

Ed Howard pokiwał głową z aprobatą.

– Musisz być rozsądny– powiedział do Native'a. – Nie wolno ci ryzykować. To niebezpieczne. Jedź do domu z Alem. Nie chcę stracić tak dobrego klienta.

Wyszli z lokalu i wsiedli do samochodu Ala. Minęła godzina dziewiąta, a że nie była to sobota, wszyscy mieszkańcy Palmyry wrócili już do domów. Wygaszono oświetlenie okien wystawowych, nawet wielki neon nad bankiem już się nie świecił. Plac przed sądem opustoszał. Latarnie uliczne znajdowały się tylko na rogach ulic, ich światło było mętne. Na ulicach panował półmrok. Brad Grady, policjant na nocnej służbie, zwykle patrolował ulice

samochodem albo też pił kawę w kawiarni otwartej całą dobę, ale dzisiaj można go było spotkać w innej dzielnicy miasta.

Al ruszył i pojechali przez plac w stronę Małego Gaju. Mijali domy, w których mieszkańcy wygasili już światła, i tylko gdzieś palily się lampy.

– Na twoim miejscu – zwalniając powiedział Al – przez parę następnych nocy siedziałbym kamieniem w domu i nie wychodził na ulicę, gdy zapadnie zmrok. Nic lepszego nie możesz zrobić. Musi minąć kilka dni, zanim Clyde Hefflin ochłonie, a może będzie miał tyle oleju w głowie, że wyjedzie na Florydę łowić ryby. Nie wiadomo jednak, ile zdrowego rozsądku ma taki facet, a teraz znajduje się w niebezpiecznym nastroju. Wszystkiego się można po nim spodziewać. Widziałem już go w takim stanie i jedyną mądrą rzeczą jest zejść mu z drogi, podobnie jak wściekłemu psu, który biegnie w naszą stronę ulicą.

– Może masz rację, Al – odparł po chwili namysłu Native. – Ale nigdy w życiu nie robiłem takich uników. Nie jest w mojej naturze tchórzliwie się wycofywać.

– Wcale nie jesteś tchórzem. Możesz mi wierzyć, Native. Chodzi o to, żeby postępować ostrożnie i bronić własnego życia. Tak należy na to patrzeć. Kiedy złe skłonności dochodzą u Clyde'a do głosu, rozsądny człowiek schodzi mu z drogi i czeka, aż Clyde się uspokoi. Sam o tym. wiesz.

Native milczał. Wkrótce ujrzeni budynek straży pożarnej.

– Na pewno nie życzę sobie, aby w ciemną noc skoczył na mnie z nożem i rozpruł mi flaki. Nie jestem taki głupi. Nie zdążyłbym opowiedzieć, co mi się zdarzyło.

– I jeszcze jedno powinienes zrobić – z powagą radził Al.
– Siedzieć cicho i nie zgłaszać się na policję. To bardzo ważne. Jeśli Clyde się dowie, że zameldowałeś na policji, iż ci groził, z pewnością się z tobą porachuje. Taki już jest. Ustawicznie ma do kogoś pretensje. Obojętne – czarny czy biały. Im dłużej ma pretensje, tym bardziej staje się zażarty. A jednak Clyde nie może być do cna zły, własna matka na pewno go kocha, tylko dobre odruchy zdarzają mu się bardzo rzadko. Czasem zastanawiam się, skąd biorą się tacy ludzie, bo choć wielu ich ginie, zawsze ostanie się paru, żeby rozrabiać. Jestem pewny, że w Palmyrze znalazłoby się niemało takich, którzy policzyliby się z Clyde'em przy pierwszej okazji. Zwłaszcza po tym, co się stało zeszłej nocy w murzyńskiej dzielnicy.

Al zatrzymał się w świetle latarni na rogu Małpiego Gaju.

– Powinienes w nocy zamknąć drzwi na klucz – powiedział do wysiadającego z samochodu Native'a. – I nie otworzyłbym, gdybym nie miał absolutnej pewności, kto przyszedł. Taki facet jak Clyde Hefflin nie cofnie się przed żadnym podstępem. Jeśli tylko mu się uda, wykantuje cię, zanim zorientujesz się, o co chodzi.

Native zamknął drzwi samochodu i przeszedł na drugą stronę.

- Jedno nie ulega wątpliwości - powiedział z uśmiechem. - Jeśli Clyde zastuka do drzwi, będę pewny, że nie przyszedł zapłacić za moją robotę. Jeszcze nie dał mi centa, mimo że tyle razy naprawiałem mu radio. Ale to się skończyło.

- Być może nadszedł czas, że już nie będzie cię kantował. A cały dług możesz spisać na straty.

- Dlaczego tak uważasz?

- Tak mi się po prostu zdaje.

Al Didd odjechał. Native ruszył wąską uliczką w stronę domu. W świetle latarni niewiele było widać, ale Native znał na pamięć wszystkie kałuże, omijał je po ciemku i nie zabłocił obuwia. W pół drogi oczy przywykły do ciemności. Native ujrzał zarys dachu swego domu na tle rozgwieżdżonego nieba.

Kiedy znalazł się o parę stóp od drzwi, zobaczył, że w cieniu domu ktoś siedzi na progu. Stanął jak wryty.

Był zaskoczony, serce waliło mu jak młotem, nagle rozboleła go głowa. Ze strachu drżał na całym ciele. Nikt się nie poruszył, ani nie odezwał. Native pamiętał, co mu radził Al Didd, ale jeszcze nie wszedł do domu, nie mógł więc zamknąć drzwi na klucz, Zastanawiał się, co zrobić, kiedy postać siedząca na progu wstała.

– To ja, Josene.

Z ulgą usłyszał znany głos, ale wciąż nie był w stanie odezwać się do niej.

– Drzwi były zamknięte, czekałam więc tutaj, aż wrócisz – powiedziała Josene. – Dobrze, że wcześniej wróciłeś. Noc jest zimna.

Podeszła do niego. Pulsujący ból w głowie ustępował, ale wciąż czuł drżenie w osłabionych ramionach i nogach.

– Co się stało? – spytała Josene z troską w głosie. – Nic nie mówisz. Czy wszystko w porządku?

Dotknął jej ciepłego ramienia, poczuł, jak zimną ma rękę.

– Josene... nie wiedziałem, że jesteś tutaj.

Zastanawiał się, czy ma jej powiedzieć, że pogrożki Clyde'a Hefflina podziały na niego przygnębiająco. Postanowił pominąć tę sprawę milczeniem.

– Byłem zaskoczony, gdy cię tu ujrzałem. Myślałem o czym innym, nie wiedziałem...

– Czy ci przeszkadzam? – zapytała.

Wyobraził sobie, co by się stało, gdyby zamiast Josene czekał na niego Clyde.

– Czy ci przeszkadzam? – powtórzyła.

– Ależ nie, bynajmniej. Cieszę się, że przyszałaś.

Otworzył drzwi i weszli do ciemnego domu. Native pamiętał o zamknięciu drzwi na klucz. Przekreślił kontakt.

– Powiedziałam, że nie wrócę tu i nie zobaczę cię więcej... Ale musiałam zobaczyć cię jeszcze raz.

Native odwrócił się i spojrzał na nią.

Widać było, że płakała. Pamiętał, że dziś miała wyjść za Harveya Browna. Chciał powiedzieć jej coś pocieszającego, ale nic nie przyszło mu na myśl. Przypomniał sobie, że Josene oświadczyła mu, że nigdy już nie będą razem.

W pokoju było zimno, Josene narzuciła czarny sweter na ramiona, Native włączył piecyk elektryczny.

– Słyszałem, że szykujesz się do wyjazdu z miasta – rzekł.

Szybko przeszła przez pokój i stanęła obok niego w ciepłe piecyka.

– Skąd wiesz?

– Ktoś mi powiedział.

– To prawda.

– Kiedy?

– Jutro.

Przysunął dwa krzesła bliżej piecyka.

– Rano ma się odbyć pogrzeb Harveya. Bezpośrednio po pogrzebie wsiądę z Ellen do autobusu. – W jej oczach błysnęły łzy. – Babcia Maddox pojedzie na wieś i zamieszka z moją mamą. Nie chciała zostać w Palmyrze. Boi się... po tym, co się stało wczoraj w nocy.

Native milczał przez chwilę. Siedział ponuro wpatrzony w jarzący się piecyk.

Josene pochyliła się i położyła rękę na jego ramieniu.

Nagle odwrócił się i spojrzał na nią.

– Dokąd jedziesz jutro, Josene?

– Do Jacksonville.

– Po co?

– Bo chcę tam jechać.

– Tak postanowiłaś?

– Właśnie.

– Ale nie znasz tam nikogo.

– Nie boję się tego.

Odwrócił wzrok i znów wpatrywał się w piecyk.

– Kiedy wracasz?

– Nie zamierzam wrócić.

– Dlaczego?

Zwlekąca z odpowiedzią.

– Pytam się: Dlaczego nie zamierzasz wrócić?

– Bo nie mam do czego wrócić.

Native długo milczał, kiedy usłyszał tę odpowiedź. Nie mogli spojrzeć sobie w oczy. Oboje siedzieli wpatrzeni w jarzący się piecyk. Wreszcie Native zaczął nerwowo kręcić się na krześle i założył nogę na nogę.

– Poważnie mówisz, że nigdy tu nie wrócisz?

– Tak, poważnie. Na to nie ma rady.

– Ale mogłabyś tu zostać, gdybyś chciała. Nie musisz wyjeżdżać – spojrzał na nią z wyrazem nadziei. – Chciałbym, żebyś wróciła. Żylibyśmy z sobą tak jak dotąd.

– Nie – odparła patrząc mu w oczy i potrząsając głową.
– To niemożliwe. Nic na to nie poradzimy.

– Dlaczego niemożliwe?

Spojrzała w przestrzeń.

– Josene, dlaczego?

– Ponieważ ludzie nie pozwolą nam żyć razem. Wiesz o tym dobrze. A tylko pod tym warunkiem mogłabym zostać

tutaj. Gdybyśmy nawet próbowali spędzać tylko noce z sobą, coś straszego by się stało. Nie wiem co, ale wiem, że byłoby to straszne. Tak jest. I tego się nie da zmienić. Ty jesteś biały, a ja nie całkiem biała – i zawsze będę się różnić od ciebie. Taka się urodziłam. Dlatego ludzie w Palmyrze nie pozwolą nam żyć razem. Jestem kobietą i nie mogę żyć inaczej. Teraz nie mogłabym żyć bez ciebie. To jest głos mego serca.

Kiedy znów się odezwała, poczuł jej rękę na swym ramieniu.

– Ale gdzie indziej moglibyśmy żyć razem... nawet się pobrać... a ludzie uważaliby, że jestem dostatecznie biała.

– O, nie! To nie ze mną! – odparł szybko. – Nie mógłbym mieszkać nigdzie na świecie, tylko tu, gdzie mieszkam od urodzenia. Boję się wyjechać z Palmyry.

– Nawet ze mną?

Potrząsnął głową.

– Nie mógłbym żyć wśród obcych, gdzie nie znam żywej duszy.

– Mam dosyć pieniędzy. Moglibyśmy zamieszkać, gdzie chcemy. Nie musiałbyś się martwić o pieniądze. Dałabym ci wszystko, co mam.

– O, nie! To nie dla mnie! Na całym świecie nie ma tyle forsy, żeby wyrwać mnie stąd i przenieść do obcego miasta, gdzie nikogo nie znam.

Native podszedł do piecyka i patrzył na Josene, grzejąc sobie plecy i nogi. Spojrzała na niego, jeszcze pełna nadziei.

– Gdyby ci tak zależało na mnie, jak mnie na tobie...

– Mówiłem ci, że nie mogę wyjechać. Obojętne dokąd. Po prostu nie mogę. Czułbym się jak zabłąkany pies, który nie może mówić i spytać o drogę do domu.

– Ale ja bym ci pomogła. Wiesz o tym. Zrobię wszystko, żebyś się dobrze czuł. Bylibyśmy przez cały czas razem.

Jakby w obawie, że da się skusić, stanowczo potrząsał głową.

– Mieszkałem całe życie w Palmyrze i nie mógłbym żyć w dalekim mieście, wśród obcych. Nie czułbym się dobrze daleko od domu. Żyłbym w strachu, że nie mogę powrócić. Byłbym odcięty od domu i nie miał klucza, Mój tatuś był taki sam. Przez całe życie nie opuścił domu. Mówił, że bałby się śmierci w obcym miejscu. Chciał być pochowany tam, gdzie leżą Hunnicuttowie.

– Proszę cię, daj spokój swojemu tatusiowi. Mogłabym uchronić cię od tych myśli. Gdybyś tylko pozwolił mi...

– Nie mówmy o tym więcej – przerwał Native brutalnie, odsuwając się od niej. – Nie chcę o tym słyszeć.

Podszedł do warsztatu po drugiej stronie pokoju i patrzył na rozrzucone narzędzia, starając się zapomnieć, do czego namawiała go Josene. Zebrał szczypce i śrubokręty i niedbale rzucił je na zwoje drutów i radiowych lamp.

Kiedy wrócił do piecyka, Josene ocierała z oczu łzy. Udawał jednak, że nie zauważył tego.

– Co ci powiedział Dalton Burrows dziś rano? – zapytał obcesowo po dłuższej chwili milczenia. – Jeszcze mi o tym nie mówiłaś.

Josene przestała płakać.

– Poradził mi, żebym wyjechała z miasta i nie wracała.

– Czy dlatego wyjeżdżasz? Bo tak ci kazał Dalton? – zapytał ostrym tonem.

– On jest adwokatem. Kazałeś mi iść do niego i on tak mi poradził.

– Ale wcale nie musisz go słuchać. Możesz zostać, jeśli zechcesz.

– Nie chcę zostać. Chcę wyjechać.

Odwracając głowę i unikając jej wzroku usiadł naprzeciw piecyka.

– Co jeszcze powiedział Dalton?

– Powiedział to, czego się spodziewałam.

– To znaczy co?

– Podejrzewa, że jest moim ojcem. Uważam, że jest tego pewien. Dlatego dał mi pieniądze, żebym wyjechała i nie wróciła – więcej pieniędzy, niż mogłoby mi się przyśnić. Wystarczy na utrzymanie Ellen i mnie przez dłuższy czas, jakbym nie dostała pracy. Byłoby dość dla nas wszystkich, gdybyś pojechał ze mną. Wiem, dlaczego to zrobił. Obawia się, że jeśli zostanę w Palmyrze, ludzie dowiedzą się przed wyborami, że jestem jego córką. Dalton na pewno mnie lubi, ale boi się...

– Powiedziałaś mu, że wiesz, iż jest twoim ojcem, że matka powiedziała ci o tym?

– Nie. Po co miałabym mówić? Nic dobrego by z tego nie wynikło. Będę w dalszym ciągu Murzynką. To się nie zmieni. Chciałabym, by został wybrany senatorem. Będzie nadal moim ojcem. To się także nie zmieni. Będę z niego dumna, a Ellen będzie dumna, że ma takiego dziadka. Zawsze chciałam poznać ojca. Teraz już go znam.

Josene zasłoniła twarz dłońmi. Łkała spazmatycznie jak małe dziecko, potem zaczesła gładkie brązowe włosy do tyłu i próbowała się uśmiechnąć.

– Rozbeczałam się mimo woli – powiedziała z uśmiechem. – Nie mogłam wstrzymać łez. Tak się ucieszyłam, że pozwoliłeś mi rozmawiać z sobą i opowiedzieć o moim ojcu. Musiałam o tym powiedzieć komuś, najchętniej tobie. Wiedziałam, kto jest moim ojcem, widywałam go często na ulicy, ale nigdy nie odezwał się słowem. A teraz przemówił do mnie po imieniu. Byłam tak szczęśliwa, że chciało mi się płakać, ale się bałam. Zawsze będę pamiętać wszystko, co mi powiedział i jak się uśmiechał patrząc na mnie. Właśnie tak wyobrażałam sobie ojca. Teraz przez całe życie będę myślała i pamiętała o nim. Chciałabym tylko jak najczęściej go widywać.

Wstała z krzesła.

– Muszę wracać do domu. Teraz wiesz, dlaczego czekałam na ciebie. Chciałam ci powiedzieć, jaka jestem wdzięczna, że posłałeś mnie do ojca.

Josene ukryła twarz przed nim, odwróciła się i skierowała ku drzwiom.

– Zaczekaj – powiedział Native. – Odprowadzę cię. Byłoby nieostrożnie, gdybyś tak późno w nocy znalazła się sama na ulicy.

Zgasił światło, wyszli z domu. Native zamknął drzwi na klucz. Nie zapomniał przestróg Al Didda, żeby nie wychodził po zapadnięciu zmroku na ulicę. Chciał mieć pewność, że Josene bezpiecznie dostanie się do domu. A poza tym miał

jeszcze nadzieję, że Josene zmieni zdanie i nie wyjedzie z miasta.

Bez słowa doszli do końca Małpiego Gaju, minęli budynek straży pożarnej i przeszli przez tor kolejowy. Na ulicach nie spotkali nikogo, w oknach było ciemno. Nie podeszli do domu Josene od frontu, tylko uliczką prowadzącą do wejścia od podwórza.

Całą drogę milczeli, jakby się obawiali tego, co się z nimi stanie. („Kochasz kogoś z całego serca, długo żyjecie z sobą razem w małżeństwie lub na kocią łapę, a potem jedno odchodzi i już nigdy się nie zobaczycie. Tak, to jest okropne. Znaczący to, że straciłeś coś, na czym ci bardzo zależało i czego nigdy już nie odzyskasz. Widzieliście, jak duży chłopiec odebrał cukierka malcowi i zjadł go? Jeśli coś podobnego zdarzyło ci się w dzieciństwie, pamiętasz, jaki to był cios dla ciebie. Teraz pomnóż to przez lata, które upłynęły od czasu, kiedy spotkała cię owa przygoda, a będziesz miał pojęcie, jaki czeka cię ból po utracie drogiej osoby.”) Josene bez słowa zarzuciła mu ramiona na szyję i rozpaczliwie przytuliła się do niego. Poczuli łzy na jej policzkach. Drżała na całym ciele.

– Nie chciałam odjechać. Wolałabym, żeby było inaczej, ale to niemożliwe. Wiesz, dlaczego muszę stąd uciec. Na to nie ma rady. Tutaj nie dostanę pracy i ludzie nie daliby nam żyć razem. Posłucham rady ojca. Ale nigdy, przenigdy nie zapomnę o tobie. Póki mego życia.

Pomału uwolniła go z uścisku.

– Będiesz o mnie pamiętać zawsze? Powiedz, że będziesz.

– Będę pamiętać, Josene. Nie mogę zapomnieć. A jeśli wrócisz...

– Nie. Nie mów tak. To niemożliwe. Myśl o tym sprawia mi ból. Nie wrócę nigdy. – Jeszcze raz się do niego przytuliła. – Ale gdybyśmy gdzieś razem wyjechali... i mogli żyć razem...

Stała wstrzymując oddech tak długo, jak mogła. Nagle odwróciła się i otworzyła drzwi. Nie miała nic więcej do powiedzenia.

Kiedy Josene weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi, Native zawrócił i gdy szedł potykając się w ciemnej i wyboistej ulicy, uświadomił sobie, że jego życie straciło sens. Przez rok spał z Josene noc w noc i zdawało się, że tak będzie bez końca. Teraz wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Szedł wolno w stronę domu. („Nigdy nie powiedziała mi, kto był ojcem Ellen, a ja się bałem zapytać. Często jednak o tym myślę. Pewnej nocy szedłem w stronę toru kolejowego... Ktoś tam stał... Było ciemno, nie widziałem, kto to był, nie chciała podać nazwiska, powiedziała tylko, że czeka na mnie... Teraz im więcej myślę o tym, jak mówi mi o Ellen, czy też jak prosiła, bym wyjechał z nią i z jej dziewczynką...”)

Była północ, gdy Native wrócił do Małpiego Gaju. Latarnie uliczne jeszcze bardziej przygasły, a miasto było

opustoszałe i martwe. Native czuł się tak nieszczęśliwy, że pomyślał o Hefflinie dopiero, gdy doszedł do straży pożarnej. Ale wcale się go nie bał.

Wolno idąc uliczką, zobaczył, że ktoś siedzi na progu jego domu. Przystanął. Zaczęły mu drżeć ręce, a potem drżał na całym ciele. Był gotów odwrócić się i wiać co sił w nogach.

– To ja, Al Didd.

Native rozpoznał głos Ala, ale ostrożnie zbliżał się do domu.

– Gdzie byłeś? Dlaczego nie posłuchałeś mej rady i nie zostałeś w domu?

– Chciałem się trochę przejść.

– Po co? Obiecałeś, że będziesz siedział w domu i zamkniesz drzwi na klucz. Ale wszystko w porządku, wejdźmy i ogrzejmy się. Mam ci coś do powiedzenia.

Native otworzył drzwi i zapalił światło. Al podszedł do piecyka, by ogrzać ręce. Uśmiechał się beztrósco.

– Dlaczego wróciłeś tak późno w nocy? – zapytał Native.
– To chyba już północ.

Al odwrócił się.

– Ktoś go dostał, mniej więcej godzinę temu – stwierdził z wymownym uśmiechem.

– Co się stało?

– Właśnie. Dostali go.

– Kto kogo dostał?

– Clyde’a Hefflina. To fakt. Nie ulegający wątpliwości. Brad Grady patrolował w policyjnym wozie uliczkę za piwiarnią Eda Howarda i znalazł Hefflina na ziemi martwego jak zeszłoroczny kaczan kukurydzy.

Native usiadł.

– Czy to pewne? – zapytał.

– Tak pewne jak to, że niedziela przypada raz w tygodniu. Pomyłka wykluczona. To fakt. I możesz mi wierzyć, ktokolwiek to zrobił, działał na pewniaka. Miał dwa pistolety, na wypadek, gdyby jeden nie starczył. Brad stwierdził, że Clyde’owi wpakowano osiem kul od stóp do głowy. Czysta robota. Osiem dziur i nic więcej. Ani jednego ciosu nożem, ani kropli krwi. Sprawniej nie dałoby się tego zrobić.

– Kto go załatwił?

Al uśmiechnął się.

– Tego nikt nie wie i może nigdy się nie dowiemy. Ktokolwiek to zrobił, nie będzie gadał. I tak powinno być. My wszyscy możemy snuć domysły, czasu mamy wiele. Może to był ktoś z murzyńskiej dzielnicy, a może biały. Twoje domysły są tak samo dobre, jak moje. Wszystko to nie ma znaczenia,

bo Clyde Hefflin rozstał się ze światem. Powiem tylko tyle, że na to sobie zasłużył, i Bóg świadkiem, że się doczekał.

Native wpatrywał się w rozpalony piecyk. Al usiadł w wielkim fotelu.

– Jedno powinienesz wiedzieć. Luke Moss albo inny policjant będzie w tej sprawie przepytawał. Bo jak zostanie zabity biały, to musi być przeprowadzone dochodzenie. Policja może być ciekawa, gdzie byłeś przez ostatnie dwie lub trzy godziny. Pamiętam, że krótko po dziewiątej rozstałem się z tobą na rogu ulicy, i to mogę zeznać pod przysięgą. Ale co się stało potem, czy możesz powiedzieć, czy masz świadka?

– Przeważnie byłem tutaj, potem wyszedłem na spacer.

Al pochylił się do niego.

– Ale nie wybrałeś się na spacer w uliczkę za lokalem Eda Howarda?

– Nie, szanowny panie! Wykluczone!

– Czy możesz to udowodnić, jeśli Luke Moss zada ci wiele pytań?

– Mógłbym udowodnić, ale nie chciałbym. Raczej będę siedział cicho, jeśli Luke Moss nie będzie zbyt ciekawy. Mam osobiste powody, żeby nie wymieniać nazwisk.

– Domyślam się, o co chodzi – Al skinął głową. – Każdy mężczyzna ma prawo do tajemnicy w sprawach łóżkowych. A jednak gdybyś miał świadków...

Native zaczął spacerować po izbie.

– Co im powiesz? – nalegał Al.

– Nie wymienię żadnego nazwiska, bez względu na skutki, bo jak bym to zrobił, mogliby jutro nie wypuścić jej z miasta i zatrzymać w charakterze świadka. Wtedy zamkną ją do rozprawy. Nie opuściłaby miasta, ale nie mogę jej tego zrobić. To by było nieładnie. Nie mógłbym tak postąpić, bo stanowczo chce wyjechać.

– Ano, jeśli tak uważasz...

– Prawdę mówiąc, nie bardzo tak uważam. Chciałbym z nią wyjechać, ale coś mnie trzyma i nie mogę się zdecydować. Ilekroć słyszę o wyjeździe, ogarnia mnie strach przed opuszczeniem rodzinnego miasta i przeniesieniem się w nieznane strony. Jest to ten sam strach, jakiego doznają niektórzy, kiedy się wspinają na wysoką górę albo kiedy ktoś ich zamknie w ciemnym pokoju. Po prostu muszę tu zostać, zaufać swojemu szczęściu od tej chwili i mieć nadzieję, że wszystko ułoży się jak najlepiej. Chyba taki się urodziłem.

– Rozumiem, że chcesz zostać blisko domu. Ja też jestem przywiązany do miejsca. Może ktoś obcy tego nie rozumie, mnie jest dobrze tutaj, w Palmyrze. Takie życie jest

mi pisane. Ci, którzy nie potrafią znaleźć sobie miejsca, nie potrafią żyć jak należy.

Native Hunnicutt odsunął na bok narzędzia i wstał od stołu. Było wczesne popołudnie ponurego jesiennego dnia. Pozostało jeszcze dużo roboty, którą przyrzekł wykonać tydzień temu, ale dłużej już pracować nie był w stanie. Siedział pochylony nad warsztatem od rana, nogi mu zeszywniały, plecy go bolały. Kopnął śmieci na podłodze i przeszedł do drugiej izby.

Otworzył drzwi szafki i spojrział na stojące na półce puszki fasolki chili i spaghetti. Jedno spojrzenie wystarczyło.

– Nie, szanowny panie! To nie dla mnie! – powiedział głośno do siebie. – Zszedłbym na psy, gdybym się znów zabrał do tych puszek.

Zatrzasnął drzwi szafki tak mocno, że puszki zagrzechotały na półce. Widok tych jaskrawo czerwonych i żółtych puszek ułatwił mu powzięcie decyzji. Już wiedział, co ma zrobić. Był głodny od rana i długo wytrzymał bez jedzenia. Przyszły mu na myśl hamburgery Eda Howarda, ale po zastanowieniu doszedł do wniosku, że nawet ogromny hamburger nie zaspokoi ssącego głodu.

Odszedł od szafki, pochylił się nad miednicą i polał sobie głowę wodą. Potem przeglądając się w lustrze

wiszącym na ścianie, starannie uczesał włosy piaskowego koloru i zrobił przedziałek. Kiedy już był zadowolony ze swego wyglądu, podciągnął spodnie, docisnął pasek zapięty na klamrę i włożył niebieską wiatrówkę. Wychodząc obojętnie spojrzął na warsztat, wątpiąc, aby chciało mu się jeszcze kiedykolwiek reperować popsute radia, elektryczne tostery i stołowe lampy.

Zamknął drzwi na klucz i szybciej niż zwykle poszedł do końca Małpiego Gaju, a potem uliczką biegnącą za Cherry Street. („Oho, Native Hunnicutt znów idzie do Maebelle Bowers. Wiadomo, co będzie tym razem. Pewne jest wszakże, że na wszystko można patrzeć z dwóch punktów widzenia. Jedni chwalą Native'a i Maebelle, że przyczynili się do tego, co spotkało Clyde'a Hefflina. Inni mają im za złe, że stali się sprawcami śmierci Harveya Browna i wygnania z miasta Josene Maddox. Ja natomiast uważam, że jak się stanie coś dobrego, to równocześnie możemy oczekiwać czegoś złego. I sądzę, że należy się pogodzić z tym, że temu, co dobre, towarzyszy zawsze złe, a my powinniśmy się starać, ażeby dobro wzięło górę nad złem.”)

Było przejmujące chłodne popołudnie, a niebo zachmurzone. Zapowiadał się przed nocą jesienny deszcz. O tej porze roku należało się spodziewać zimnych deszczy, przejmujących północnych wiatrów i mroźnych nocy. Przygotowując się do zimowej pogody wielu mieszkańców miasta rozpałiło ogień w piecach i kominkach już wczesnym

popołudniem i wąskie pasemka niebieskawego dymu unosiły się nad domami i wierzchołkami drzew.

Native przyspieszył kroku. Zanim otworzył furtkę prowadzącą do domu Maebelle, przystanął, żeby odsapnąć. Nad ogrodzeniem ujrzał dym łagodnie wznoszący się z komina domu z czerwonej cegły. Podwórze wyglądało spokojnie i gościnnie.

Im dłużej patrzył na ten obraz domowego szczęścia, tym bardziej ulegał nadziei, że Maebelle nie będzie szalała ze złości, nie wyrzuci go, zanim nie powie jej o prawdziwej przyczynie swej wizyty. („Zauważyliście pewnie, że ludzie, którzy chwala się, że są lepsi od Native’a Hunnicutta, a przynajmniej tak im się zdaje, sami usilnie się starają ukryć swe braki. Trzeba podziwiać Native’a takim, jakim jest. Nie można tego powiedzieć o dwulicowych politykach, którzy są tak pobożni w niedzielę, a resztę tygodnia poświęcają na kupowanie głosów i tuszowanie skandali, aby móc zająć stanowiska publiczne. Ludzie tego pokroju nie potrafią poprawnie napisać słowa honor od czasu, kiedy ukończyli nauki w szkole powszechnej.”)

Native otworzył furtkę, starannie zamknął, by nie było pretensji, że zostawił ją otwartą, i wszedł na podwórze, jakby wracał do domu po załatwieniu jakiejś sprawy w mieście, co mu zajęło parę godzin. Przystanął przy stosie śmieci i z zaciekawieniem poszturchał w nim kijem. Jak się tego spodziewał, nic interesującego nie wyrzucono podczas jego

nieobecności. Już po raz drugi nie mógł się nadziwić, że tak bogata kobieta może mieć tak ubogi śmietnik. Widział znacznie lepsze śmietniki, nie wyłączając własnego, w okolicach Małpiego Gaju.

Idąc w stronę ganku rozglądał się po podwórzu, ale nie zauważył żadnych zmian. Wiatr złamał parę konarów wykrzywionej starej akacji, wierzba może się pochyliła jeszcze bardziej ku ziemi, ale winorośl kładła się tak samo, a drewniane krzesła, poszarzałe na deszczu, stały na swoim miejscu. Sztywna trawa rosła bujnie i wymagała przystrzyżenia.

Na ganek od podwórza prowadziło dwanaście drewnianych schodków. Native wbiegł na górę skacząc po dwa schodki.

Bez odrobiny wahania głośno zastukał w drzwi. Wcześniej, niż się spodziewał, gdzieś w głębi mieszkania rozległ się hałas, po czym drzwi lekko się uchyliły.

Przez wąską szparę ujrzał, że Maebelle zerka na niego z obłędem w oczach. Czekał, aż otworzy drzwi na oścież. Gdy to jednak nie nastąpiło, zrobił krok naprzód.

– Jak się masz? – spytał szeroko się uśmiechając. Przechylił głowę i czekał, aż Maebelle go powita.

Nastąpiła długa cisza. Maebelle, wciąż na pół przytomna i wzburzona, zbyt była zaskoczona, by się odezwać.

– Jak się masz, Maebelle – powtórzył śmiało pochylając się naprzód, żeby ją lepiej zobaczyć przez wąską szparę. – To ja, Native Hunnicutt. Tak szybko mnie zapomniałaś?

Pełen nadziei uśmiech ogarnął całą jego twarz.

I znów nastała cisza. Maebelle uchyliła nieco szerzej drzwi i mierzyła spojrzeniem Native'a od stóp do głów, jakby go wciąż nie mogła poznać. Przyciskała do szyi zniszczony szlafrok, kosmyki włosów spadały jej na twarz. Nagle, bez słowa, zatrzasnęła drzwi. Usłyszał, jak przekręciła klucz. Poruszył klamką. Drzwi były zamknięte.

– Maebelle! – zawołał szarpiąc klamką z całych sił. – Znasz mnie! Jestem Native Hunnicutt! Nie mogłaś mnie zapomnieć!

Przestał szarpać klamką i nasłuchiwał. Nie odezwała się. Stał pod drzwiami i zastanawiał się, w jaki sposób dostać się do domu.

Okna były zasłonięte i nie znalazł szczeliny, przez którą można by zajrzeć do środka. Przyszło mu na myśl, że może zajść od frontu i tam spróbować szczęścia, ale doszedł do wniosku, że byłoby to tylko stratą czasu. Wyrzucił sobie, że nie powiedział jej nic więcej, zanim zamknęła mu drzwi przed nosem, ale były to rozmyślenia poniewczasie. Poza tym był przygotowany na to, że Maebelle się rozgada, a on będzie wysłuchiwał połajanek i tyrad. Byle tylko wszedł do domu i dostał coś dobrego do jedzenia.

Robiło się coraz chłodniej. Native trząsał się z zimna, włożył więc ręce do kieszeni, żeby je ogrzać. Dolatywał zapach dymu w podmuchach wiatru i domyślał się, że w salonie na kominku płonie ogień.

Usłyszał szurgot spiesznie przesuwanym krzesła, zatraskiwanie szuflad. Zaczął grzmocić pięściami w drzwi. Po chwili poprzez hałas, jakiego był sprawcą, rozległ się głośny brzęk talerzy wrzucanych do zlewu w kuchni. Pięść prawej ręki rozboleła go, zaczął więc walić w drzwi lewą.

Po krótkiej chwili Maebelle otworzyła drzwi na oścież. Tym razem nie była już podniecona i wzburzona, tylko stała spokojna, uśmiechnięta i pogodna. Zdjęła podniszczony szlafrok, włożyła nową sukienkę w kwiaty. Włosy pośpiesznie uczesała i związała różową wstążką. Na policzkach widoczne były warstwy pudru, którego nie zdążyła równo nałożyć.

– Jak się masz, Maebelle – powiedział skwapliwie. – Bałem się, żeś mnie nie poznała, i dlatego zamknęłaś mi drzwi przed nosem.

Patrzyła na niego mrużąc oczy.

– Czy wiesz, Native Hunnicutt, co powinnam zrobić?

– Co?

– Powinnam ci porządnie nawymyślać za to, żeś się tu zjawił, zapukał do drzwi i całkowicie mnie zaskoczył. W życiu

nie byłam tak zdumiona. Nic też dziwnego, że minę miałam niegęstą.

Mówiła bez cienia gniewu w głosie. Mrużyła oczy i mile uśmiechała się do niego.

– Możesz mi trochę nauragać – odparł. – Do pewnego stopnia byłem na to przygotowany.

– Do czego to podobne, żeby jakaś żywa dusza po tej stronie wielkiego oceanu ujrzała mnie w tym lepkiem od brudu starym szlafroku. Wkładałam go czasem do sprzątaniam, żeby zaoszczędzić porządne sukienki. Gdy otworzyłam drzwi, pewnie zrobiłam na tobie okropne wrażenie. Było mi bardzo przykro, żeś mnie zobaczył w tak niedbałym i niechlujnym stroju. Mężczyzna musi być pobłażliwy, jeśli kobieta czasem tak wygląda. Ale nie zawsze tak wyglądam. Mam nadzieję, że wiesz o tym.

Native szeroko się uśmiechając zrobił ostrożny krok naprzód.

– Czy przyszedłeś odebrać ubrania, strzelbę i wędkę? – spytała trzymając drzwi wciąż szeroko otwarte. – Wiem, że martwiłeś się o te rzeczy. Żeby ci prawdę powiedzieć, nie wyrzuciłam ich, choć się odgrażałam. Wszystko jedno, z jakiego powodu nie zrobiłam tego. Taka już jestem. W każdym razie wszystkie twoje rzeczy leżą nienaruszone w domu.

Przerwała, zmarszczyła brwi. Coś ją nagle zmartwiło.

– Co znowu? – spytał zaniepokojony.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje. Język mi się płacze. Ty się trzęsiesz z zimna. Nie powinieneś stać na takim chłódzie, bo jeszcze mi umrzesz na zapalenie płuc. Wejdźże natychmiast i ogrzej się przy kominku. Właśnie dołożyłam drzewa do ognia. Będzie ci przyjemnie i ciepło. Wejdź.

Szybko przemknął się do halu.

– Mogłoby ci się zdawać, że nie jestem gościnną – powiedziała zamykając drzwi.

Native wszedł za nią do salonu. Skierował się prosto do kominka. Stał przy ogniu, pochylił się w przód i grzał ręce w ciepłe płonących dębowych polan.

Maebelle usiadła i zadowolona czekała, aż się odwrócił, żeby ogrzać sobie plecy.

– Słuchaj Native, zanim się odezwiesz – powiedziała, kiedy spojrzął na nią – coś ci powiem od serca. Nie będę się ani trochę wstydziła wyznać prawdę. Taka już jestem. Nigdy nie ukrywałam swych uczuć. Chcę, abyś wiedział, że przez tych kilka dni byłam strasznie samotna w dużym pustym domu. A jak jestem samotna, to nachodzą mnie szczere myśli.

Uśmiechnął się z wyrazem nadziei. Był pewny, że to, co mówi Maebelle, zapowiada doskonałe jedzenie i zgodę, żeby pozostał i podjadł sobie. Z góry już kiwał głową, gotów przystać na wszystko, co powie Maebelle.

– Nie chcę, żebyś mi robił wyrzuty za to, co się stało – powiedziała z poważną miną. – Jak usłyszałam, że Josene Maddox wyjeżdża z miasta i nigdy tu nie wróci, powzięłam decyzję. Taka już jestem. Powiedziałam sobie, że ja ponoszę winę za to, co się stało. Kiedy bliżej mnie poznasz, przekonasz się, że właśnie taka jestem.

Native słuchał i bez przerwy kiwał głową.

– A teraz niczym się nie przejmuj. Nie będę cię rugać za własne błędy i zaniedbania. To się po mnie nie pokaże. Wiele na ten temat myślałam i doszłam do wniosku, że niesłusznie winiłam cię za to, co się stało, bo było rzeczą całkiem naturalną, że lubiłeś kuchnię Josene. To każdy powinien wiedzieć o mężczyznach. Zdałam sobie już sprawę, że gdybym sama gotowała, spotkałabym się z twoim uznaniem i siedziałbyś w domu, a Josene nie musiałaby wynosić pieczonego kurczaka i pasztetu ze słodkich kartofli. Jedno mi się tylko nie podobało, że nie była ubrana, jak ty jadłeś. Ale wszyscy wiedzą, że kobiety tak właśnie postępują z mężczyznami. Niech ci się nie zdaje, że nie wiem, o czym mówię. Mam dosyć sprytu, wiele na ten temat myślałam i dostatecznie długo żyję, żeby przejrzeć mężczyznę. Wszyscy mężczyźni są pod tym względem do siebie podobni i wszyscy, w gruncie rzeczy, tego samego chcą. A co się tyczy kuchni, to zawsze wybiorą kobietę, która najlepiej gotuje.

– Tatuś mawiał, że najlepsza dla mężczyzny jest kobieta... – zaczął, ale Maebelle mu przerwała.

– Daj mi skończyć – powiedziała groźnie marszcząc brwi. – Przyjdzie twoja kolej, będziesz mówił. Chcę ci powiedzieć, jak to było dziś rano. Więc, po kolei. W samotności wszystko dokładnie przemyślałam. Jak tylko usłyszałam, że Josene ma wyjechać, zadzwoniłam, dziś rano do Millera Hyatta i powiedziałam mu, że chcę, abyś natychmiast wrócił tutaj. Obiecał, że się bezzwłocznie porozumie z tobą. Miller zawsze należał do tych nieznośnych, zwlekających i ociągających się adwokatów, którzy, aby przykleić znaczek na liście, czekają, aż słońce jutro rano wstanie. Nie spodziewałam się, że tym razem tak się uwinie i zaraz cię przyśle do mnie. Dlatego nie byłam ubrana i nie czekałam na ciebie przed drzwiami. Spodziewałam się, że przyjdiesz znacznie później. Niemniej niezmiernie rada jestem, że Miller tak się pośpieszył.

Native potrząsał głową.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Nie masz pojęcia?

– Pierwszy raz o tym słyszę.

– To dziwne.

– Dla mnie też.

– On ci nic nie mówił?

– Kto? Miller Hyatt? Miller nie powiedział mi nawet dzień dobry. Jeszcze go dzisiaj nie widziałem.

Maebelle pochyliła się w fotelu i nerwowo splotła palce.

– No to kto ci powiedział?

– Nikt.

– Wobec tego skąd się dowiedziałeś?

– Czego się miałem dowiedzieć? Nic z tego nie rozumiem i nie wiem, o czym mówisz. Wiem tylko, coś mi teraz powiedziała, i też się nie mogę na tym wyznać.

– No to dlaczego tu przyszedłeś?

– To prosta sprawa. Już się na ten temat wypowiedziałem. Mój tatuś mówił mi, że jeśli mężczyzna chce dobrze sobie podjąć i zagrzać się w chłodne zimowe noce...

– Ale skąd wiedziałeś, że chcę, abys wrócił?

– Tego nie wiedziałem na pewno. Miałem tylko nadzieję, wzdychałem do tego i liczyłem na moje szczęście. Całe rano byłem tak głodny, że musiałem zaryzykować. Niedobrze mi się robi od jedzenia zimnej fasolki chili i spaghetti z puszek, a także hamburgerów Eda Howarda. Przyrzekłem sobie, że będę bezpiecznym żółtym psem z przyczepioną do ogona puszką, jeżeli przełknę jeszcze jeden kęs takiego jedzenia. A to nasunęło mi wielce pochlebne myśli o tobie i wywołało niepokój o świetne potrawy, jakie ty przyrządzasz, ale nie dla

mnie. Spróbowałem więc szczęścia i zapukałem do drzwi od podwórza. I to wszystko. Uważałem, że powinna nadejść wreszcie dobra passa po niepowodzeniach, jakie spotkały mnie przez ostatnie parę dni.

Maebelle głęboko westchnęła i pograżyła się w fotelu. Oczy jej zaszyły mgłą.

– Wierzyć mi się nie chce – powiedziała drżącym głosem. – Mówisz, że wróciłeś z własnej woli, a nie dlatego, że posłałam po ciebie?

– To prawda. Taka prawda, jakiej nigdy nie zdarzyło mi się powiedzieć na jawie lub we śnie.

Maebelle pochyliła głowę, zasłoniła twarz rękami i otarła z oczu łzy.

– Sprawileś mi taką radość, że gotowa jestem odtąd nazywać się panią Hunnicutt i zachować to nazwisko. Nigdy już nie będę zrzędzić i namawiać cię, żebyś zmienił imię. Jestem pewna, że przynosi ono szczęście.

– Właśnie tak mówił mój tatuś – powiedział z szerokim uśmiechem. – Nie wyrzekłbym się tego imienia za nic w świecie. A tobie wcale ono nie zaszkodzi.

Maebelle wstała i podeszła do Native'a przy kominku. Zwijał się z głodu.

– Mój tatuś mawiał, że najlepiej poznajemy kobietę, jeśli jemy z jej ręki. Gdybym teraz mógł coś przegryźć...

– Ugotuję ci dzisiaj kolację – powiedziała patrząc mu w oczy. – Od rana myślałam o tym. Będzie wszystko, co lubisz.

Maebelle położyła mu głowę na ramieniu.

– Czy wiesz, jak mi jest dobrze z tobą?

– Ale co będzie z pasztetem? – spytał zaniepokojony. – Trochę na to liczyłem. Obawiam się że nie zdążysz go dziś zrobić.

– Zaczęłam piec cztery pasztety ze słodkich kartofli rano, jak tylko zadzwoniłam do adwokata. Wystygną do kolacji.

Maebelle już miała wyjść z pokoju, ale przystanąła i odwróciła się.

– Jedno chciałabym wiedzieć, zanim wyjdę do kuchni.

– O co chodzi, Maebelle?

– Jeżeli pozwolę ci zostać i będę sama przyrządzać twoje ulubione potrawy, jaką gwarancję otrzymam, że będziesz z daleka omijał dziewczyny? Umarłabym ze zgryzoty, gdyby to się powtórzyło.

Native założył ręce do tyłu i grzał je przy kominku. Twarz rozjaśniła mu się szerokim uśmiechem.

– Nie, szanowna pani. To się po mnie nie pokaże! Nigdy mnie na tym nie przyłapiesz. Maebelle! Będę się pilnował!

